

Ahern Jerry

Wojna Totalna

Krucjata 01

Ahern Jerry

Wojna Totalna

Krucjata 01

ROZDZIAŁ I

– Teraz! – krzyknął Rourke prostując się i dając znak ręką.

Potem rzucił się biegiem po stromej, piaszczystej skarpie w kierunku autostrady. Tuż za nim biegło dwunastu młodych ludzi ubranych w mundury polowe Pakistańskiej Antyterrorystycznej Grupy Uderzeniowej, wydając wściekłe okrzyki. Atakowali grupę przemytników, strzelając w biegu ze swych zaopatrzonych w tłumiki półautomatycznych karabinów, ze składanymi kolbami.

Zaatakowani próbowali się ukryć za swymi ciężarówkami. Kiedy jednak grupa Rourke'a przebyła połowę drogi do autostrady, przemytnicy otworzyli ogień z ustawionych na ciężarówkach ciężkich karabinów maszynowych. Przez otwarte okna wyładowanych opium samochodów strzelano z broni ręcznej.

Rourke wystrzelił raketę. Pocisk wzniósł się w niebo, a następnie eksplodował.

Ze swojej pozycji na skarpie Rourke widział, jak ciężko uzbrojony wóz pancerny Armii Pakistańskiej zajmuje swoje stanowisko i blokuje drogę jakieś pół kilometra dalej. Chowając pustą raketnicę w zewnętrznej kieszeni kurtki z owczej skóry, Rourke wydobył swój półautomatyczny karabinek i biegnąc w dół zbocza, poprowadził swoich ludzi.

W tym samym momencie zobaczył, jak pierwsza z ciężarówek nagle zawraca, trafiona huraganowym ogniem wojskowego pojazdu. Koła niebezpiecznie zabuksowały, lecz w chwilę potem samochód ruszył w kierunku Rourke'a ze stale wzrastającą szybkością.

Opróżniając cały magazynek, Rourke padł na piaszczyste pobocze drogi i odrzucił broń. Prawą, a następnie lewą ręką sięgnął po dwa pistolety automatyczne, które nosił w kaburach pod kurtką.

Kciukiem prawej ręki odciągnął iglicę automatu, zacisnął dłoń na rękojeści. Wystrzelił cały magazynek celując w kabinę nadjeżdżającej ciężarówki. W tej samej chwili plunął ogniem pistolet w jego lewą rękę. Dwie serie połączyły się w jedną, ciało kierowcy wypadło z kabiny.

Rourke stoczył się z nasypu autostrady. Pozbawiona kontroli ciężarówka wciąż pędziła na niego. Kiedy samochód podskoczył na krawężniku, Rourke strzelił, trafiając w zbiornik paliwa. Nastąpiła potężna eksplozja, płomienie błyskawicznie ogarnęły toczącą się siłą rozpędu ciężką maszynę.

Patrząc w górę autostrady, Rourke dostrzegł następną z ciężarówek, która wpadłszy w poślizg uderzyła w zbocze. Opiumowa fortuna stanowiąca jej ładunek rozsypała się po szosie. Strażnik próbował wydostać się z kabiny przez opuszczoną szybę, ale po chwili zrezygnował i wyciągnął automatyczny karabin.

Rourke widział, jak seria powala dwóch jego ludzi. Rzucił się na ziemię i zjeżdżając na kolanach w kierunku ciężarówki, ponownie nacisnął spusty obu automatów. Ciało przemytnika drgnęło, impet uderzenia wytrącił mu z rąk broń i wyrzucił ją w górę.

Rourke zerwał się i zbiegł drogą do pozostałych dwóch ciężarówek. Ponad dziesięciu przemytników nadal się ostrzeliwało.

– Granaty! – krzyknął przez ramię do biegnących za nim żołnierzy.

Czterdziestomilimetrowe ładunki gwizdały mu nad głową i wybuchały w celu. Rourke znów padł na ziemię, tuląc twarz do piasku, kiedy jeden z nich eksplodował tuż przy nim. Uniósł głowę i zobaczył wznoszący się nad ciężarówką słup ognia i dymu. Z nieba spadł deszcz opium i krwawych szczątków. Zagrział kolejny wybuch. Ostatnia ciężarówka wyleciała w powietrze.

Rourke uniósł się na łokciach, poderwał na nogi.

– Wykończyć ich! – krzyknął do swoich ludzi.

Jego drużyna była teraz blisko wroga, żołnierze walczyli wręcz. Rourke wystrzelił magazynki obu automatów, wsunął je do kabur i sięgnął do biodra, gdzie nosił swojego pytona. Trafił pierwszym wystrzałem najbliższego Pakistańczyka, po czym przeniósł ogień na dwóch innych, którzy do niego mierzyli. Uderzeniem kolbą rewolweru powalił jednego z przemytników, błyskawicznie obrócił się na pięcie. Rosły mężczyzna w turbanie powoli zbliżał się do niego trzymając w dłoni długi nóż. Rourke odskoczył w bok i wsunął rewolwer z powrotem do kabury; nie miał czasu na ładowanie. Kiedy Pakistańczyk się cofnął, Rourke ruszył na niego, wyciągając swój nóż.

Przemytnik ponownie runął do przodu. Rourke wykonał unik, a następnie błyskawicznym ruchem przeciął tętnicę napastnika. Odwrócił się, blokując prawą ręką cios następnego. Nóż wypadł mu z ręki, uderzył w brzuch Pakistańczyka, odrzucając go od siebie. Następnym ciosem wymierzonym w gardło atakującego zmiażdżył mu tchawicę.

Rourke stanął nad pokonanym.

Któryś z żołnierzy powalił kolbą karabinu ostatniego przemytnika.

Wyprostowując ramiona, Rourke odetchnął głęboko. Z ładownicy u pasa wyciągnął zapasowy magazynek i przeładował jeden ze swoich pistoletów maszynowych, uregulował spust i ostrożnie umieścił pierwszy nabój w komorze. Cofnął iglicę automatu i schował go do kabury pod pachą.

Ładowanie drugiego przerwał mu znajomy głos.

– Twoi ludzie, i ty sam, Johnie Thomasie, byliście świetni.

Uśmiech rozjaśnił delikatną, dokładnie ogoloną twarz. – Usłyszeć to z twoich ust, kapitanie, to największy komplement. Straciliśmy jednak dwóch ludzi. Trzymali się razem, a ostrzegałem ich przed tym.

Mężczyzna pokiwał głową. – Ale może pozostali nauczą się czegoś. I ty, i ja wiemy, że to, co najtrudniej zapamiętać, trzyma nas przy życiu.

– Masz rację.

– Myślę jednak, że ludzie, których ćwiczyłeś będą sobie doskonale radzili w prowadzonej przez nas opiumowej wojnie. – Pakistański kapitan z gęstym, czarnym wąsem, zapalił papierosa, potem zaproponował to samo Amerykaninowi.

– Nie, dziękuję, Muhammedzie – mruknął Rourke, sięgając do kieszeni koszuli po cygaro i wkładając je między zęby.

– Wezmę ogień – powiedział pochylając głowę nad złączonymi dłońmi kapitana. Zaciągnąwszy się dymem, wydychał go powoli. Obserwował, jak szarą chmurkę porywa wiatr i rozprasza nad tłącymi się jeszcze ciężarówkami.

Rourke przebiegł palcami lewej ręki przez ciemnobrązowe włosy, odgarniając je z wysokiego czoła. – Wciąż planujecie całkowicie wyczyścić tutejsze okolice?

Pakistańczyk przytaknął garbiąc plecy smagane ostrym wiatrem.

– Czas, byś pożegnał się ze swoimi ludźmi.

– Tak, słusznie – powiedział, spoglądając przez ramię i kończąc ładowanie sześciu nowych kul w bęben Pytona, którego następnie schował do kabury przy biodrze.

– Poczekaj chwilę – rzucił Pakistańczykowi, odwrócił się i skierował ku swojej dziesiątce żołnierzy. Jeden z młodych mężczyzn stanął na baczność, kiedy Rourke się zbliżył, ten jednak dał znak spocznij. – Dobrze się spisaliście, chłopcy – powiedział. – Dlatego żyjecie. Muli i Ahmed nie pamiętali o tym, czego was uczyłem. I dlatego zginęli. Byli dobrymi żołnierzami, ani gorszymi, ani lepszymi niż wy. Musicie zrozumieć; przetrwać, czy to w walce, czy nawet w ruchu ulicznym po drodze do domu, to znaczy mieć głowę na karku, pamiętać, co należy zrobić, uczyć się reagować w odpowiedni sposób i tak właśnie działać. Nie będzie mnie tu przez jakiś czas, muszę wracać do Stanów. Może kiedyś znowu będziemy razem walczyć. I jeżeli zapamiętacie tę najważniejszą we wszystkim zasadę – mieć głowę na karku – to na pewno spotkamy się żywi.

Rourke uściśnął dłoń każdego z nich, najdłużej jednak dłoń kaprala Ahmada. Kiedyś mylił go z Ahmedem, przez podobieństwo imion.

– Powodzenia, przyjacielu – szepnął Rourke, obejmując go i odwzajemniając ciepły uśmiech.

– To należy do ciebie – dodał, wręczając młodemu żołnierzowi raketnicę Heckler And Koch. – Teraz ty jesteś szefem grupy. Będzie ci potrzebna.

Przysłany helikopter wynurzał się już zza horyzontu, odległy dźwięk wirujących śmigieł był jak brzęczenie owada.

Rourke i Muhammed stali bez słowa. Śmigłowiec krążył przez chwilę nad górską drogą, zanim wylądował. Niebezpiecznie blisko krawędzi zbocza – zdaniem Rourke’a.

Podbiegł ku prawej burcie maszyny i wśliznął się na miejsce obok pilota. Muhammed usiadł z tyłu. Rourke machał na pożegnanie swoim żołnierzom, oni jednak tego nie widzieli. Wchodzili na wzgórze, by przejąć łącznika, który miał otrzymać i przekazać dalej kolejny ładunek czystego opium.

Pilot podniósł maszynę i przez parę kilometrów leciał równoległe do górskiej drogi, potem wzniósł się wyżej. Rourke chciał spojrzeć za siebie, lecz wcześniej poczuł na ramieniu rękę Muhammeda. – Lecimy nad Przełęcz Czajber, to niedaleko. Jeden z naszych punktów granicznych przerwał nadawanie regularnych meldunków. Chcemy się upewnić, że to tylko wada sprzętu.

– Dobrze – powiedział Rourke, skinąwszy bez zainteresowania głową.

Patrzył przez okrągłe okienko na płaską dolinę, setki metrów niżej. Za jakiś czas odezwał się Muhammed:

– Czytałem twoje akta, ale powiedz mi, jak zostałeś ekspertem uzbrojenia, ekspertem technik przetrwania, zarabiając na życie nauką metod walki antyterrorystycznej.

– Czytałeś akta – rzucił Rourke, żując niedopałek cygara. – Tak jak tam jest napisane, pracowałem w sekcji antyterrorystycznej CIA. – Zmrużył oczy w uśmiechu, w rzeczywistości był oficerem w Sekcji Operacji Maskujących. – Uzbrojenie – kontynuował – było tego naturalną częścią. Od dziecka potrafię obchodzić się z bronią. Dużo polowałem, lubiłem las i obozowanie gdzieś na odludziu. To spowodowało, że zająłem się szkołą przetrwania. Poza tym, czytałem gazety i to dopiero napędziło mi stracha. Studiowałem, co mogłem o przetrwaniu w trudnych warunkach. Potem dostałem zadanie, podobne do tego, w Ameryce Środkowej – mówił przekrzykując warkot helikoptera. – Tak czy owak – opowiadał dalej, kierując wzrok ku niedopalonemu cygaru – to były moje najtrudniejsze dni. Z grupą partyzantów walczących z komunistami wpadliśmy w zasadzkę.

Zraniono mi prawą nogę. Wszystkich innych zabili, ja przeżyłem. Przy sobie miałem czterdziestkę piątkę, M-16 i bagnet, bez jedzenia, medykamentów, z garścią antybiotyków. Nie mogłem wydostać się z dżungli przez sześć tygodni. Zanim zdołałem z niej uciec, komuniści opanowali już cały kraj, a ja musiałem ukraść łódź i spędzić na otwartym morzu dziesięć dni, żeby dotrzeć do brzegów Florydy. Byłem odwodniony, poparzony przez słońce, i prawie wszystkie członki sprawiały mi ból, chyba tylko poza maczugą Herkulesa.

– Maczuga Herkulesa? – zapytał Muhammed.

– Wiesz, między nogami – zaśmiał się Rourke.

– Ach tak, my nazywamy to inaczej.

– Tak – Rourke mówił dalej – ale pomimo tego wszystkiego, przeżyłem. Byłem z siebie dumny.

Nauczyłem się cholernie dużo. Przede wszystkim zrozumiałem, jak mało wiedziałem wcześniej. Studiowałem sprzęt, przeróżne techniki przeżycia. Co dzień znajdujesz coś, czego nie znasz.

– Ale jaki jest cel tego wszystkiego? – przerwał mu Muhammed. – Uczenie się dla samej wiedzy to szlachetny powód, ale...

– Nie, przyczyna jest o wiele bardziej praktyczna – odpowiedział Rourke, zapalając ponownie cygaro i widząc wściekły wzrok pilota siedzącego obok. – Na wolności jest wystarczająco dużo wariatów, by rozpieprzyć tę planetę. Tylko metodyczny trening jest gwarancją utrzymania się przy życiu.

Poniżej Rourke zobaczył znajomą okolicę przełęczy Czajber, stanowiącej wrota między Pakistanem i Afganistanem. Teraz, pomyślał, Afganistan jest sowieckim satelitą, lub czymś wyjątkowo go przypominającym.

Muhammed pochylił się, chcąc coś powiedzieć pilotowi. Śmigłowiec zszedł niżej, lecieli teraz nad pakistańskim posterunkiem granicznym.

Rourke sięgnął do kieszeni i wyciągnął przyciemnione okulary przeciwsłoneczne. Założywszy je spoglądał z góry na szczyt wzniesienia.

– Muhammedzie?

– O co chodzi, Johnie Thomasie? – zapytał Pakistańczyk.

Kierując kciuk prawej dłoni w dół, Rourke wskazał pakistańską stronę przejścia.

– Cóż, pamiętasz, mówiłem o powodach mojego zainteresowania technikami przetrwania.

Uważam, że najskuteczniejsza z nich ma zastosowanie w naszej sytuacji – wycedził.

Pakistański oficer spojrział nad ramieniem Rourke'a. Uśmiech, który zazwyczaj gościł na jego twarzy przerodził się w grymas przestachu.

– W górę! Zabieraj się stąd! – krzyknął do pilota.

Przypalając cygaro, Rourke patrzył na niekończące się kolumny sowieckich czołgów, transporterów i ciężarówek jadące przez przełęcz Czajber.

– Tak, Muhammedzie – powiedział półgłosem – powodem, dla którego zajmuję się szkołą przetrwania jest trzecia wojna światowa...

ROZDZIAŁ II

Kapral Ahmed Mahmude Shindi mówił niskim, chrapliwym głosem połykając końcówki:

– Nie możemy korzystać z łączności radiowej. Wszystkie nasze kanały mogą być na podsłuchu. Wy dwaj – powiedział po cichu do drugiego kaprała i szeregowca – wracajcie na drogę. Musicie dojść do posterunku i zrelacjonować to, co widzieliśmy przed chwilą. Zróbcie wszystko, co uważacie za konieczne, ale musicie się przedrzeć.

Chmury, które za dnia zwisały nisko ciemnoszarymi obłokami, teraz przybrały barwę czarnego całunu, a prześwitujące przezeń słońce rzucało pomarańczowy cień. Zaczął padać gęsty śnieg, każdy jego płatek był wielkości monety.

Ahmed strzepnął śnieg z okularów. Krótkie spojrzenie upewniło go, że jego ludzie właśnie wyruszyli w drogę. Patrząc w dół wyschniętego korytarza rzeki, setki metrów poniżej, widział sowieckie oddziały. Czołgi i transportery poruszały się szybkimi, pojedynczymi kolumnami. Przesunął lornetkę w kierunku miejsca, z którego nadchodzili Rosjanie. Nie widział końca konwoju.

Huczał wiatr, śnieg wirował jak piasek, poruszany magiczną siłą. Ahmed pełzał do małej jamy, ukształtowanej przez opadające płyty skał, stanowiącej teraz schronienie dla pozostałej siódemki z jego oddziału. Przypominał sobie Rourke'a, który nauczył go o walce i przetrwaniu więcej niż ktokolwiek inny. Zawsze powtarzał: miej głowę na karku, bez względu na zadanie, rób co uważasz za słuszne w najlepszy z możliwych sposób.

Co? – Ahmed pytał sam siebie – jest słuszne w tej sytuacji? Co mogło uczynić ośmiu ludzi przeciwko tysiącom żołnierzy? Stwierdziwszy, że drży, może z zimna i wilgoci, wczółgał się do jamy, pod najniższym odłamek skalnym.

– Co robimy, kapralu?

Niewiele znaczyło dla Ahmeda to, kto zadał pytanie, wszyscy mieli je na myśli. Przez chwilę nie odpowiadał, zupełnie jak Rourke. Amerykanin nigdy nie mówił, żeby mówić. Odzywał się rzadko. Ale kiedy otworzył usta, to co mówił, było warte zapamiętania.

Bez pośpiechu, Ahmed analizował możliwe rozwiązania. – Przełęczą Czajber przesuwają się kolumny wojsk sowieckich, widzieliście wszyscy. Nas jest tylko ośmiu. Nie zatrzymamy ich. Jeżeli jednak pozwolimy im bez problemów kontynuować marsz, nie wypełnimy swego obowiązku ani jako Pakistańczycy, ani jako mężczyźni. Jeśli zrobimy coś, co opóźni inwazję na nasz kraj choćby o chwilę, pomożemy naszemu narodowi. Uderzymy na nich. Jeżeli będziemy walczyć, na pewno zginiemy. Nie mogę podjąć decyzji za was. Ale ja... będę walczył.

Ahmed oparł plecy o chłodną ścianę jamy i spod peleryny wyjął papierosa. Żona zawsze ostrzegała go, że palenie szkodzi mu na zdrowie. Teraz, tak czy inaczej, wydał na siebie wyrok

śmierci. Palenie nie mogło mu zaszkodzić. Zaciągając się dymem papierosa, wyciągnął z portfela zdjęcie. Oczy zwilżyły mu łzy.

Wpatrywał się w twarz żony i w uśmiechnięte oczy dziewczynki, którą urodziła mu niespełna rok temu. Wlepił wzrok w zdjęcie, jakby chciał zakomunikować im swoje myśli. – Kocham was – krzyczał milcząc. Nie dbając o to, czy jego ludzie widzą, dotknął ustami fotografię i schował ją do portfela.

Papieros wypalony do malutkiej, żarzącej się końcówki, skupił w tej chwili całą jego uwagę.

– Kto idzie ze mną walczyć? – spytał.

Ahmed patrzył im w oczy. Po kolei, każdy skinął głową, albo dał znak ręką. Niektórzy sięgali już po broń.

– Chodźmy więc – powiedział.

– Poczekajcie – był to młody szeregowiec, który zadał na początku pytanie Ahmedowi. – Zanim umrzemy, powinniśmy się pomodlić.

Ahmed przytaknął, a szeregowy rozpoczął. Wzrok kaprała przesuwiał się po skupionych na modlitwie twarzach. Potem, nic nie mówiąc, opuścił jamę. Pozostali szli za nim, w śnieg, mrok, wiatr i chłód.

Podążali wzdłuż brzegu skarpy. Osiągnęli jej podnóże w mniej niż pół godziny, maszerując w chłodzie, wyczerpani i milczący. Kierując się ku drodze, Ahmed przypuszczał, że są jakieś dziesięć minut przed prowadzącą konwój radziecką ciężarówką i jadącymi przed nią motocyklami.

Kiedy dotarli do szlaku, Ahmed uśmiechnął się – na śniegu nie było żadnych śladów. Spojrzał w górę, w zachmurzone niebo i białą masę opadającą w dół. Śnieg był darem Allacha. Rosjanie nie mogli tej nocy wykorzystać helikopterów ani myśliwców.

Zatrzymał swoich ludzi przy poboczu drogi.

– Musimy iść przed nimi, tą stroną. W ten sposób nie zauważą naszych śladów. Chodźmy.

Gęsiego, czasem znów wspinając się na pobocze skały, szli wzdłuż traktu, przerywając marsz po pokonaniu ponad kilometra.

– Wy – zaczął Ahmed, wskazując czterech żołnierzy – zostańcie tu. Reszta idzie dalej. Przejdziemy na drugą stronę drogi i wrócimy po swoich śladach. Kiedy nadejdą Rosjanie, skierujecie ogień broni maszynowej na motocykle. Grenadierzy zaatakują najbliższą ciężarówkę. Ten, który będzie ze mną, ostatnią serię wystrzeli w skalną krawędź ponad nami. Jeżeli zdołamy zablokować drogę zwałami tej skały, zatrzymamy Sowieców na dłużej.

Z trzyosobowym oddziałem Ahmed pokonał następne kilkaset metrów, potem przeszedł trakt w poprzek. Powrót po własnych śladach zajął im więcej czasu niż planował, zbyt mało było miejsca między drogą a przepaścią. Czasem on i jego ludzie musieli czołgać się przez śnieżne zaspę, ażeby uniknąć upadku w przepaść.

W końcu stanęli naprzeciwko czteroosobowej grupy swoich towarzyszy, po bezpiecznej stronie traktu. Ahmed sprawdził zegarek. Jakby dla potwierdzenia jego dokładności, zaterkotały radzieckie ciężarówki. Kaprał rozkazał swoim ludziom ukryć się na skraju drogi, za osłoną głazu.

Hałas silników stopniowo narastał. Może konwój nie jest tak blisko, pomyślał Ahmed. Wychylił się zza kamienia. Zobaczył reflektory powoli jadących motocykli; śnieg prószył w blasku ich świateł, kiedy przebijały się przez mrok. Ahmed wiele razy jeździł na motorze i współczuł rosyjskim motocyklistom. Powierzchnia traktu była śliska i nierówna. Manewrowanie w taką noc, zaledwie centymetry od urwiska, musiało odbywać się w ciągłym strachu.

Ahmed wyraźnie widział motocykl na czele kolumny. Jeden żołnierz prowadził, drugi siedział w koszu, obu pokrywała gruba warstwa śniegu. Spostrzegł, jak pierwszy z nich błyskawicznie puszcza kierownicę i czyści gogle ciężką rękawicą.

Ahmed, przyciskając do ramienia swój półautomatyczny karabin, krzyknął:

– Ognia!

Pierwszą serią trafił żołnierza siedzącego w koszu. Żołnierze ukryci po przeciwnej stronie drogi natychmiast otworzyli ogień z granatników. Pierwsza ciężarówka była w odległości nie większej niż sto metrów. Trafiona, od razu stanęła w płomieniach. Z tyłu wysypali się radzieccy żołnierze, mundury płonęły na ich ciałach. Pakistańczycy zabili wszystkich, rażąc ich ogniem z obu stron drogi.

Chwilę później wybuchła następna ciężarówka. Płomienie, podsycane przez wiatr, szybko zajęły brezent kolejnego pojazdu, który niemal jednocześnie stanął w ogniu.

Ahmed odrzucił karabin – ostatni magazynek był pusty. Złapał pistolet. Opróżnił cały magazynek, strzelając do Rosjan uciekających z rozbitych pojazdów.

Nagle, ziemia pod stopami zadrżała i Ahmed upadł na plecy. Pistolet, w którym zostało jeszcze parę kul, wyleciał mu z ręki. Patrząc przed siebie dostrzegł sowiecki czołg, torujący sobie drogę przez płonące ciężarówki. Ahmed krzyknął do grenadiera, ten nie zdążył jednak wystrzelić. Granat odbił się od pancerza, pancerny kolos parł dalej.

– Krawędź skały! – wrzasnął w kierunku grenadiera.

Kiedy ten strzelał w kamienne zbocze po przeciwnej stronie drogi, Ahmed sięgnął do kieszeni i zmarzniętymi palcami wyciągnął raketnicę, którą podarował mu Rourke. Niezdarnie załadował raketę i odpalił ją.

Ziemia zadrżała ponownie i Ahmedowi zadźwięczało w uszach. Podrzuciło go. Sturlał się w dół drogi. Odwrócił głowę, chciał to zobaczyć na własne oczy, choć nie mógł przy tym wytrzymać z bólu. Grenadiera nie było. Nigdzie. Ahmed zakaszał, myśli o żonie i dziecku zbiegły się z przerażeniem śmierci, która zbliżała się do niego. Podniósł wzrok. Nad nim stał radziecki żołnierz. W gołych rękach trzymał automat.

Ahmed wzniósł raketnicę i nacisnął spust jednocześnie z Rosjaninem.

Chciał umrzeć z otwartymi oczami, lecz patrzył tylko ślepo na opadający śnieg.

ROZDZIAŁ III

– Panie ambasadorze, niech się pan obudzi!

Stromberg przewrócił się na drugi bok. Przy łóżku stała zapalona lampka nocna. Przetarł oczy.

– Co u licha, robisz tu o... – Stromberg spojrział na zegarek stojący na półce – o trzeciej nad ranem? Człowieku! Gdzie jest moja żona?

– Zapukałem i wpuściła mnie do środka. Kiedy powiedziałem jej mniej więcej o co chodzi, kazała mi pana obudzić, teraz robi kawę. Mówiłem, żeby zawołać kogoś z personelu, ale...

– Nieważne, Hensley! Po co, do diabła, mnie obudziłeś? Wiesz przecież, że mam tę konferencję handlową o dziewiątej rano! – Stromberg ziewnął, sięgnął po okulary i założył je na nos, przebiegając jednocześnie palcami przez rzednące, siwe włosy.

– Ta informacja jest adresowana wyłącznie do pana. Musi ją pan sam odszyfrować. Bezpośrednio od prezydenta, nie sekretarza stanu. Ale podpisana przez obu.

– Cholera – warknął Stromberg – pewnie zapomnieli wysłać komuś kartki urodzinowej albo coś w tym rodzaju.

– Proszę jednak – nalegał młody urzędnik. – Użyli kodu „Bezwzględne Pierwszeństwo”. Musi pan odczytać depeszę natychmiast.

– Hensley – Stromberg próbował wydostać się spod pościeli, siadając na końcu łóżka. – Musisz zrozumieć jedno, młody człowieku. W Departamencie Stanu nie zdarza się nic takiego, co nie mogłoby poczekać do rana. Hm, może nie powinienem tego mówić – dodał, odzyskując pełną świadomość. – Istnieje tylko jeden powód, dla którego mogliby wysłać taką depesze, a to jest niemożliwe.

Sięgnął do stojącego przy łóżku stolika i z małego pudełka wydobył papierosa. Hensley pochylił się i podał ogień.

– Wyłącznie z jednego powodu... – spojrział na informację. – Boże! Boże! Hensley, podaj mi szlafrok.

Stromberg był w połowie drogi do drzwi, kiedy Hensley dopadł go ze szlafrokiem. Nakładał go na ambasadora, kiedy ten szarpał się z klamką, aż w końcu otworzył drzwi do swojego prywatnego gabinetu.

Stromberg zdjął ze ściany obraz Andrew Weytha, a potem przejechał dłonią wzdłuż złącz boazerii. Część drewnianej płyty odsunęła się, odsłaniając mały, ścienny sejf.

– Panie ambasadorze – chrząknął Hensley.

Kaszlnął i powiedział jeszcze raz:

– Panie ambasadorze!

– O co chodzi, człowieku?

– Nie powinno mnie tu być, kiedy otwiera pan sejf, to wbrew bezpieczeństwu.

– Do diabła z bezpieczeństwem, Hensley – odparł Stromberg.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – krzyknął ambasador.

– Kawa, kochanie, gorąca.

Pani Stromberg była młodą kobietą. Jej mąż nie mógł o tym nie pamiętać, kiedy weszła do pomieszczenia. Hensley również na nią popatrzył. Jej okrycie odsłaniało więcej, niż Stromberg by sobie życzył.

Kiedy ruszyła do drzwi, ambasador powiedział:

– Nie. Poczekaj tu.

Otworzył sejf i usiadł za biurkiem. Spoglądając na Hensleya, rzucił:

– Przyjrzyjmy się tej depeszy jeszcze raz.

– Proszę, oto ona – powiedział Hensley. – Czy mogę odejść?

– Nie, poczekaj. Zobaczymy co ten dureń... przepraszam kochanie – zwrócił się do żony. – Zobaczymy o co w tym wszystkim chodzi.

Żona Stromberga stała tuż przy nim; zapaliła papierosa i włożyła mu go w usta, kiedy on przeglądał książeczkę z kodami, oprawioną w szare płótno. Na ustniku czuł jej szminkę.

Przerwał czytanie depeszy w połowie.

– Hensley, przyślij tu szefa bezpieczeństwa ambasady, szybko. Ty też wróć. Przedtem, połącz się z Waszyngtonem i poproś, żeby dla pewności jeszcze raz przetelegrafowali tę wiadomość. Sprawdź też, czy nie znieśli kodu Sigma 9, RB 18. Ostatnim razem ta książka była nieważna.

– Czy mam to przekazać tak wprost?

– Tak, Hensley. Później zawsze mogę zmienić kod.

Kiedy młody urzędnik wyszedł z gabinetu, Stromberg mruknął:

– Jeżeli w ogóle będzie jakieś później...

Po paru minutach podniósł głowę znad blatu biurka, rozejrzał się po pokoju i zobaczył swoją żonę, która siedziała na fotelu po przeciwnej stronie i paliła jego papierosy. Paliła tylko jego papierosy, nigdy nie kupowała swoich, jako że rzadko ich potrzebowała. Stromberg często pragnął kontrolować palenie w taki sposób, jak robiła to jego żona: pół paczki, paczkę dziennie, potem nic przez parę tygodni, i znów jednego. Miała silną wolę.

Stromberg spojrział na depeszę, którą trzymał w dłoniach.

– Przeczytam ci ją, Jane. Jeśli jest błędna, nie ma żadnej różnicy. Jeżeli okaże się prawdziwa – ramiona mu lekko drgnęły – różnica jest jeszcze mniejsza.

– Wściekniesz szefa bezpieczeństwa, George – ostrzegła go, uśmiechając się.

– Mam go gdzieś – warknął.

– Słuchaj. „Instrukcja. Zakomunikować radzieckiemu premierowi, oficjalnie, osobiście, poniższe. Trwająca sowiecka inwazja na Pakistan, rozpoczęta o godz. 0.45 czasu waszyngtońskiego, musi zostać przerwana natychmiast, a wojska wycofane za granicę z Afganistanem. Stany Zjednoczone uważają, że sowiecka agresja na Pakistan jest poważnym naruszeniem porozumień genewskich i zagrożeniem bezpieczeństwa. STOP. Nastąpią ostre reperkusje międzynarodowe. Nie wykluczona zbrojna interwencja Stanów Zjednoczonych i NATO. Sformułować taktownie, ale stanowczo, George”. Koniec.

- Mój Boże – wyszeptała kobieta.
- Podpisane przez prezydenta, Jane.
- Chcesz, żebym zadzwoniła do premiera, udając sekretarkę!
- Co? – zdziwił się Stromberg.
- O, tak, dobry pomysł.

Wstał, podszedł do okna i popatrzył na trawnik okalający budynek ambasady.

– To może oznaczać wojnę światową, Jane – powiedział po cichu. Jego oddech zostawił na szybie ślad pary.

– Wiem, George – usłyszał jej odpowiedź, razem z terkotaniem tarczy telefonu.

– Poczekaj – rzucił nagle. – Hensley nie sprawdził kodu.

Wiedział jednak, że oczekiwanie było tylko stratą czasu.

Depesza była prawdziwa.

ROZDZIAŁ IV

Maleńki przedpokój prowadzący do gabinetu premiera był przygnębiający. Zimny, niemal sterylny, przytłaczał Stromberga, który czekał na przyjęcie i przemierzał pomieszczenie długimi krokami szukając popielniczki.

Słyszając, jak młoda sekretarka otwiera drzwi, odwrócił się.

– Premier przyjmie pana teraz, ambasadorze Stromberg.

– Dziękuję. – Amerykanin szedł za sekretarką korytarzem, mijając oficjalny gabinet premiera i zatrzymując się w kolejnym obszernym hallu. Stanęli przed ciemnymi, drewnianymi drzwiami. Sekretarka zapukała, następnie, nie czekając na odpowiedź, otworzyła je i wpuściła ambasadora do środka.

Stromberg poczekał, aż kobieta wyjdzie. Nie była potrzebna. Premier doskonale znał angielski, choć rzadko się tym chwalił.

– Panie Stromberg, cóż za nieoczekiwana przyjemność. – Premier usiadł za biurkiem, którego zielony blat kapał się w żółtym świetle.

– Dobry wieczór, panie premierze – odpowiedział ambasador, zachowując oficjalny ton i podchodząc do biurka.

Widział tylko oświetloną, dolną część twarzy Rosjanina. Zarost świadczył o tym, że nie zależało mu na wrażeniu, jakie wywrze na rozmówcy w czasie nieoczekiwanej wizyty. Ale, czy była nieoczekiwana, zastanawiał się Stromberg. Jeżeli trzy lata reprezentowania Stanów Zjednoczonych w Moskwie nauczyły go czegokolwiek, to na pewno tego, iż każdy rosyjski polityk był wytrawnym aktorem, a premier najprawdopodobniej najlepszym ze wszystkich stron.

– Proszę usiąść, panie Stromberg. Musi pan być zmęczony.

– Jestem – odpowiedział ambasador, spoczywając w podniszczonym, skórzanym fotelu, naprzeciwko biurka.

Żółty krąg światła starej, blaszanej lampy stojącej na blacie mebla, ukrywał oczy premiera w cieniu. Stromberg nie był w stanie odczytać wyrazu jego twarzy.

– Co pana sprowadza, panie ambasadorze? Czyżby pilna wiadomość od rządu?

– Nie widzę powodu, abyśmy cokolwiek owijali w bawełnę panie premierze – odpowiedział Amerykanin.

Stromberg wiedział, że Rosjanin znał go dobrze. Długie, kościste palce lewej ręki premiera przesunęły się w jego szklaną popielniczkę. – Niech pan zapali, jeśli pan chce.

– Dziękuję – odpowiedział ambasador, wyciągając papierosy i zapalniczkę Dunhilla, którą dostał od Jane na ostatnie urodziny. Nagle przestraszył się. Czy były to jego ostatnie urodziny, jej,

wszystkich?

– Panie Stromberg, skoro mówimy szczerze, przypuszczam, że wasz prezydent chce przekazać mi jakąś wiadomość dotyczącą naszej decyzji o ochronie wewnętrznego bezpieczeństwa narodu pakistańskiego. A przy okazji, jak się miewa prezydent? Oczekiwałem telefonu bezpośrednio od niego. Jednak... nie miało to miejsca, wbrew temu, czego spodziewałaby się społeczność międzynarodowa.

Amerykanin obserwował usta premiera, które w słabym świetle zatrzymały się w półśmiechu.

– Oficjalna nota podpisana przez prezydenta nadejdzie jeszcze dzisiaj rano. Jednakże prezydent pragnie, abym przekazał panu osobiste pozdrowienia, a także to, iż zaniepokojony jest tym, co można zinterpretować tylko jako akt agresji wymierzonej nie tylko przeciwko autonomicznemu rządowi Pakistanu, ale również przeciwko naszym wspólnym interesom w zachowaniu pokoju na świecie.

– To zależy, panie Stromberg – odpowiedział Rosjanin. Zapałka błysnęła w półmroku, tuż nad jego niską brwią, potem chmura dymu z cygara pojawiła się w świetle lampy. – To zależy, jak będziecie interpretować fakty. My zachowujemy pokój.

– Panie premierze – replikował Stromberg, kaszłąc – obiecywał pan szczerą rozmowę. Możemy?

– Oczywiście, Stromberg. Jesteśmy starymi, przyjaźnie do siebie nastawionymi przeciwnikami. Wysłałem pańskiej córce futrzaną kurtkę narciarską na jedenaste urodziny, pamięta pan?

– Tak, często ją nosi. Chciała też, abym panu osobiście podziękował za porcelanową lalkę, którą również od pana otrzymała.

– Nie chcę pańskiej krzywdy – kontynuował premier cicho – ani krzywdy pańskiej żony i córki. Niech pan powie prawdę.

– Panie premierze – zaczął Stromberg, pochylając się w fotelu, usilnie próbując spojrzeć Rosjaninowi w oczy. – Wiadomość od prezydenta nie wykluczała poważnych reperkusji w skali międzynarodowej, włącznie z możliwą interwencją wojsk amerykańskich i NATO, jeżeli siły radzieckie nie zostaną wycofane za granicę Afganistanu.

– I myśli pan, panie ambasadorze – mówił premier zmęczonym głosem – że prezydent mówi o czymś co można nazwać trzecią wojną światową.

– Panie premierze, w nocy nie było nic o wojnie globalnej.

– Ale między wierszami, można odczytać wojnę totalną, czyż nie?

Stromberg nie odpowiedział.

– Będę z panem szczerzy. Trudno jest panu nas zrozumieć, nie jest pan Rosjaninem. Myślimy dwoma różnymi językami. Nie jest pan w stanie rozumować tak jak my – my nie jesteśmy w stanie rozumować jak pan. Dlatego doceniam pańskie próby nauki naszego języka. Wejście naszych wojsk do Pakistanu widzimy jako jedyny sposób utrzymania naszej pozycji w Afganistanie.

– Tak samo pan, panie premierze, musi mi uwierzyć – zaczął Stromberg, zapalając kolejnego papierosa, że odpowiedź wojskowa z naszej strony jest jedyną możliwą odpowiedzią na wasz ruch.

– To wiem i dlatego siedzę w tej chwili z panem, w tę straszną godzinę. Nie chcę wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Nigdy tego nie pragnąłem. Ale musi pan uwierzyć w to, co zamierzam powiedzieć. W jakimś stopniu jest to tajne, ale powinien pan o tym wiedzieć, skoro ma pan zapobiec wojnie. Prasa amerykańska – ciągnął Rosjanin – nazywa Afganistan radzieckim Wietnamem. Tak jest. Ale nie możemy pozwolić sobie na wycofanie się z Afganistanu. Stany Zjednoczone nie graniczą z Wietnamem, są od niego oddalone oceanami i tysiącami kilometrów. My graniczymy z Afganistanem. Nasze najważniejsze ośrodki badawcze położone są w pobliżu tej granicy. Ludność

muzułmańska na naszych terytoriach jest coraz bardziej niespokojna. Gdyby coś podobnego do tego, na co pański rząd pozwolił w Iranie, stało się w Afganistanie, wojna szybko wybuchłaby i w naszym kraju. Z Pakistanu już wchodzi na teren Afganistanu broń i propaganda. To musi zostać przerwane. Nikt na świecie się tego nie podjął, zrobimy to my.

– Panie premierze, jednak obecność wojsk radzieckich w samym Afganistanie jest sprawą...

– Dyskusyjną, tak, wiem. Mam dość dyskusji. W Afganistanie giną nasi żołnierze, a dyskusje nie wrócą im życia. Gdybyśmy wycofali się z Afganistanu, muzułmanie przyjęliby to jako oznakę słabości i równie dobrze mogliby rozpocząć otwarty bunt. Z wielu powodów nie możemy do tego dopuścić. O tym pan wie. Powszechnie wiadomo, iż ośrodki badające naszą broń laserową znajdują się na terenach graniczących z Afganistanem, zamieszkałych przez ludność muzułmańską. Jesteśmy zaawansowani w tych badaniach. Nie, to nie jest odpowiednie słowo. W tej dziedzinie jesteśmy od was lepsi. Niech pan mi wierzy, znajdujemy się na etapie, w którym nasza broń laserowa może być użyta na całej kuli ziemskiej, niszcząc amerykańskie rakiety i bomby, zanim osiągną cel. Militarnie jesteśmy lepsi.

– Świadomi jesteśmy radzieckich prób z bronią laserową – zaczął Stromberg. – Stany Zjednoczone czynią podobne doświadczenia, w wielu przypadkach osiągając te same efekty.

– Wiemy, co posiadacie i czego nie posiadacie – odpowiedział premier, niemal znudzony. – Niech pan spyta kogokolwiek, kto ma lepszy wywiad. My. Świat to wie. A pan musi mi uwierzyć. Dlatego byliśmy tak bardzo zainteresowani rozmowami o ograniczeniu strategicznej broni nuklearnej. Przeżyjemy z tym, co mamy. I wygramy, jeśli będzie taka potrzeba. Nie jest to jednak żadna groźba.

– Dlaczego więc mi pan to mówi?

– To proste – Rosjanin mówił powoli. – Nie chcemy zniszczenia świata. Wasz prezydent to zrozumie, my przecież zgodziliśmy się z tym. Nie wycofamy naszych wojsk z Pakistanu, póki wszystkie tereny graniczne tego kraju nie znajdą się pod naszą kontrolą. Potem pozostawimy tam stałe siły porządkowe i będziemy kontynuować swoją politykę w Afganistanie. W przeciągu paru miesięcy, najdłużej paru lat, wojska radzieckie zostaną wyprowadzone z Pakistanu. Przyrzekam to. Jednak nie stanie się to wcześniej – uderzył prawą pięścią w stół.

Stromberg popatrzył na dłoń Rosjanina. Jego ojciec, zanim jeszcze założył własne przedsiębiorstwo budowlane i wspinał się wyżej po drabinie społecznej, był dekarzem. Pamiętał jak wyglądały jego ręce. Premier w młodości też był dekarzem. Gdyby Stromberg tego nie wiedział, mógłby się domyślić po jego potężnych kościstych palcach.

– Stany Zjednoczone oczywiście nie pragną wojny ze Związkiem Radzieckim ani z żadnym innym krajem, musimy jednakże nalegać na niezależność Pakistanu.

– Panie Stromberg – wyjaśnił premier – jest pan ambasadorem, nie płacą panu za to, co pan myśli. Ja jestem szefem gabinetu i to mi płacą za myślenie. – Przerwał. – Nie wydaje mi się, żeby USA ryzykowały wojnę o Pakistan. Blefuje pan, tak to się nazywa, prawda?

Amerykanin skinął głową.

– Blef. Często stosowaliście go w przeszłości. Teraz również. Pozwalaliśmy na to, tylko po to, aby uniknąć długotrwałych trudności. Tym razem jednak nie ustąpimy, nawet na pół kroku. Jeżeli wasz prezydent postanowi wyjawic publicznie ultimatum, straci twarz w oczach światowej społeczności. NATO was nie wesprze, tego jestem pewien. Kraje Układu Warszawskiego mogą bez trudności pokonać nawet najbardziej wymyślną technikę w Europie. Stan liczebny waszych wojsk jest beznadziejnie mały, przyjacielu. Jeżeli wasz prezydent będzie na tyle nierozsądny, żeby

rozpocząć z nami wojnę, niech wie, iż jej nie wygra. Zostanie zapamiętany jako niszczyciel, a nie jako mściwy zbawiciel. Być może będzie ogłoszony niszczycielem całego świata, jeśli ocaleje ktoś, kto to zapamięta.

– Czy podjąłby pan takie ryzyko, panie premierze? – zapytał z niedowierzaniem Stromberg.

– Mam na myśli dobro mojego narodu. Człowiek powinien być w stanie ryzykować w imię celu, który uważa za słuszny. Czy myśli pan, że to tylko prerogatywa Zachodu, panie ambasadorze? Jeśli tak, to rozumie pan jeszcze mniej niż sądziłem.

– Cóż mógłby... – wyjąkał Stromberg.

– Niech pan powie to wszystko prezydentowi, niech go pan przekona o mojej szczerzej woli zachowania pokoju. Niech nie trzusi się pan doręczaniem mi oficjalnej noty osobiście. Pański sekretarz może to zrobić. Moja oficjalna odpowiedź powinna być do tego czasu również gotowa. Teraz niech pan już idzie.

Stromberg zaczął podnosić się z fotela, kiedy premier powiedział:

– Parę słów prawdy. Sądzę, że przez trzy lata pańskiej pracy tutaj staliśmy się swego rodzaju przyjaciółmi. Niech pan zostanie w Związku Radzieckim, będzie pan bezpieczny. Jeśli pan nie może, niech pan przynajmniej zostawi tu żonę i córkę. Będę ich strzegł jak swojej własnej rodziny. Moskwa jest nieosiągalna dla amerykańskich rakiet. W przypadku wojny, będzie dla nich najbezpieczniejszym miejscem na kuli ziemskiej.

Stromberg, stojąc przy biurku premiera, wpatrywał się w mrok. – Miałem kiedyś o czymś podobnym koszmary.

Premier wyszeptał tak cicho, że Amerykanin ledwie rozpoznawał słowa. – Ja je wciąż mam.

ROZDZIAŁ V

Sarah Rourke przewróciła się na drugi bok i wyciągnęła dłoń w kierunku lampki nocnej. Zmrużyła oczy pociągając za włącznik. Odwróciła twarz od światła i spojrzała na cyfrowy budzik, stojący tuż przy łóżku. Michael spóźni się do przedszkola. Dotknęła zegarka, alarm był wyłączony.

Usiadła na brzegu łóżka i odgarnęła brązowe włosy. Poprzedniego wieczora oglądała wiadomości i miała kłopoty z zaśnięciem. Zastanawiała się, czy John zdołał opuścić Pakistan, zanim weszli tam Rosjanie. Znalazłszy kapcie, wsunęła w nie stopy i wstała.

Jasnoniebieska koszula nocna sięgała jej do kostek. Na krześle obok łóżka wisiał przewieszony szlafrok. Sarah włożyła go.

– Michael! – zawołała od drzwi. – Wstawaj do przedszkola. Mama zasnęła. Szybko. Ty też, Ann – krzyknęła do swojej czteroletniej córki.

– Obudzę Ann, mam – odkrzyknął Michael.

– Dobrze, przygotuję śniadanie. Nie mam czasu zrobić ci lunchu, będziesz musiał zjeść w przedszkolu.

Najpierw zajrzała do pokoju Michaela, który znajdował się naprzeciwko jej własnego, a potem do pokoju Ann. Następnie ruszyła w kierunku schodów.

Stanąła. Poczowała zapach cygara, ale pomyślała, że to tylko efekt pracy jej wyobraźni. Przez całą noc, wbrew sobie, myślała o Johnie. Jednakże stojąc przy schodach, czuła dym coraz bardziej wyraźnie. Przecierając oczy, zajrzała do pokoju gościnnego. Ktoś siedział w fotelu koło kominka. Palił się ogień.

Nad kominkiem wisiały puste kłamry na strzelbę. John zawsze nalegał, żeby trzymała w domu broń.

– Mój Boże – zaczęła, wlepiając swoje orzechowe oczy w tył głowy, która tylko do połowy wystawała zza oparcia fotela.

– Spokojnie, Sarah.

Wstał i spojrzał na nią, trzymając w rękach strzelbę i szmatę. Był to John; przez chwilę Sarah nie była pewna, czy się z tego cieszyć. Gdyby to był bandyta, wiedziałaby jak zareagować. W przypadku własnego męża już dawno tego nie potrafiła.

– Tatusiu! – krzyknął Michael, biegnąc obok niej i pokonując po dwa schodki za jednym zamachem. Tuż za nim pędziła również Ann.

– Tatusiu! Tatusiu!

Sarah Rourke odwróciła się i odeszła. On czyścił strzelbę. Zdała sobie sprawę, iż jego obsesja broni, śmierci i przemocy nie minęła. Burczało jej w brzuchu. Weszła do łazienki. Obsesja. Spojrzała

w lustro, obserwując przez moment własną twarz. Prawą ręką dotknęła włosów. Wiedziała, że tak jak Johna i ją prześladowała obsesja.

John Rourke zatrzymał Forda swojej żony, model z 1978 roku, na żwirowym podjeździe przed domem. Zobaczył, że Sarah czeka na niego w drzwiach, w jeansach poplamionych farbą i podkoszulce, na którą narzuciła jego flanelową koszulę. Włosy miała rozpuszczone, a w rękach trzymała filiżankę kawy. Jej orzechowe oczy badawczo mu się przyglądały.

– Zawiozłem dzieci do przedszkola – zaczął, wysiadając z samochodu. – Nie było zbyt późno.

– Chciałeś kogoś zabić po drodze, John? – Nie czekając na odpowiedź zniknęła w środku.

Rozpinając zamek skórzanej kurtki chroniącej go przed chłodem, poczuł w kieszeni pistolet maszynowy. Drugi taki egzemplarz i podwójną kaburę zostawił wcześniej w domu. Sarah musiała go zauważyć.

– Cholera – mruknął do siebie, idąc po podjeździe. Następnie pokonał trzy schodki prowadzące na werandę starego, wysokiego domu. – Gdzie jesteś? – prawie krzyknął.

– W kuchni, robię ci śniadanie – odpowiedziała. John zawiesił kurtkę na wieszaku, minął hali i wszedł do kuchni.

– Skończyłaś zdejmowanie boazerii? Teraz wygląda to lepiej – zaczął rozmowę, siadając przed parującą filiżanką kawy, która czekała na niego na stole.

– Dużo pracy – odparła, stojąc przy piecyku elektrycznym i wciąż unikając jego wzroku. – Ta boazeria – dodała.

– Jak dzieci?

– Nie pytałeś ich? – odwróciła się i postawiła przed nim talerz, a na nim mały stek, dwa jajka, ziemniaki i tost.

– Nie oczekiwałem tego – powiedział.

– Nie zapytałeś dzieci? – powtórzyła.

– Tak – rzucił szybko, trzymając przed ustami widelec z nabitym nań jajkiem. – Pytałem, powiedziały, że tęskniły za mną i że ty też tęskniłaś.

– One tęskniły, ja tęskniłam, ale to niczego nie zmienia. – Bałam się, że nie zdołasz uciec z Pakistanu na czas. Nie powinieneś przypadkiem być w Kanadzie na tym seminarium na temat... jak to się nazywa?

– Hipertermia – pomógł jej John. – Rozpoznanie terenu i leczenie hipertermii. To wzbudza duże zainteresowanie w obecnych czasach.

– Dlaczego nie zostałeś lekarzem? Dlaczego nie skończyłeś akademii? Jesteś szaleńcem.

– Do diabła, Sarah – rzucił zirytowany.

– Dlaczego? Po collegu zrobiłeś kurs lekarski, poszedłeś na akademię i rzuciłeś studia dla pracy w CIA. Jesteś idiotą.

Rourke rzucił widelcem w talerz, wstał i podszedł do okna, wpatrując się w poręcz werandy.

– Chcesz takiej samej kłótni jak ostatnim razem?

– Nie – odparła cicho. – Chcę innych odpowiedzi.

– Lubię to, co robię.

– Zabijać ludzi?

Rourke spojrzał na żonę. Spozrzegł, że w jego kieszeni wciąż tkwi broń. Wyciągnął pistolet, potrzymał go chwilę w dłoni i położył na lodówce. Usiadł ponownie.

– Odpowiedz mi. Czy naprawdę lubisz przemoc?

– Odpowiem ci jeszcze raz – mówił po cichu gryząc tosta. – Lubię pracować z policją i wojskowymi. Uczyć ludzi, jak przetrwać. Jeżeli związane jest to z zabijaniem, trudno. Nie ja budowałem ten świat. Ktoś jednak musi nauczyć ludzi, jak w nim przetrwać. Wiem wszystko o terroryzmie, wojnach na małą skalę, ale tu chodzi o coś więcej. Większość ludzi zginęłaby, gdyby znalazła się w dziczy, na pustyni... straciwszy całą tę nowoczesną technologię w powodzi czy trzęsieniu ziemi. Większość ludzi...

– Takich jak ja?

– Tak, takich jak ty i inni. Czy wiesz coś o roślinach jadalnych? Czy kiedykolwiek zdzieraałaś skórę ze źmii, nie wiedząc, czy udało ci się wybrać z niej cały jad, bo gdybyś jej nie zjadła, umarłabyś z głodu? Nie. A ja tak.

– I co za to chcesz. Medal? Nie mam nic przeciwko tej stronie twojego zajęcia, ale dlaczego zawsze związane jest to ze śmiercią? Na pewno masz nadzieję, że Rosjanie zajmą Pakistan, a my rozpoczniemy z nimi wojnę. Potem wszyscy będą musieli przyznać ci rację. – Zmarszczywszy brwi krzyknęła nagle:

– Jak przetrwać śmierć i zniszczenie: prace zebrane, J.T. Rourke; uznany ekspert technik przetrwania i broni. Tak, to prawda, proszę państwa, on powie wam, jak przeżyć wojnę, głód i śmierć i za darmo dorzuci jeszcze zarzę.

– Do diabła, kobieto! – zaklął Rourke łykając kawę. – Gdybym naprawdę myślał, że w to wierzysz, dawno zrezygnowałbym z tego, co jest między nami.

– Co? Rozwód zamiast obecnej separacji? Rourke wstał, obszedł stół i położył dłoń na jej ramieniu. Czuł, jak Sarah opiera twarz na jego dłoni i całuje palce.

– Dlaczego ze sobą walczymy? – zapytała spokojnie.

– Ponieważ się kochamy. Inaczej dawno zrezygnowalibyśmy z siebie.

– W tym – odparła – na pewno masz rację.

Rourke opadł na kolana, obok krzesła, na którym siedziała i objął ją w talii. Mocno do niego przylgnęła. Pozostali w takiej pozycji przez długi czas.

Kiedy Rourke wstał, kawa i całe śniadanie były już zimne.

– Zaparzę jeszcze trochę kawy. Napijesz się? – zapytała, stojąc przy piecyku po drugiej stronie kuchni.

– Tak, napiję się jeszcze – koniuszki jego ust podniósł uśmiech. Włączył ekspres do kawy i poszedł za nią do pracowni.

– Jaki tytuł ma twoja ostatnia książka? – zapytał pochylony nad stołem kreślarskim.

– Na razie nie ma żadnego – odpowiedziała pochylając głowę nad rysunkiem razem z nim. – Podobają ci się?

– Irbis? – Rourke wskazał na jeden z rysunków u góry stołu. Był częścią całej kompozycji. Sarah zawsze robiła oddzielnie pierwsze plany i tła, dopiero potem łącząc je w całość. Był to powolny proces, ale ilustracje do książek, które również pisała, zdobywały przez wiele lat znaczące uznanie krytyki.

– Tak – jej głos brzmiał miękko i dziewczęco, dziewczęco jak ona sama na zdjęciu, które Rourke nosił przy sobie. – Ta książka będzie o irbisie. To zwierzę żyje na drzewie, prawie wcale z niego nie schodząc. Mój musi to zrobić, musi zejść i zobaczyć nowy świat, roztaczający się tuż pod nim. Rourke przyciągnął ją do siebie.

– A co z kawą? – powiedziała, odpychając jego pierś rękoma.

– Wyłącz ekspres.

– Dobrze.

Trzymając się za ręce, wrócili na chwilę do kuchni, gdzie Sarah wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Potem, mijając holl, weszli na piętro, prosto do sypialni.

Słońce oświetlało szyby zasłoniętych okien. Rourke przytulił ją do siebie. Rękoma mocno objął jej plecy i pośladki. Ona zaplotła dłonie na jego szyi. Podniosła głowę, a on całował jej usta, delikatnie, potem coraz silniej. Czuł dotyk jej palców na swojej twarzy, badając znajome zakątki jej ciała.

Stojąc przy oknie rozbierali się nawzajem. Sarah uśmiechnęła się zawstydzona, kiedy zdejmował jej biustonosz. Przez chwilę stali nadzy, wciąż objęci, oglądając jesienny pejzaż po drugiej stronie szyby. Ich ziemia ciągnęła się przez kilometry w kierunku lasu.

– W Pakistanie, w górach – szepnął Rourke – jest teraz zima.

Sarah zasłoniła palcami jego usta, a on pocałował ją jeszcze raz i zaprowadził do niezastłanego łóżka.

Usiedli na jego brzegu. Sarah opowiadała mu o tym, co Michael i Ann robili od czasu, kiedy widział ich po raz ostatni, tuż przed wyjazdem do Pakistanu. Potem łagodnie i lekko wpadli na łóżko, wślizgując się pod nakrycie i ogrzewając nawzajem swoje ciała dłońmi.

Rourke poczuł jej palce między swoimi udami. Sam dotykał jej piersi i ud, następnie przesunął się nad nią, wchodząc powoli w jej ciało, które naprężone wygięło się w łuk. Całował jej szyję, policzek, napotykał w końcu wargi. Koniuszek jej języka przywitał go od razu i zaprosił do środka. Ręce Sarah były dla niego przewodnikiem, kiedy wychodził naprzeciw jej ruchom. Wilgoć i żar jej ciała, napięcie mięśni sprawiły, iż parł coraz głębiej.

Jej oddech stał się szybszy i urywany, ruchy ciała także. Oczy miała zamknięte, powieki drżące, a słońce rozlewało swoje światło na twarz, którą znał tak dobrze...

Potem wzięli razem prysznic i poszli na spacer. Rourke miał na sobie jeansy, wysokie buty, jasnoniebieską podkoszulkę i rozpiętą skórzaną kurtkę. Sarah obejmowała go w pasie. Drżała, kiedy dotarli do małej polany, kilkaset metrów od domu.

– Dlaczego wróciłeś, John? – zapytała spokojnie.

– Zobaczyć, czy zdołamy połatać nasze życie. Nie obchodzi mnie, co myślisz na temat mojej pracy. Ale chcę być z tobą, z tobą i dziećmi.

– A co z nimi? – powiedziała. – Nie chcę, żeby dorastały myśląc, że śmierć i przemoc są rzeczą zwyczajną, tak jak ty sądzisz. Może masz rację, nie wiem. Może ja ją mam. Ale jeżeli nikt nic nie zrobi, jeżeli wszyscy przygotowują się na zniszczenie, nie będzie żadnej cywilizacji, którą można by zburzyć. Czy wiesz, co mam na myśli?

– Jeśli świat ma zginąć, nie chciałabyś o tym wiedzieć, tak?

– Możliwe. Nie chcę, żeby Michael i Ann dojrzewali w atmosferze przemocy, są przecież inne rzeczy. Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej. Ale ty to ignorujesz.

Rourke oddalił się od niej i usiadł na kłodzie drzewa na środku polany. Po chwili, Sarah była znów przy nim, opierając ręce na jego ramionach.

– Po tych wszystkich latach, ciągle nie rozumiesz tego, co robię – powiedział. – Powinnaś wyjechać ze mną. Może wtedy zrozumiesz to lepiej.

– Co?

– Przez ostatnie lata wpakowałem w swój schron kupę pieniędzy, ty nigdy nie chciałaś go

obejrzeć. To nie żaden arsenał. To część cywilizacji, bezpieczny zakątek. Dlatego właśnie zbudowałem go wysoko w górach. Można się tam dostać konno lub na motorze, w sprzyjających warunkach małym pojazdem.

Usiadła obok niego i odparła:

– W porządku. Opowiedz mi o tej kryjówce.

Rourke spojrział na nią. – Dobrze opowiem ci o niej. Nigdy nie chciałaś o tym słyszeć – westchnął.

– Z początku była to zwyczajna jaskinia. Kupiłem ten kawałek góry, potem odciąłem go zupełnie od świata. Jest zabezpieczony przed wodą i wszystkim innym. Korzystając z naturalnej konfiguracji skał, zbudowałem tam drugi dom, dla całej rodziny. Miejsce, gdzie moglibyśmy się schronić przed wszystkim, w którym żylibyśmy jak ludzie nawet wtedy, kiedy wszystko przestałoby istnieć. Wejście do jaskini przerobiłem na długi korytarz. Przy jego końcu znajduje się ogromna sala, sufit jest wysoki na dziesięć metrów i tworzy go oryginalne skalne sklepienie. Jest też biblioteka, pokój dzienny, wypoczynkowy, wszystko, co potrzebujesz, żeby normalnie mieszkać. Dalej są trzy mniejsze pokoje. Dalej jeszcze jeden i kuchnia. I łazienka. Energia elektryczna pochodzi z generatorów napędzanych przez podziemny strumień. Ogrzewanie jest elektryczne, a ochłodę dają skały.

– To brzmi jak film fantastyczny.

– Być może – przytaknął Rourke. – Ale ta kryjówka to przytulne, piękne, wygodne i bezpieczne miejsce. Powietrze dostarczane do pomieszczeń jest filtrowane. W tyle jaskini zbudowałem szklarnię. Ten dom jest samowystarczalnym środowiskiem. Książki, muzyka, video, żywność, której starczy dla nas czworga na parę lat. Zrobiłem nawet zapas alkoholu. To nie jest arsenał. Większość broni mam przy sobie, tam trzymam tylko parę sztuk. Sporo amunicji, ale to dla bezpieczeństwa, jeśli zajdzie potrzeba. Również na polowania, ale nie do walki.

– Jeśli dojdzie do katastrofy, John, czy nie odnajdą twojej kryjówki? Czy coś takiego można utrzymać w tajemnicy?

– Naszej kryjówki – poprawił ją Rourke – nie odnajdzie nikt. Z zewnątrz wygląda jak zwyczajny, granitowy uskock skalny. Wejście jest doskonale ukryte. Nikt jej nie znajdzie. Chyba, że będzie o niej wiedział i przeczesze całą okolicę. Nasza kryjówka ma nawet wyjście bezpieczeństwa wzdłuż strumienia, który dostarcza energii. Woda jest świeża. Mam do niej filtr, jeśli będzie kiedykolwiek potrzebny, ale ta woda wystarczająco długo znajduje się pod ziemią. Jest bardziej przejrzysta i słodka, niż cokolwiek, co w życiu piłaś. Jest zimna, początek bierze zapewne gdzieś w Kanadzie.

Nagle spojrzała mu w oczy i zapytała:

– Dlaczego nie jesteś w Kanadzie na wykładach, John?

– To proste – odpowiedział stłumionym głosem, wpatrując się w przestrzeń między stopami. – Kiedy razem ze swoim pakistańskim łącznikiem leciałem helikopterem, widziałem pierwsze uderzenie sowieckiej inwazji. Wciąż mam mnóstwo kontaktów z CIA i Departamentem Stanu. Jeśli Rosjanie nie opuszczą Pakistanu, wejdziemy z naszymi wojskami, żeby ich stamtąd wykurzyć. Wiem co może się stać.

– Na Boga, John, nie. Nikt nie będzie na tyle nierozważny żeby rozpocząć wojnę. Nie wierzę w to.

– Cóż – Rourke mówił dalej. – Mam nadzieję, że masz rację. Na wypadek, gdyby jednak tak nie było, chciałem namówić cię na przeprowadzkę z dziećmi do kryjówki. Zostaniemy tam, póki całe to zamieszanie nie ucichnie, albo...

Sarah przerwała mu:

– Albo zacznie się wojna i nie będziemy mogli kryjówki opuścić.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

– Jedź do Kanady – szeptała. – Kiedy wrócisz, spróbujemy od nowa. Może nawet wybierzemy się do twojej, naszej kryjówki. Jak długo cię nie będzie?

– Trzy dni, łącznie z podróżą, cztery. Nie muszę wyjeżdżać.

– Musisz. Jeśli chcesz, żebym przygotowała się na kolejną próbę, musisz. Czy możesz zostać na noc i wyjechać rano?

– Chcesz tego?

– Tak – odparła Sarah szeptem.

ROZDZIAŁ VI

– Komańcz Dziewięć czeka w punkcie samoobrony, kapitanie – wyrecytował młody żołnierz wojsk powietrznych, uważnie studiując tablicę kontrolną. Oficer zdawał się wogóle go nie słyszeć i kontynuował przemarsz przed rzędem trzydziestu sześciu konsol na półpiętrze usytuowanym nad planem Globalnego Rozmieszczenia Strategicznych Sił Powietrznych, w dowództwie ukrytym na Szczycie Sioux. Lampki na tablicy zapalały się i gasły, świecąc różnymi barwami i wskazując pozycję i charakter lotów. Wiele z nich miało bursztynowy kolor. Te punkty były w promieniu zaledwie paru mil lotniczych od Związku Radzieckiego, a bursztynowy odcień oznaczał, iż samoloty uzbrojone są w głowice nuklearne i oczekują na rozkaz ataku na sowiecką obronę, gotowe ją zniszczyć przy pomocy elektronicznie zakodowanego klucza. Kiedy rozkaz zostanie wydany, tylko specjalny kod może zawrócić bombowce.

Na końcu szeregu konsol, które obserwował żołnierz w niebieskim mundurze, kapitan zawrócił i ruszył po podeście w kierunku przeciwległej ściany olbrzymiego, zbudowanego w kształcie amfiteatru, pomieszczenia. Tam również znajdował się niemal identyczny rząd konsol i czuwający przy nich żołnierze. Mapa na ścianę także nie różniła się specjalnie od swojej siostry z drugiej strony, poza układem i kolorem mrugających kontrolki. Tutaj żarówki były granatowe; sowieckie Iliuszyny 28 i bombowce Miasiszczew 500 były rozmieszczone w znacznej odległości od kontynentu amerykańskiego.

Kiedy kapitan mijał mapę, lampki zmieniły kolor, choć ich liczba pozostała taka sama. Pojawiło się znacznie więcej granatowych światełek. Zaniepokoiło to oficera, który zdecydował się powiadomić swojego przełożonego o balansie kolorowych kontrolki na obu planszach.

– Musisz wyjechać, kochanie. To tylko ostrożność, ale prezydent też jest człowiekiem. Jak mam dobrze pracować, skoro niepokoi mnie problem bezpieczeństwa twojego i dzieci? – uśmiechnął się do niej; nie tak jak podczas dnia wyborów lub podczas konferencji prasowych słysząc dziwne pytania, ale tak, jak uśmiechał się tylko do niej i do dzieci. Obejmując ją, stwierdził, że był to jego jedyny prawdziwy uśmiech. Tak niewiele rzeczy w tych czasach przynosiło radość.

– Dlaczego, Andrew – szepnęła, opierając policzek na ramieniu jego trzyczęściowego, granatowego garnituru – dlaczego nie pojedziesz z nami? Równie dobrze możesz wszystko kontrolować ze Szczytu Lincolna. Sam mi to mówiłeś.

– Marilyn – starał się, żeby jego głos brzmiał mniej poważnie. – Jeżeli prezydent uciekłby ze swojego wojennego schronu, wyglądałoby na to, iż spodziewa się wojny, a to dopiero mogłoby ją spowodować. Póki przeprowadzamy ćwiczenia, choć w rzeczywistości tak nie jest, nie mogę tam pojechać. Gdybym to zrobił naród oczekiwałby wojny w każdej chwili.

– A czy wojna nie wybuchnie, Andrew? Gazety, komunikaty od ambasadora Stromberga. W ciągu tak niewielu dni już dwa razy przyjeżdżał z Moskwy.

– Wiem, kochanie. Sowiecki premier blefuje. Ta laserowa broń, o której mówi, jest wciąż w fazie eksperymentu. Gdyby Moskwa rzeczywiście była w nią uzbrojona, wiedzielibyśmy o tym. Niestety telewizja i prasa nie wierzy, że mówimy Rosjanom prawdę, ostrzegając ich przed ryzykiem naszej odpowiedzi militarnej. Premier po prostu nie chce przyjąć do wiadomości faktu naszej przewagi wojskowej. Blefuje, i jeśli będę musiał, przyłapię go na tym. Chcę jednak uratować jego wiarygodność, jeśli potrafię i jeżeli on mi na to pozwoli. Znam problemy, z którymi boryka się na Kremlu. Wkrótce będę z nim rozmawiał na gorącej linii. Wyjdziemy z tego. Pamiętaj kochanie, premier jest doświadczonym politykiem i rozsądnym człowiekiem. Porozmawiamy jak rozumni ludzie.

Prezydent wraz z żoną przeszli obok gabinetu owalnego i korytarzem udali się wąskimi, kamiennymi schodami w kierunku ścieżki prowadzącej do pomieszczeń mieszkalnych Białego Domu. Dzieci już czekały. Andrew Junior – lat siedemnaście, Louise – lat czternaście, która otrzymała imię po babce, i Bobby – lat osiem.

– Hej, tatusiu! – wykrzyknął Bobby, pędząc do prezydenta z zabawkowym pistoletem laserowym.

Prezydent schylił się, złapał chłopca w ramiona i uniósł wysoko do góry.

– Jak się masz, kosmonauto? Jakie są ostatnie wieści z Alfa Centauri?

– Tatusiu, to tylko zabawa.

– O kay – odpowiedział prezydent. – Co powiesz na całusa, to rozkaz głównodowodzącego floty kosmicznej.

Chłopiec objął go za szyję.

Prezydent spojrział na żonę, potem postawił syna na ziemię.

– Chcę, żebyś zaopiekował się mamą, Bob. Wiesz, że nie lubi latać helikopterem. Aha, porucznik Brightston obiecał wynaleźć każdą taśmę video, jaką sobie zażyczysz i puścić ją na dużym ekranie, więc nie pozwól mu o tym zapomnieć.

– Mam cię! – krzyknął chłopiec, dając ojcu szybkiego całusa i uciekając natychmiast do starszego brata i siostry, stojących przy krawężniku.

Kącikiem oczu prezydent zobaczył szefa swojego sztabu, Paula Doriana, zbiegającego po schodach.

– Ruszajcie, Marilyn – powiedział, oczekując Doriana z przygarbionymi od chłodu ramionami.

– Co się stało, Paul?

– Trwa alarm, panie prezydencie. Etap gotowości już wszędzie odwołano. Wiadomość z dowództwa na Szczycie Sioux mówi, że Rosjanie robią to samo. CIA potwierdziła tę informację, jak również wywiad Sił Powietrznych.

– Gorąca linia?

– Gotowa, panie prezydencie. Premier jest osiągalny.

– Dobrze – odpowiedział prezydent, choć jego głos jakby zamarł w gardle. – Paul?

– Tak, panie prezydencie.

– Niech zaczną uruchamiać Projekt Eden... w razie czego.

Prezydent obserwował napiętą twarz Paula Doriana. Wspomnienie projektu Eden zaniepokoiło go bardzo. Zmierzając do żony i dzieci na trawnik Białego Domu, gdzie oczekiwał jego osobisty helikopter, prezydent pomyślał: Wszystko w porządku. Przyszedł czas, aby Paul Dorian zaczął się

martwić.

ROZDZIAŁ VII

Elizabeth Jordan odgarnęła z czoła kosmyk włosów i schowała go pod czapkę, potem wystukała odpowiedź do Jurija Borstoja, który czekał po drugiej stronie gorącej linii.

– Już, prezydent będzie wkrótce na linii.

– Co myślisz na ten temat, Liz?

Czekała, aż satelita przekaże jej wiadomość, a Jurij, mężczyzna, którego znała od trzech lat, ułożył odpowiedź. Podobnie jak ona, Jurij był samotny. Na początku żartem, a w ostatnich miesiącach całkiem poważnie, rozmawiali o spotkaniu. Gorąca linia była zawsze otwarta, testy i próby sprawdzały, czy niezbędne połączenie między Wschodem i Zachodem pracowało bez zarzutów. Kiedy kończyły się oficjalne testy, niemal zachęcano pracowników do stałej pogawędki na linii, ażeby ciągle mieć pewność jej ciągłej gotowości.

Nigdy nie słyszała głosu Jurija, wyobrażała go sobie tylko. Nigdy też nie widziała jego twarzy, ale opisywali się sobie nawzajem, miała więc wystarczające wyobrażenie o tym, jak wygląda. Teraz, oczekując na odpowiedź, próbowała go zobaczyć w wyobraźni. Było to łatwe. Twarz miał pociągłą. Mówił, że studiował wieczorowo na politechnice o nazwie, której nie potrafiła wymówić, i często nie wysypiał się, pod oczami musiały więc zagościć ciemne kręgi. Włosy miał czarne i proste. Był od niej młodszy, miał tylko 24 lata. Zdradził też brązowy kolor swoich oczu.

– Liz – rozpoczął wiadomość. – Również się martwię. Nie powinienem tego mówić, ale rozsądni ludzie są czasem zdolni do nierozsądnych posunięć. Premier będzie na linii za chwilę. Muszę kończyć. Kocham cię.

Nie miał nawet czasu na wymówienie imienia. Linia ucichła, prezydent i premier mieli wkrótce rozpocząć. Zdała sobie sprawę iż po raz pierwszy powiedział jej:

– Kocham cię.

ROZDZIAŁ VIII

– Czytałem wszystkie książki i artykuły, które opublikowałeś, John. Fascynujące. Ta rzecz o hipertermii mogłaby uratować parę istnień.

– O to właśnie chodzi, majorze – odpowiedział Rourke, opadając na krzesło. Miło z twojej strony, że zaprosiłeś mnie do siebie.

– Cudzoziemiec w obcym kraju, wiesz. Tak, czy owak, miałem również swoje powody – powiedział inspektor Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, z uśmiechem wręczając Rourke'owi drinka.

Rourke przyjął whisky i pociągnął łyk, potem zapytał:

– Jakie powody?

– Jak pewnie wiesz, John, nasze działania mają dużo wspólnego z wieloma rodzajami broni dla wojska, to nie żaden sekret. Myślałem trochę o uzbrojeniu naszych specjalnych oddziałów policji. Wiem, że nauka przetrwania to nie jedyna rzecz, którą się zajmujesz. Znasz również broń. Pomyślałem, że wyduszę z ciebie kilka opinii, częstując cię whisky i kuchnią mojej żony.

– Śmiało – śmiejąc się zachęcił go Rourke.

– Duszą jesteś gdzie indziej, powiedz! Ta burza śniegowa pokrzyżowała ci plany, wylatujesz dzisiejszego wieczoru. Ale meteorologowie zapowiadają poprawę do jutra do południa. Dziś musisz o tym zapomnieć.

– Martwię się o rodzinę, cała ta gadanina o wojnie...

– To tylko gadanina – podsumował optymistycznie Kanadyjczyk. – Mam nadzieję.

– Zmiana tematu – zaczął Rourke uderzając pięściami w kolana. – Co chcesz wiedzieć?

– Cóż – Inspektor dotknął wąsa lewą dłonią. – Kiedy nie uczysz technik przetrwania i nie walczysz z terrorystami, czego używasz?

– Chcesz wiedzieć, jaką broń wybrałbym dla siebie, a jaką zaproponowałbym tobie?

– Czytałem twoje propozycje na temat różnych rzeczy częściej, niżli mógłbym spamiętać, John. Chcę żebyś mi powiedział, czego ty używasz.

– W porządku – odparł Rourke, wstając i podchodząc do barku. Opierając się o blat, rozpoczął:

– Krótko i na temat. Czuję kolację. Mam mnóstwo pistoletów i noży, i innych rzeczy, ale polegam zaledwie na kilku. Zawsze je noszę przy sobie – odpiął kurtkę, odsłaniając bliźniacze pistolety detonics, kalibru 8,07 mm, spoczywające w kaburach pod pachami. – Najlepsze automaty, jakie znam. Bez wyjątku, czy chodzi o celność, czy niezawodność, czy wreszcie o parametry i możliwości ich ukrycia. Ta nierdzewna stal jest najlepszej jakości. Prawie nie znajduję czasu, aby je czyścić, a nie ma na nich śladu rdzy czy korozji. Działają za każdym razem i łatwo można zmieniać

standardowe magazynki.

– Co jeszcze? – zapytał major.

– Co jeszcze? – powtórzył Rourke. – Kiedy walczę, zawsze mam przy sobie kolta Pytona, sześć cali, oraz zestaw dwudziestodwumilimetrowych komór wymierzonych do długich pistoletów i otulinę do nich, prosto od Harry'ego Dwensa. Rewolwer dobry na wszystko, na niedźwiedzia i wiewiórkę. Czasem używam też kolta Zawmana, najczęściej wtedy, gdy potrzebuję trzeciej sztuki, którą muszę ukryć.

Rourke przerwał i zapalił cygaro. Kiedy chciał mówić dalej, usłyszał kroki żony inspektora.

– Może panowie chcieliby posłuchać radia? – powiedziała stonowanym głosem.

Bez słowa podeszła do rogu wbudowanych w ścianę półek i przycisnęła włącznik odbiornika. – „...wskazują, iż prezydent Stanów Zjednoczonych i radziecki premier zakończyli długą rozmowę, nie osiągając kompromisu. Anonimowy oficer Pentagonu wysokiej rangi powiedział, że oddziały Amerykańskich Sił Uderzeniowych Dalekiego Zasięgu – mobilne jednostki złożone z żołnierzy wszystkich rodzajów wojsk, analogiczne do naszych specjalnych komand – są w tej chwili przetrzucane drogą powietrzną do Pakistanu. Oficjalne źródła waszyngtońskie są nieosiągalne, nie sposób tych wiadomości potwierdzić lub im zaprzeczyć. Wracamy do naszego regularnego programu. Kolejne wiadomości podamy, gdy tylko je otrzymamy.” – Żona inspektora wyłączyła radio.

– To Roger Carrzborne – powiedział major, mechanicznie wychylając drinka. – Równy gość, jeden z naszych najlepszych reporterów...

– Muszę się stąd wydostać rzucił Rourke, uderzając na wpół pustym pucharem w blat barku i rozlewając whisky.

ROZDZIAŁ IX

– Mój brat – opowiadał młody żołnierz, rozcierając zmarznięte dłonie – ma łatwą pracę. Rozmawia sobie z Amerykanką dzięki temu satelitarnemu połączeniu między Moskwą z Waszyngtonem. Tak właśnie robi Jurij. Mówi, że się w niej zakochał, choć nigdy jej nie widział. Jemu jest ciepło, mi zimno. On gawędzi z Amerykanką, ja pilnuję pustych ciężarówek, gdzieś na górskiej drodze w Pakistanie. On siedzi na krześle, ja stoję na śniegu. To niesprawiedliwe.

– Za dużo gadasz – przerwał mu sierżant, opierając się o zderzak ciężarówki. – Iwanie, powiem ci prawdę, Amerykanie mogą w każdej chwili nadejść i rozpocząć walkę. Nasi oficerowie rozmawiali o tym przed chwilą.

– To dobrze – odpowiedział Iwan. – Przynajmniej będę miał co robić, zamiast marznąć tutaj, trzymając w ręku ten cholerny karabin.

– Miałem szesnaście lat, kiedy stałem tak z karabinem, bez jednego naboju, podczas oblężenia Stalingradu. Nie narzekaj młodzieńcze – zareplikował szeptem sierżant. – Też było zimno, a w butach miałem dziury. Dzisiaj karabin jest załadowany, a buty całe.

– Dlaczego jesteśmy tutaj? – Iwan zapytał drżącym głosem.

– Jesteśmy Rosjanami, dlatego tu jesteśmy. Powiedz mi, czy ty i twój brat, który żyje dostatniej macie matkę albo siostrę?

– Dwie siostry, towarzyszu sierżancie. Nasza matka nie żyje.

– Walczysz więc za swoje siostry – kontynuował sierżant. – Nie bij się za coś czego nie pojmujesz, za politykę, za przemówienia. Walcz za coś, co znasz i wtedy będziesz silniejszy, odważniejszy. Żyj i bądź dzielny. Mam trzech wnuków, młodszych od ciebie. Biję się za nich. Dawno temu walczyłem za swoją żonę. Ale teraz już nie. – Sierżant przerwał nagle, po czym odwrócił się i zakaszłał.

Iwan zaczął mówić:

– Towarzyszu sierżancie, przepraszam. Ostatnie słowo ugrzęzło mu w gardle, u nasady nosa wytrysnęła mu nagle fontanna krwi; młody żołnierz opadł na ciężarówkę, wypuszczając z dłoni kałasznikowa.

Sierżant rzucił się na śnieg i wczołgał pod pojazd. Sprawdziwszy, że chłopak nie żyje, wpełzł jeszcze głębiej pod ciężarówkę i krzyknął:

– Atakują nas!

Nie było słyhać odgłosu wystrzału. Czy strzelał snajper używając tłumika?

Kiedy sierżant wysliznął się spod pojazdów, jego płaszcz był biały od śniegu. Stał na nogi. Bolały go zmarznięte kolana. Zgarbiony zaczął biec w kierunku głównego zgrupowania żołnierzy.

Słyszał już odgłosy z obozowiska, krzyki, nagłe komendy, terkot karabinów.

Głupcy! – pomyślał. – Do kogo oni strzelają?

– Odwrócił głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć w ciemność, z której nadleciała kula, która zabiła Iwana. Nie widział nic.

Nagle upadł. Najpierw myślał, że potknął się o coś, co przykrywał śnieg, lecz kiedy próbował wstać, pojawił się piekący ból w lewym boku. Dotknął rannego miejsca prawą ręką, sięgając w poprzek ciała. Na rękawicy zobaczył krew. Sierżant podniósł się i ruszył do przodu, robiąc krok, dwa, trzy i wpadając ponownie. Przyciskając Iwana do mokrego śniegu, wydobył głęboko z piersi głośny krzyk – Natalia! – Potem zamknął oczy.

Cieżarówka podskakiwała na drodze, której koleiny pokrywał gęsty śnieg. Sierżant spoglądał na żołnierzy, poważniej niż on rannych. Czuł się na tyle dobrze, że mógł siedzieć, zamiast leżeć na noszach. Bok bolał go, w głowie szumiało mu trochę od morfiny, zaaplikowanej mu przez sanitariusza. Oparł się o budę samochodu i palił papierosa. Nie smakował mu. Myślami wrócił do Berlina, gdzie pod koniec drugiej wojny z Niemcami spotkał amerykańskich żołnierzy. Próbował przypomnieć sobie nazwy ich papierosów. Pamiętał, że jedne z nich nazywały się „Lucky”. Inne, których nie zapomniał miały na opakowaniu wielbłąda. Sierżant zabrał kiedyś swoich wnuków do ZOO i pokazywał im wielbłąda, opowiadając o papierosach, pakowanych w pudełka przedstawiające to właśnie zwierzę.

Zaciągnął się papierosem, próbując sobie wyobrazić, że pali amerykański tytoń. Wyrzwał z ciężarówki i zobaczył miejsce, gdzie pakistański snajper zastrzelił szeregowego Iwana Meliskowicza. Dwaj żołnierze z plutonu sierżanta złapali go w końcu; do tego czasu zdołał jednak zabić jeszcze trzech Rosjan. Sierżant przymknął oczy, i starając się zapomnieć o rzucającej na boki ciężarówce, pytał sam siebie, czy Iwan palił kiedykolwiek amerykańskie papierosy.

ROZDZIAŁ X

– Myślę, że to absolutnie czarujący pomysł, panie ambasadorze. – Pani Justine Colbert-Smythe zdawała się pasjonować własnymi słowami. – Wszyscy tak długo czekali na ten bal dobroczynny, a teraz, kiedy nadchodzą Rosjanie... Bóg wie, do czego zostaną zmuszone tutejsze organizacje zbierające fundusze.

– Cieszy mnie bardzo, iż podziela pani moje zdanie – ambasador Bruckner obdarzył ją uśmiechem. – Teraz jeśli panie pozwolą – spojrzał dobrotliwie na zgromadzone wokół niego grono podstarzałych matron – muszę przejść do biblioteki na pilne rozmowy ze współpracownikami. – Ukłonił się lekko, zmierzając do wyjścia.

– O tej wojnie, która wybuchnie, tato? Bruckner spojrzał na swoją dziewiętnastoletnią córkę Cheryl, stojącą obok grupy starszych kobiet, z attache francuskiego wywiadu pod rękę, z którym widywała się już od sześciu miesięcy. Młody Francuz był nieco zmieszany.

– Panikujesz, moja droga – rzucił Bruckner, podchodząc do córki. Była dzisiaj gospodynią wieczoru. – Nieprawdaż? – zapytał jej towarzysza. – Czyż nie panikuje, Charles?

– Tak, jak pan mówi, monsieur ambasador, czyż nie panikuje?

Bruckner wlepił na chwilę wzrok w młodego mężczyznę, potem pochylił się nad Cheryl i pocałował ją w policzek. Nie lubił Charlesa Montanda, nie uważał go za dobrego pracownika wywiadu. Za dużo mówił, poza tym zawsze istniało prawdopodobieństwo, iż spotyka się z jego córką tylko w celu zdobycia informacji. Montand traktował tę znajomość poważnie od momentu, kiedy ambasada Stanów Zjednoczonych w Pakistanie zaczęła pilnie obserwować ruchy wojsk sowieckich w sąsiednim Afganistanie. Wielu doborowych fachowców amerykańskiego wywiadu przewijało się przez ambasadę. Mimo młodego wieku, ze względu na wdowieństwo swego ojca, z czego ten gorzko zdawał sobie sprawę, Cheryl była w takiej samej sytuacji jak żony innych ambasadorów, zbyt dużo wiedziała.

– Muszę już odejść, kochanie – powiedział Bruckner pełniejszym głosem. – Dopilnuj, żeby ten ostatni bal przebiegał jak najlepiej, dobrze? Pamiętaj, samolot odlatuje o szóstej rano. – Mówił zwracając się do Montanda. – Nie zobaczymy się już, Charles, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości – dodał, próbując ukryć radość w głosie.

– Ależ nie, monsieur ambasador. Wysyłają mnie do ambasady w Waszyngtonie. Promocja.

– O – Bruckner starał się uśmiechać.

– Oui. Wiedziałem, że to pana ucieszy. Za pozwoleniem pańskiej wspaniałej córki, będę mógł dalej ją widywać. – Montand zapalił papierosa, którego wyciągnął z małej, srebrnej papierośnicy.

Bruckner ponownie się uśmiechnął, nienawidził mężczyzn używających papierośnic.

– Cóż, westchnął, odchodząc od córki i Francuza – jak wytrzymujecie stanie tu i rozmowę ze starcem, mając tak dobre wieści. Powinniście się bawić.

– Bawić, tato? – wyszeptała córka, spoglądając w dno szampanki, którą trzymała w dłoni.

Bruckner podziwiał jej blond włosy i błękitne oczy pod długimi rzęsami. Wyglądała, jakby odrodziła się w niej jego żona, zmarła przy porodzie Cheryl.

– Jesteś tak podobna do swojej matki – Bruckner zapomniał o stojącym obok młodym Francuzie. – Nawet twój upór. – Pocałował ją znowu w policzek i odszedł.

Idąc korytarzem do biblioteki, spojrzął przez duże okno na zaciemniony trawnik i rzeźbione w metalu pręty ogrodzenia, oddzielającego teren ambasady od Pakistanu. Przed budynkiem widział samochody i minibusy oraz światła do telewizyjnych kamer. Reporterzy tkwili tam od dwunastu godzin, od chwili kiedy Stany Zjednoczone i paru ich sojuszników, ogłosiły chęć opuszczenia pakistańskiej stolicy. Sprawy oficjalne pozostawiono w rękach groźnego Szwajcara. Bruckner pomyślał z goryczą o tym, że będzie musiał powiedzieć coś dziennikarzom, albo opuszczając ambasadę, za sześć godzin, albo na lotnisku.

Zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami do biblioteki i rozpiął kamizelkę. Nie znosił oficjalnych strojów. Z szerokim zamachem pchnął drzwi obiema rękami.

– Panowie – rozpoczął, zmierzając do swego biurka i wymieniając ukłony z każdym z gości: ambasadorami Francji, Wielkiej Brytanii, zachodnich Niemiec, i Szwajcarii. – Mam nadzieję, że panowie piją koniak – powiedział, poprawiając poły fraka, kiedy siadał za biurkiem na krześle obitym skórą.

– Reinhardt? – zaproponował, sięgając po butelkę. Szwajcarski ambasador poprosił go, by został na miejscu.

– To jest mój lekarz i moja żona. Ona donosi mi o wszystkim. Żadnego alkoholu. Okropny sposób na życie – podsumował Szwajcar, dmuchając w pustą fajkę i drażniąc tym dźwiękiem Brucknera.

Napełniwszy duży, kryształowy kieliszek kilkudziesięcioma gramami koniaku, Bruckner przepłukał gardło.

– Podejrzewam, że wszyscy wiemy o co chodzi.

– Zwracając się do ambasadora Szwajcarii, dodał:

– Przykro mi zostawiać cię tutaj z naszymi kłopotami, Reinhardt.

– To cześć bycia Szwajcarem – odpowiedział mężczyzna i ponownie zajrzał do swojej fajki.

– Jestem pewien, iż mówię w imieniu wszystkich obecnych tu kolegów. Nasze rządy z pewnością nie zapomną tej przysługi, Reinhardt. Wracając do sprawy, hmm?

– Arnoldzie? – pytał ambasador brytyjski. – Co mówi CIA? Nasi chłopcy twierdzą, że Rosjanie idą na całego. Czy to oznacza wojnę?

Bruckner spojrzął na Anglika i siedzącego obok Francuza. – Mam nadzieję, że nie. Ale Rosjan trzeba powstrzymać. Prezydent i departament stanu są w kontakcie ze wszystkimi rządami państw sprzymierzonych, z brytyjskim premierem, francuskim prezydentem i niemieckim kanclerzem. Będę szczerzy, nie wiem, jak to się skończy.

– Czy prezydent USA wyśle swoje siły do Pakistanu, tak jak to obiecywał? – Przez chmurę papierosowego dymu przemówił francuski ambasador.

– Jeżeli moja odpowiedź pozostanie między nami – zaczął Bruckner, wiedząc, że tak będzie – odpowiem: tak. Część naszych sił szybkiego reagowania jest już gotowa do startu z Egiptu. Czekają na rozkaz.

– A jaki będzie rozkaz? – zachodnioniemiecki ambasador założył ręce na brzuchu, przypominając Bismarcka.

– Jest ultimatum czasowe, nieprawdaż, Arnoldzie? – wtrącił Anglik.

– Tak, to prawda – odpowiedział Bruckner, wpatrując się w koniak. – W chwili obecnej to już mniej niż doba. – Przesunął wzrok na zegarek.

– I gdzie to wszystko nawaliło, amis – Francuz zapalał kolejnego papierosa od żarzącego się poprzedniego niedopałka.

– Co takiego? Przepraszam, nie słuchałem – Bruckner zdawał się być nieobecny.

– Pytałem, gdzie to nawaliło? – Francuski ambasador podszedł do okna, rozchyłając na chwilę listwy żaluzji.

– Gdzie nawaliło co, Serge? – spytał Amerykanin bez przekonania.

– Jesteśmy myślącymi logicznie ludźmi. Rosjanie też. I nagle stoimy w obliczu końca ludzkości – Francuz mówił po cichu, głosem monotonnym i bez emocji.

– Serge, twierdzę, że całe to gadanie o końcu ludzkości... naprawdę... – mamrotał ambasador brytyjski.

– On ma rację – rzucił oschle Niemiec. Bruckner wstał, obszedł biurko i usiadł na jego brzegu. Wpatrując się w dywan, zaczął mówić:

– Zdajecie sobie sprawę, iż utkanie takiego dywanu zajmuje setki godzin? To sztuka niemal martwa w obecnych czasach. Tak jak grawerstwo. Nikt nie chce tracić na to sił.

– W takim razie nie jestem jedynym realistą w tym pomieszczeniu – powiedział Francuz, napotykać wzrok Amerykanina.

– Napiję się koniaku – stwierdził Reinhardt Gestler, ambasador Szwajcarii.

– Co? Ależ oczywiście, Reinhardt – Bruckner sięgnął po koniak. Kiedy go nalewał, zauważył, że trzęsącymi się dłońmi rozlewa alkohol po stole. Francuz podszedł do niego i odebrał mu butelkę i lampkę.

– Serge – powiedział Bruckner, zapominając na chwilę o pozostałych obecnych.

– Oui? – Ambasador francuski pewną ręką nalał koniak Szwajcarowi, potem oddał butelkę innym.

– Czy twój człowiek, Montand... czy jest tylko tym, za kogo się podaje? Muszę wiedzieć.

– To znaczy, czy szpieguje cię poprzez twoją córkę? – Nie. Nie Montand.

– Dzięki Bogu – westchnął Bruckner. Nie chciałem, żeby ją oszukiwał. Rozumiesz?

– Oui. Możesz być pewien, że nie oszukuje jej, choćby w tej jednej sprawie. – Kładąc rękę na ramieniu Amerykanina, dodał:

– Znałem cię, zanim jeszcze Cheryl przysła na świat. Jej matki również nie okłamywano w tej sprawie, mon ami.

Ręce Brucknera przestały drżeć. Koniak w lampce, którą dzierżył w dłoni znów nie poruszał się.

– Mam kilka formalnych spraw, sekretarz stanu chce, abyśmy razem je opracowali, za moment. – Opróżnił lampkę.

ROZDZIAŁ XI

– W porządku, spróbujemy. Symulujemy sytuację wymuszonej ucieczki i osadzenia łodzi na dnie – kapitan Mitch Wilmer mówił spokojnie do mikrofonu. Przez interkom za plecami słyszał słabe echo swojego głosu, który wracał do niego przez otwarte drzwi, prowadzące na mostek. – Zanurzamy się. Billings mój zastępca, mówi, że woda jest w sam raz. Będę informował was o wszystkim, o czym będzie trzeba.

Odłożywszy mikrofon na statyw na konsolce, wyróżniającej się w centrum mostka łodzi podwodnej „Benjamin Franklin”, Wilmer zwrócił wzrok ku młodszemu marynarzowi, który stał pod nim obok innego członka załogi. – Dobrze, Billings. Możesz zaczynać. Pete, zanurzaj ją – rzucił.

– Tak jest, kapitanie – krzyknął Billings. – Przygotować się na ujemną pławność. Jedna czwarta do przodu. Sprawdzić stery głębinowe na sterburcie, Smith; włączyć zbiorniki, numer dwa i cztery. W porządku. Teraz jeden i trzy. Zabezpieczyć.

Billings uśmiechnął się słysząc głos Wilmera. – Będę w swojej kabinie, Pete. – Spoglądając na swojego Rolexa pomyślał, że jest tylko o godzinę od Nowego Londynu w stanie Connecticut. Włożył czapkę i opuścił mostek. Wilmer zszedł pod mostek, do pomieszczeń dowództwa.

Wchodząc do środka, zapalił światło, minął część sypialną i ruszył prosto do biurka, które zajmowało daleki kąt głównej kabiny. Rzucił czapkę na stół, obszedł dookoła biurko i usiadł, zażywając kopenhaskiej tabaki. Potem wpatrzył się w stojące na blacie zdjęcie żony i dwóch córek.

Szukając w kieszeni spodni kluczy, odnalazł właściwy i otworzył nim dużą, fałszywą szufladę znajdującą się pod spodem biurka, po prawej stronie. Schylony przekreślił kombinację małego sejfu umieszczonego w środku, odsunął ognioodporne drzwiczki i sięgnął po kopertę, Wilmer zamknął sejf i szufladę, potem przerwał zalakowaną pieczęć z napisem „Ścisłe tajne”. Jej zawartość stanowiła następna koperta. Otworzył ją. Nagłówek informacji od szefa operacji morskich tworzyły tylko dwa słowa: „Gwiazda Poranna”.

– Wspaniale – mruknął do siebie Wilmer. Położył rozkaz na blacie i ponownie zajrzał do sejfu. Tym razem musiał wstać z krzesła, ażeby dosięgnąć samego końca skrytki i ustawić kolejny kod zamka do wewnętrznej przegródki. Tam znalazł wypukłe koperty, z których każda w lewym górnym rogu wydrukowane miała słowa-klucze i przestemplowana była wzdłuż krawędzi otwarcia; ostrożność, ażeby nikt w pośpiechu nie pomylił się w rozkazach.

– Zobaczmy – wymamrotał znów. – „Hippodrom”, „Indiana”, „Iglo”. – Przerzucając koperty zauważył, że ktoś nie zadbał o ich alfabetyczną kolejność. „Poker” poprzedzał „Barykadę”.

Znalazł jednak to, czego szukał.

– „Gwiazda Poranna” – przeczytał głośno, potem sprawdził czy koperta była odpowiednio

zalakowana, a także czy słowo-klucz było w lewym górnym rogu i na pieczęci. Wstał i podszedł do drzwi swojej kabiny. Zamknął je na klucz i zaryglował. Rozkaz to rozkaz, pomyślał. Wracając do biurka, otwierał kopertę.

Współrzędne w pierwszym paragrafie zaskoczyły go. Instrukcja polecała mu rejs starym szlakiem Perry'ego, przez Cieśninę Baffina i Grenlandię, przecięcie trasy badaczy polarnych, z której korzystał również Byrd i ominięcie Ziemi Franciszka Józefa. Potem miał przedrzeć się przez Morze Barentsa w kierunku półwyspu Kanin. Cel leżał na sześćdziesiątym siódmym stopniu szerokości północnej i trzydziestym stopniu długości wschodniej, niedaleko Murmańska, na Półwyspie Kolskim. Pół dystansu na Morzu Barentsa łódź musiała pokonać pod lodem.

– Wspaniale – powtórzył Wilmer. W okolicach Murmańska i Archangielska znajdowały się bazy łodzi podwodnych i one właśnie były jego celem.

– Kapitanie... – Głos w interkomie należał do Petera Billingsa, jego zastępcy.

– Tu kapitan, o co chodzi, Pete?

– Prawdopodobnie nic poważnego, ale Rosjanie zgromadzili dziś o wiele więcej trałowców niż zazwyczaj.

– Chcę znać ich liczbę, Pete – westchnął kapitan. – Unikajcie kontaktu. Będę u was za parę minut. Informujcie mnie, jeśli zajdzie potrzeba. – Wilmer wyłączył się.

– Trałowce – mruknął. Nie rozumiał, dlaczego sowiecka marynarka w tak dużym stopniu opierała się na nich. Ich system satelitarny był przecież tak dobry jak jego amerykański odpowiednik; tak przynajmniej sądzono. Łodzie podwodne mogły być tropione przez promienie podczerwone o wiele dokładniej, niż przez sonary działające z powierzchni oceanu. Wilmer wzruszył ramionami. Schował rozkazy na miejsce, do księgi pokładowej wpisał wszystko, co wydarzyło się do tej pory, włącznie z trałowcami, zamknął wewnętrzne i zewnętrzne drzwi sejfu i przekręcił klucz w biurku.

Schował klucze do kieszeni i niechętnie sięgnął do dolnej szuflady po przeciwnej stronie biurka. Leżał tam świeżo naoliwiony pistolet 1911 A 1 wraz z kaburą. Wstając założył pas z kaburą przez głowę i lewe ramię. Sprawdził magazynek i komorę, odciągnął iglicę i umieścił broń pod lewym ramieniem. Wilmer nigdy nie lubił broni, nie czuł się dobrze mając ją przy sobie, i wątpił, czy będzie w stanie trafić w cokolwiek, jeżeli zajdzie potrzeba.

Włączył interkom i system radiowęzła w całej łodzi. – Uwaga wszyscy marynarze. Mówi kapitan. Ogłaszam alarm. Dowódcy sekcji, zameldować się na stanowiskach. Oficerowie na mostku za dziesięć minut. – Chciał na tym zakończyć, ale po chwili namysłu, dodał:

– Będziemy płynąć pod lodem, blisko stałego lądu Związku Radzieckiego.

Łamał rozkazy, mówiąc o tym załodze, uważał jednak, że coś jest jej winien. – Nie prowadzimy działań wojennych. Powtarzam, to nie jest wojna. Nie przejmujcie się więc.

Włożył czapkę i wyszedł z kabiny. Po drodze na mostek spotkał pierwszego oficera, nerwowo oglądającego pistolet maszynowy, który trzymał w dłoniach. Wilmer uśmiechnął się do niego i rzucił:

– Wszystko gra.

Na mostku był bardzo długo, potem wrócił do kabiny wypocząć. Bez posiłku. Billingsowi powiedział:

– Obudź mnie, zanim dotrzemy do lądu, Pete. – Próbował zasnąć, lecz bez skutku. W końcu wziął dwie tabletki usypiające. Nie lubił posmaku, jaki zostawiały w ustach, ale zdawał sobie sprawę, że nie będzie czasu na odpoczynek, kiedy znajdzie się już pod lodem, a później... tego nie wiedział.

Zbudziło go pukanie do drzwi kabiny. Wilmer usiadł i otarł dłonią twarz. Nie cierpiał tabletek

również dlatego, że zawsze miał po nich sny. A co gorsza, pamiętał z nich tylko momenty przerażające.

– Tak – krzyknął i pukanie ucichło.

– Jesteśmy blisko lodu, kapitanie. – Przytłumiony głos po drugiej stronie drzwi należał do bosmana Dana Kimberly.

– Zrozumiałem, Dan – Wilmer wycedził przez wyschnięte usta. – Będę za moment. – Dotknąwszy twarzy, zdecydował, że musi się ogolić. Usiadł na koi i założył buty, po czym poszedł do łazienki.

Pięć minut później był na mostku kapitańskim, z pistoletem w kaburze pod pachą. Spostrzegł Billingsa. Podeszedł do niego i zapytał:

– Spałeś trochę, Pete?

– Nie, panie kapitanie. Wypocznę, kiedy wejdziemy pod lód.

– Masz szczęście, ja nigdy nie mogę zasnąć pod lodem. Pewnie mam klaustrofobię, albo niewiele mi do niej brakuje, po tych wszystkich latach. To straszna rzecz dla marynarza pod wodą, nieprawdaż?

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział Billings.

Wilmer spojrzał na mężczyznę siedzącego za najbardziej skomplikowaną konsolą na łodzi, urządzeniem o długiej, technicznej nazwie, którą wszyscy skracali do „Jakjejtam”. Maszyna stale odczytywała grubość lodu nad kadłubem jednostki.

– Włączyłeś „Jakjejtam”, Henderson? – zapytał Wilmer.

– Tak jest, panie kapitanie.

– W porządku. – Wilmer zwrócił się do Billingsa. – Wprowadź łódź pod lód, Pete.

Opierając ręce o poręcz na centralnym podeście, Wilmer przekonywał siebie, że nie ma żadnej różnicy. Ciągłe pod tonami wody, w tym przypadku pod tonami lodu. W każdej chwili można było wypłynąć na powierzchnię, chyba, że warstwa lodu była zbyt gruba. Operowanie instrumentami odbywało się na tej samej zasadzie, tylko odczyty urządzeń musiały być częstsze i bardziej precyzyjne.

W godzinę później, gdy Wilmer miał właśnie odesłać Billingsa na obiecany wypoczynek, marynarz przy sonarze zawołał:

– Jest punkt jakieś czterysta pięćdziesiąt od prawej burty.

– Czterysta pięćdziesiąt czego, człowieku? – wrzasnął Wilmer. – Wyduś to z siebie!

– Czterysta... trzydzieści metrów, panie kapitanie.

Wilmer był już przy nim, po prawej stronie widząc Billingsa stojącego za drugim operatorem konsoli.

– Radziecka, panie kapitanie? – zapytał Billings.

– Do diabła! Jeśli to amerykańska, to nikt mnie nie poinformował, że takie mamy. Tak, to sowiecka. Zatłoczona uliczka, co? – Wilmer spojrzał na swego zastępcę, potem ponownie na ekran.

Marynarz za konsolą przycisnął do uszu słuchawkę.

– Panie kapitanie, odbieram coś. Nie wiem, co to może być.

– Dawaj mi je – Wilmer wypowiedział słowa, które były o wiele surowsze niż ton jego głosu. Założył słuchawkę na głowę i zerknął na ekran. – Kiedyś siedziałem za sonarem, raz w życiu i dawno temu – wyrecytował powoli.

Zawołał do Billingsa:

– Załadować numer jeden i dwa ładunkiem konwencjonalnym, przygotować numer trzy do... –

Rzucając słuchawki, krzyknął:

– Do cholery, to był dźwięk torpedy!

– Panie kapitanie! Mamy ją na ekranie! Zbliża się do...

– Prawa na burzę, trzy czwarte do przodu. Cała do przodu! – dawał rozkazy Wilmer. Radziecka torpeda, tnąc wodę, minęła łódź po lewej burcie, chybiając zaledwie o parę centymetrów. W środku słychać było pracę silnika pocisku. Wilmer, Billings i wszyscy pozostali na mostku obserwowali ściany, jakby chcieli zobaczyć jego tor.

– Odpalić jeden! Odpalić dwa! – rzucił kapitan.

ROZDZIAŁ XII

– Brak odbicia strumienia. Dziesięć, dziewięć, osiem...

Michaił Worowoj obserwował całe urządzenie odpalające ze stalowej konstrukcji, z wyraźnym poczuciem satysfakcji na twarzy. Kiedy technik kontynuował odliczanie aktywacji ładunku laserowego w komorze cząsteczkowej, widział w wyobraźni samoloty wojskowe kierowane autopilotem w górnej części atmosfery i bezgłowicowe pociski wystrzeliwane z dalekiej Ukrainy.

– Jak się czujesz, Michaił? – usłyszał głos. Odwrócił głowę i zobaczył na ramieniu dłoni. Spojrzał w zimne, niebieskie oczy blondynki, która stała teraz obok niego. Biały, laboratoryjny fartuch ledwie przysłaniał to, co on znajdował niemal każdej nocy od pierwszego z nią spotkania, to znaczy od momentu rozpoczęcia przez nią pracy nad tym projektem.

– Ty pierwszy testujesz wieloczęściowe cele, zarówno w przypadku rakiet, jak i samolotów. Powinieneś być dumny, Michaił Andriejewiczu, duszeńko.

– Elizawieto – wyszeptał. – Wiesz, co to oznacza. Jeśli moja cząsteczkowa broń laserowa pomyślnie przejdzie ten test, wkrótce wejdzie w użycie, a broń nuklearna zostanie wyrzucona z arsenałów. Ta groźba nie będzie już nad nami wisieć jak jakaś plaga. Za parę lat, na mojej broni oprze się cały nasz kraj, i Amerykanie też. Nigdy więcej promieniowania, nigdy więcej masowego morderstwa.

– Wciąż uważasz, że to droga do pokoju, Michaił, wiem o tym – odparła Elizawieta.

– Odin – krzyknął technik. – Włączyć, naładować, jedna czwarta, jedna druga, trzy czwarte, cała moc.

– Mir – Worowoj ciągle powtarzał. – Pokój. Jest w zasięgu ręki, Elizawieto – mamrotał, trzymając jej małe dłonie w swoich. – Muszę tam zejść i wystrzelić osobiście, muszę.

Napotkał jej wzrok, uśmiechnęła się. Pocałował ją szybko w policzek, potem zaczął zbiegać po metalowej drabince. Brał po dwa szczeble na raz. Zamiast borykać się z trzema ostatnimi, zeskoczył od razu na ziemię i ruszył do centralnej konsoli sterującej.

– Odsuń się – powiedział technikowi. – Zrobię to sam. – Ciemne oczy Worowoja padły na rząd instrumentów, przycisków, wskaźników i diodowych czytników. – Jonizacja w punkcie dwunastym – krzyknął, przekręcając najbliższą tarczę. Przesunięciem włącznika otworzył połączenie z satelitą na orbicie polarnej i zaczął niespokojnie obserwować ekran. Najpierw zauważył punkt na niskim pułapie, który, jak wiedział, oznaczał pierwszy samolot. Potem dostrzegł następny. Wkrótce na monitorze pojawiły się rakiety.

– Odczyt pojemności! – zawołał. Zza pleców usłyszał głos:

– Dziesięć do piętnastu, do szesnastu, do siedemnastu – długa pauza – dziesięć do osiemnastu.

– Tak trzymać – przerwał Worowoj.

– Dziesięć do osiemnastu, pojemność utrzymana, brak odbicia – ponownie odpowiedział drugi głos.

Przebiegając wzrokiem po ekranie, Worowoj widział to, co instrumenty potwierdziły wcześniej – dwie nieuzbrojone rakiety zmierzające w kierunku samolotów. – Określam cel. Siatka 83, cel alfa. Siatka 19, cel beta. Siatka 48, korekta 49, cel gamma. Siatka 27, cel theta.

Czekał oparty, desperacko pragnąc ręcznego sterowania, pamiętając jednocześnie, że prawdziwym testem jego broni laserowej, jej potencjalnie niewiarygodnej dokładności i szybkości światła jest właśnie komputerowy system odpalania.

– Automatyczne ustalanie celu i zniszczenie na mój sygnał. ...Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Sygnał!

Zamknął na chwilę oczy. Potem, nie zwracając uwagi na wskaźniki i dane komputera, wlepił wzrok w monitor. Cel alfa, najbliższy nisko lecącego bombowca, wybuchł i wyparował. Niemal jednocześnie, cel beta, drugi samolot zniknął z ekranu. Worowoj szukał pierwszej rakiety, trzeciego celu w kolejności zestrzeliwania, ale zanim zdołał ją zlokalizować, pojawił się kolejny błysk. Szybko odnalazł cel theta, ostatni z czterech. Kąt był odpowiedni. Widział ostre promienie lasera, który wyglądał jak broń z amerykańskich filmów kosmicznych. Obejrzał parę z nich w Sztokholmie, kiedy uczestniczył tam w konferencji naukowej. – Promień śmierci – powiedział po cichu. – Wyparowała druga rakietka, wybuch oślepił kamerę, a na ekranie przez chwilę widniała tylko biała plama.

W sali kontrolnej panowała głucha cisza, absolutny spokój poza nieustannym brzęczeniem komputerów, systemu kontroli powietrza, niezbędnego do prawidłowej pracy maszyn. Worowoj wstał, spojrzął na stalowy podest i zobaczył Elizawietę promieniejącą ze szczęścia. Nie mógł zapomnieć jej uśmiechu. Zwierając pięści nad głową, podskoczył do góry. Zaczął śmiać się i krzyżeć. I oto nagle technicy, wojskowi, strażnicy i wszyscy wokół niego klaskali, pokrzykiwali uradowani.

– Wkroczyliśmy w nową erę! – krzychał Worowoj. – Erę pokoju!

ROZDZIAŁ XIII

– Zostańcie na miejscach, panowie – rzucił kontradmirał Roger Corbin wchodząc do małej sali konferencyjnej, kiedy ponad dziesięciu zgromadzonych tam oficerów marynarki zaczęło wstawać.

– Admirale Corbin!

Corbin rozejrzał się, przeczesując siwiejące włosy, i powiedział:

– Tak, komandorze – zmrużył oczy, próbując odczytać nazwisko na wizytówce – Abramson.

– Mamy potwierdzenie...

– Wiem, komandorze. To ja potwierdziłem tę informację. – Podnosząc głos, Corbin wszedł na podest z przodu sali. W porządku, panowie. Omówimy tę sprawę. Zaraz muszę być w Białym Domu – spojrzął na zegarek – za piętnaście minut.

Zapalił papierosa i czekał, aż w sali zapanuje cisza. Cały obecny na spotkaniu wysokiej rangi personel wywiadowczy marynarki znał kontradmirała, poza paroma tylko osobami, na przykład komandorem Abramsonem. Corbin rozpoczął:

– Kontrolna Komisja Nuklearna potwierdziła to, co pokazały nasze satelity i inne urządzenia czujnikowe. Potężny ładunek nuklearny został zdetonowany parę mil morskich poza pokrywą lodową, gdzieś w okolicy pozycji naszego „Benjamina Franklina”, według jego ostatniego przekazu radiowego. Był tam również radziecki okręt podwodny... jak się do cholery nazywa? – popatrzył na porucznika.

Młody mężczyzna przejrzał notatki, podniósł na chwilę brwi, potem głowę i odparł:

– „Wołga”, okręt o napędzie atomowym klasy „Potiomkin”.

– Tak – ciągnął Corbin. – „Potiomkin”, to znaczy „Wołga” zniknął z ekranów naszych urządzeń tropiących. Być może była to kolizja, może Rosjanie zaatakowali. Nie możemy tego potwierdzić bez odwoływania z pozycji następnego okrętu i wysłania go na penetrację tego rejonu. A to w tej chwili jest niemożliwe. Oficjalnie nazwę to kolizją, awarią, czymkolwiek. Będę rozmawiał z Rosjanami. Ale osobiście, czuję to, uważam, że jeden z dowódców stracił panowanie i otworzył ogień, a drugi odpowiedział tym samym. Znam Wilmera, kapitana na „Benjaminie Franklinie”. Trochę nerwowo, ale to dobry człowiek. Nie zacząłby pierwszy. Stawiam na Ruska. Według wywiadu to Dawid Antoniewicz Konsujewski. Nowy człowiek, po raz pierwszy dowodzi łodzią. Mogłoby to do niego pasować. Rosjanie również są w stanie gotowości bojowej.

– Admirale – z tyłu sali odezwał się komandor porucznik.

– Znam pytanie, nie musi pan go zadawać. Proszę mnie jednak poprawić, jeżeli jestem w błędzie.

– Kaszłąc i gasząc papierosa, Corbin zamilkł na chwilę. Następnie zapalił następnego. – Około siedemdziesięciu megaton, co oznacza, że wybuchł przynajmniej jeden reaktor i niemal wszystkie

głowice na obu jednostkach. Rządowy Komitet Geologiczny, nasi ludzie, pracownicy komisji oceanograficznych i atmosferycznych, nikt nie zna następstw. Mogła ruszyć fala, sporo lodu prawdopodobnie zamieniło się w wodę; mogą również nastąpić krótkotrwałe zmiany klimatyczne. Nie powinno być dużo zniszczeń w atmosferze. To wszystko co wiemy w tej chwili. Czy odpowiedziałem na pańskie pytanie, komandorze? – Admirał Corbin uśmiechnął się do niego.

Oficer tylko skinął głową.

ROZDZIAŁ XIV

– Panowie, proszę o uwagę. Proszę zdjąć płaszcze i kurtki. Prezydent rozmawia z radzieckim premierem. Upoważnił mnie do rozpoczęcia konferencji.

– Thurston, co to za cholerna historia z wybuchem łodzi podwodnej?

Thurston Potter popatrzył na Meekera. Nie miał pojęcia, dlaczego sekretarz handlu był obecny na spotkaniu wywiadu. Tłumaczyła ten fakt chyba tylko długoletnia przyjaźń między nim i prezydentem.

– Panie sekretarzu, dojdziemy do tego. – W takich chwilach Potter boleśnie odczuwał swoje dwadzieścia osiem lat. Dwa doktoraty nie robiły żadnej różnicy ludziom z Pentagonu, ani pozostałej części prezydenckich doradców. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia pięć minut miał spotkanie z dziennikarzami i do tego czasu musiał zebrać informacje od wszystkich zgromadzonych tu osób, a co więcej, ułożyć jedną wersję wydarzeń dla prasy.

– Może ja odpowiem na pytanie sekretarza Meekera – rzucił z drugiego końca stołu kontradmirał Corbin, z papierosem w lewej ręce.

– A dlaczego nie ja? – odparł Potter. – Mimo wszystko, dziękuję, admirale. – Zwracając się do Meekera i pozostałych, rozpoczął:

– Nasza jednostka nie wysadziła w powietrze tego okrętu. U.S.S. „Benjamin Franklin” był w bezpośredniej odległości od sowieckiej „Wołgi”, która jest jedną z ich najnowszych jednostek podwodnych. Nie wiemy na pewno, czy łodzi zderzyły się, czy otworzyły ogień. Myślę jednak, że oficjalnie powinniśmy przyjąć wariant kolizji, przynajmniej dla prasy, przynajmniej na dziś. Jeżeli podamy taką wersję, będziemy bezpieczni w przypadku, gdy fakty później temu zaprzeczą. Jednocześnie, tragiczna śmierć kilkuset marynarzy amerykańskich i sowieckich może być doskonałym instrumentem załagodzenia kwestii pakistańskiej. A tego nam teraz potrzeba. Promieniowanie po wybuchu, którego siła równa była sześćdziesięciu megatonom, nie powinno stanowić zagrożenia dla zdrowia. Mogą nastąpić zaburzenia fal na morzach i oceanach, ale na ten temat informację dla prasy opracowują komisje oceanograficzne. Ogólnie nie wygląda to zbyt poważnie. Jakies pytania?

Potter rozejrzał się po sali. Kilku obecnych potrzęsęło przecząco głowami. Kontynuował:

– A teraz najnowsze wiadomości dotyczące problemu pakistańskiego. Ludzie z naszej ambasady właśnie w tej chwili powinni opuszczać Islamabad, razem z Francuzami, Brytyjczykami i Niemcami. Być może są tam jeszcze inni dyplomaci. Według tamtejszego czasu, jest parę minut po szóstej. Ultimatum prezydenta na wycofanie się Sowietów z Pakistanu obowiązuje jeszcze przez osiemnaście godzin. Nie planujemy, na razie niczego poza przemieszczeniem w ten rejon sił uderzeniowych, które współpracowałyby z Pakistańczykami. Honorujemy układ obrony z tym krajem i chcemy pokazać Rosjanom, że naprawdę nie blefujemy. Umieszczenie w Pakistanie wystarczającej liczby żołnierzy

zająłoby przynajmniej 72 godziny. Mówię tu o siłach mogących stawić opór obecnej tam armii sowieckiej. Jesteśmy do tego gotowi. Admirał Corbin poinformował nas, iż Rosjanie nie rozbudowują potencjału wojskowego w Zatoce Perskiej, my tak. Chodzi jednakże tylko o przewagę militarną.

– Co więc do cholery robimy? – zapytał Meeker, zapalając papierosa i dodając coś, czego Potter nie zrozumiał.

– Cóż, panie sekretarzu, najważniejszą rzeczą nie jest to co robimy my albo Rosjanie, jako że w obecnym punkcie działania te są do przewidzenia dla obu państw. Ważnym, żeby nie powiedzieć niebezpiecznym czynnikiem stało się natomiast stanowisko Indii. Ilu z panów zna ultimatum indyjskie? – Potter czekał na skinienie głów i podniesione ręce. Większość składu wojskowego na sali przynajmniej o nim słyszała.

– W zasadzie – Potter kontynuował – rząd indyjski wysłał komunikaty do rządów USA, radzieckiego i pakistańskiego. Były identyczne. Jeśli Rosjanie nie złączą ewakuacji poza przełęcz Czajber zgodnie z ultimatum naszego prezydenta, Indie wprowadzą do Pakistanu wojska, ażeby zabezpieczyć swoje granice. Uważają bowiem, iż sowiecka obecność w tym kraju stanowi zagrożenie dla wewnętrznego bezpieczeństwa Indii. Poprosiliśmy rząd indyjski, oficjalnie i nieoficjalnie, żeby się od tego powstrzymał. Ich premier odmówiła. Rosjanie wysłali nam kopię swojej noty do pani premier, w której stwierdzają, iż nie zamierzają atakować terytorium Indii. Nieoficjalnie zawiadomiliśmy Delhi o naszym zrozumieniu stanowiska Sowietów w tym punkcie. Rząd indyjski odpowiedział kolejnym komunikatem, dodatkiem do ultimatum. Przypomina on o nuklearnym potencjale Indii, jaki może być użyty w każdej chwili, jeśli tylko usprawiedliwi to rozwój wydarzeń.

– O, cholera – wymamrotał po cichu admirał Corbin, jednak na tyle głośno, że usłyszał to siedzący na drugim końcu konferencyjnego stołu Potter.

– Tak, admirale. O cholera, w istocie. Mamy jeszcze coś. – Spod pliku papierów Potter wyciągnął kopię teleksu. – Republika Ludowa Chin, która jak wiecie pozostawała przez cały czas na uboczu, oświadczyła radzieckiemu premierowi, że jeśli zajdzie potrzeba, jest gotowa stanąć u boku Indii i wesprzeć politykę amerykańską w Pakistanie. Włączając pomoc militarną. Ludzie Langley'a, komórki CIA w Pekinie, już nas zawiadomili o masowej koncentracji wojsk chińskich na granicy z ZSRR.

Potter popatrzył na twarze zebranych i nagle poczuł wstręt do konferencji i towarzystwa wojskowych. Rzucił szybko:

– Myślę, że admirał Corbin trafnie ujął całą sytuację.

ROZDZIAŁ XV

– Czy twój kierowca nie może jechać szybciej? – zapytał Rourke, pochylając się do przodu. Miał napiętą twarz i nieruchome oczy.

– Za długo żyjesz na wybrzeżu Atlantyku, John. Jesteś z południa.

– Co takiego, majorze? – przerwał mu Rourke. – A, masz na myśli śnieg? On utrudnia jazdę, tak?

– Opierając się na siedzeniu obok inspektora kanadyjskiej policji, westchnął i powiedział:

– Tak, pewnie masz rację. Jak daleko jesteśmy od lotniska?

Rourke wyciągnął szyję w kierunku szyby, która oddzielała go od kierowcy. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze prawą ręką odsunął szklaną zasuwkę, nie spuszczając wzroku z wirującego przed nim śniegu, i zmarszczył brwi.

– Tak, proszę pana?

– Masterson, jak daleko jesteśmy od terminalu i ile czasu nam to zajmie? – Rourke zapytał z uprzejmością, do jakiej nie był przyzwyczajony.

– Czas, proszę pana? – odpowiedział szofer. – Przynajmniej półtorej godziny. A terminal jest tam, proszę pana. Kilometr stąd.

Rourke rzucił następne pytanie:

– Masterson, jaki jest tutaj teren? Czy bywa ciężko zaśnieżony? Jeśli tak, to jak bardzo?

– Nie więcej niż trzydzieści centymetrów, panie Rourke. Jeżdżę tędy często, wożąc ważnych gentlemanów tak jak pana. Nigdy nie przyglądałem się okolicy szczegółowo, ale powinna być raczej płaska. Latem rośnie tu trawa.

– Dzięki – odparł Rourke, ponownie opadając na oparcie.

– Nie zamierzasz... – zaczął major.

– Dlaczego by nie?

– Śnieg! Mróz, chcesz zdążyć na samolot jako jeden kawał...

– Chcę dostać się do domu. Na tym mi zależy, a siedzenie tu przez godzinę i więcej na pewno mi w tym nie pomoże, nie przyspieszy mojego powrotu do domu – dodał. – Być może mój samolot nie odleci w taką burzę, nie wiem. Ale obaj słuchaliśmy radia. Parę minut temu mówili o kolizji dwóch okrętów podwodnych. A jeśli to nie był wypadek? – zapytał. – A jeśli wiadomości były kłamstwem? A jeśli ten wybuch pod lodem spowodowało wystrzelenie torped? A co z ultimatum indyjskim? I z nie potwierdzoną jeszcze informacją o możliwym zaangażowaniu Chin po stronie amerykańskiej?

– Ale przecież...

Rourke pstryknął zapalniczką i trzymając w jej płomieniu cygaro, spojrział inspektorowi w oczy.

– Majorze, mam żonę. Kocham syna i córkę. Mam schron, który może uratować mi życie, jeżeli

dojdzie do wojny. Moja żona, Sarah, nie wie jak tam dotrzeć. Schron jest dobrze ukryty. – Ściszył głos i wlepił wzrok w majora. – Jeśli Rosjanie zaatakują duże cele, część północnej Georgii, tam gdzie jest moja farma, będzie bezpieczna przed bezpośrednim uderzeniem. Opad radioaktywny będzie tam tylko szczątkowy. Potwierdzają to tabele prądów powietrznych. Wciąż jednak chcę ich stamtąd wydostać. I to szybko, inaczej niewiele to da. – Rourke nacisnął przycisk automatycznego opuszczania szyby i wyjrzał na zewnątrz, potem ponownie spojrzął na kanadyjskiego policjanta. – Nic tu po mnie. Gdybym był na twoim miejscu – wskazał na czerwoną lampkę stopu na tablicy rozdzielczej – kazałbym Mastersonowi zawracać, zabrał rodzinę i wyniósł się z miasta. Może właśnie teraz jesteśmy w samym środku wielkiego bum, w punkcie zero obszaru o dwudziestokilometrowym promieniu.

Samochód zatrzymał się.

Rourke otworzył drzwi limuzyny Mercedesa i wysiadł, narzucając na siebie kożuch.

Kiedy Rourke odwrócił się, Kanadyjczyk zapytał:

– Naprawdę uważasz, że do tego dojdzie, John? To znaczy do wojny.

Rourke, oparty o samochód, zdjął rękawiczkę i podał majorowi rękę.

– Tak. – Potem dodał:

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Rourke podszedł do bagażnika. Choć pojazdy utkwily teraz na dobre w korcu i śnieżycy, jadący tuż za nimi motocykliści trąbili już, jakby otwarty bagażnik i człowiek wyciągający z niego swoje torby powiększał ich spóźnienie.

Kiedy sięgał po aluminiowe walizki z bronią, usłyszał za plecami czyjś głos.

– Hej, facet, co ty wyprawiasz?

Rourke odwrócił się. Głos należał do mężczyzny w znoszonej, brązowej, skórzanej kurtce. Był to tęgi brodac z skórzaną czapką narzuconą na tył głowy.

– Mówisz do mnie? – Rourke zapytał spokojnie.

– Tylko ty, cholerny idioto, sterczysz na środku drogi i wyciągasz swoje walizeczki z tego pieprzonego Mercedesa. Tak, mówię do ciebie.

– Chciałem się tylko upewnić – odpowiedział Rourke niewzruszonym głosem, odstawiając bagaż.

Prawa ręka Rourke'a wzięła potężny zamach i jego pięść wylądowała na szczęce mężczyzny. Cios był szybki i silny, ale zaraz po nim nastąpił lewy krótki w pierś i po przekątnej znów prawy w szczękę.

Kiedy motocyklista opadał na drogę, Rourke chwycił go za ramiona i złagodził upadek.

– Uważaj na głowę – rzucił.

Potem wziął swoje walizki z bronią, mniejszą pod lewe ramię, dłuższą na karabiny w lewą dłoń. Prawą podał kierowcy. – Wybacz rękawiczkę. Powodzenia, przyjacielu.

– Panu również. Naprawdę zamierza pan przejść przez to pole?

– Nie – odpowiedział, a kąciki jego ust lekko się uniosły, zmieniając posępną dotąd twarz. – Myślę, że nawet z bagażem jestem w stanie przebiec ten dystans, o ile śnieg nie będzie zbyt głęboki. Do zobaczenia.

Rourke chwycił torbę podróżną w prawą rękę i przekroczył biegnący obok pas ruchu, potem poboczne autostrady i ogrodzenie. Jeśli dobrze widział przez pokrywą śniegu, spadek miał wysokość około pięciu metrów. Popatrzył na lunę świateł i błyskającą w niej burzę śnieżną. Po drugiej stronie pola dostrzegł parking. Za nim stało coś, co wyglądało na hotel, za którym z kolei znajdował się

najbliższy terminal lotniczy. – Kilometr – szepnął do siebie. Przerzucił torbę przez ogrodzenie i spuścił ją ze stoku. Zjechała po śniegu. – Niezbyt głęboko – wymamrotał znowu. Następna była walizka na karabiny, półautomatyczny, sportowy Colt i sztucer SSG, kaliber 7.62 milimetra, bezpiecznie zamknięte w obitym pianką wnętrzu.

Walizka ześlizgnęła się po śniegu. Jak sanki, pomyślał Rourke. – Powinienem był na niej zjechać – rzucił na głos. Przeszedł przez bandę. Czując, jak stopy wpadają w głąb pokrywy śnieżnej, kucnął i zsunął się po zboczu na tyłku. Wstał i otrzepał ubranie z białego puchu. Spojrzał do góry na autostradę. Zobaczył Mastersona i inspektora, stojących przy metalowej bandzie.

Pomachał im ręką, nie czekając na odpowiedź, podniósł bagaże i zaczął biec przez śnieg.

Jego warstwa była gruba, szczególnie w środku pola. Zmusiło to Rourke'a do przestawienia się na marsz, typowo wojskowe tempo. Czasami zasyły zakrywały mu kolana; wyciąganie z ich kleszczy nóg i testowanie podłoża przed następnym krokiem kosztowało go dwa razy więcej wysiłku. Nogawki spodni miał zmoczone i oblepione zmarzliną, która dostała się do wnętrza kowbojskich butów. Kiedy minął już połowę odcinka, zasyły stawały się coraz mniejsze. Docierając do krawędzi pola, zauważył wysokie ogrodzenie. Po drugiej stronie tkwił na nim olbrzymi nawis śniegu. Najwidoczniej płot chronił parking przed zasypaniem. Marsz był łatwiejszy, Rourke zaczął biec.

Śnieg po drugiej stronie ogrodzenia złagodził upadek trzech walizek przerzuconych przez Rourke'a. Cofnął się o krok i skoczył na płot, sprawdziwszy wcześniej śnieżną kulka, czy nie był pod prądem. Weiskając czubek buta w druciane nitki siatki i wisząc na palcach, podciągnął swoje ciało na szczyt bariery i przeskoczył przez nią, upadając na warstwę białego puchu. Otrzepawszy z niego ubranie, podniósł swoje rzeczy i ruszył przez parking. Wspinaczka po ogrodzeniu zmęczyła go. Nagle usłyszał hałas nadjeżdżającego pojazdu. Zobaczył półciągarówkę, która na drzwiach miała znaki obsługi lotniska. Rourke stanął, a pojazd z poślizgiem zatrzymał się tuż obok.

Kierowca otworzył drzwi od strony pasażera i wychylił głowę.

– Podrzucić gdzieś? Amerykanin, prawda?

– Tak, Amerykanin – Rourke skinął głową. – Ale dzięki, dziś piękna noc na spacer, a terminal nie jest daleko. Pewnie piechotą będą tam szybciej. Dzięki.

– Jak chcesz, kolego – odpowiedział kierowca, mruczając pod nosem coś, czego Rourke nie zrozumiał.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął cygaro i zapalił je zapalniczką. Rzucając wzrokiem ponad żarzącą się końcówkę zobaczył wejście do budynku przypominającego hotel. – Kilkaset metrów – szepnął do siebie. Podniósł torbę i ruszył do przodu.

ROZDZIAŁ XVI

– Cóż, rozmawiamy ponownie, panie prezydencie. Ja również wolę połączenie audio od wizualnej gorącej linii. Co pana niepokoi tym razem?

Prezydent Stanów Zjednoczonych, ubrany w płaszcz narzucony na ramiona, w rozpiętą kamizelkę i krawat schowany w koszulę, oparł się na fotelu i położył nogi na krawędzi biurka. Zatrzymał wzrok na suficie Gabinetu Owального i zaczął mówić. – Pan premier ma rację. Rozmawialiśmy często przez ostatnie godziny. Cieszę się, że mamy podobne zdanie na temat połączenia audio. Kryzys minie, bo zdołamy go przewyciężyć – prezydent zaznaczył dobitnie. Może zbyt dobitnie, pomyślał. – Kiedy kryzys minie – kontynuował łagodniejszym tonem – zawsze będę sięgał po to połączenie, jako środek poszerzenia dialogu między pańskim i moim narodem.

– Panie prezydencie?

– Tak, panie premierze.

– Przypuszczam, że chce mi pan przypomnieć o zamiarze wprowadzenia swoich wojsk do Pakistanu, już tylko za sześć godzin. I zapewne chce mnie pan spytać, czy mi wiadomo o tym nieszczęśliwym zderzeniu pomiędzy „Benjaminem Franklinem” i „Wołgą”. Otóż, wiem o tym. Pamiętam też pańskie ultimatum.

– Panie premierze – zaczął prezydent. – Ambasador Stromberg i ja długo rozmawialiśmy, kiedy był tu ostatnio. Poprosiłem go o osobistą ocenę pana premiera, jako człowieka. Zdziwiłby się pan wiedząc, jak dobrze o panu mówił.

– W ambasadorze Strombergu ma pan dobrego pracownika. Chciałbym go od pana wynająć. Niestety, dzielą nas poglądy polityczne.

– Poglądy polityczne dzielą mnie ze wszystkimi ambasadorami przez cały czas, panie premierze. Chodzi mi o to, że Stromberg uważa pana za człowieka dobrej woli. Ja też nim jestem. Chcę, żebyśmy obaj o tym pamiętali. Tym razem posuwamy się chyba za daleko. Ci marynarze na pokładzie łodzi podwodnych, waszej i naszej, bez względu na to, jak do tego doszło, niech staną się węzłem pomiędzy naszymi narodami. Niech ta tragedia będzie lekcją, ostrzeżeniem przed jeszcze większą, możliwą w przyszłości. Zgadza się pan ze mną, panie premierze?

Po chwili ciszy, prezydent usłyszał głos dużo od siebie starszego premiera, ciężko oddychającego w mikrofon. – W zasadzie tak. Ale naszym celem powinno być umiejętne przechodzenie od zasad do faktów. Byłbym szaleńcem, gdybym pragnął wojny między naszymi krajami. Ale istnieją jeszcze inne przesłanki, o których zdaje się pan zapominać lub po prostu nie wiedzieć.

– Jakie przesłanki, panie premierze? – zapytał prezydent, zdejmując nogi z biurka i siadając prosto na krześle.

– Nasza broń laserowa. Otoczyliśmy nią Moskwę. Zakończyliśmy właśnie testy eliminując jedyną usterkę danego systemu. Być może powinno to zostać tajemnicą, ale postanowiłem wyjawić ją panu. Sprawdziliśmy tę broń na różnych wysokościach, z celami o dużej szybkości, w zmiennej kolejności. Cztery cele panie prezydencie. Wszystkie wyparowały.

– Nie zamierzam tego lekceważyć, panie premierze, ten system jest bezużyteczny wobec naszych samonaprowadzających się środków przenoszenia. Musi pan o tym wiedzieć, mamy swoje źródła.

– My również posiadamy swoje źródła, panie prezydencie. Wiemy to co trzeba o waszym systemie i możemy go pokonać. Nie mam jednak zamiaru sprawdzać, kto z nas ma rację.

Prezydent otworzył paczkę papierosów „Kool”, wydobył ze środkowej szuflady biurka i zapalił, pierwszy raz od trzech miesięcy. Wciągnął mentolowy dym głęboko w płuca zanim powiedział:

– Nie blefujemy, musi pan to wiedzieć. Podjąłem już kroki, co potwierdzi wasz wywiad, ażeby umieścić w Pakistanie nasze siły jeszcze przed upływem ultimatum. Wszystkie pozostałe jednostki są również w stanie pełnej gotowości, przygotowane do interwencji w tym rejonie, jeśli oczywiście wojska radzieckie nie wycofają się.

– W takim razie – premier odpowiedział zmęczonym głosem – jesteśmy jak dwaj młodzieńcy walczący o kobietę. Będziemy się wzajemnie atakować, zaciskać pięści, wymieniać groźne spojrzenia i patrzeć, który z nas się cofnie, który będzie walczył dalej. Związek Radziecki się nie cofnie. Miałem szczerą nadzieję, iż wasz ambasador zdoła przekonać pana o naszej konieczności wkroczenia do Pakistanu. Pan chyba ją ignoruje. Mam związane ręce. Nie ja pierwszy rozpocznę wojnę, jeśli to pana pocieszy. Nie od razu też odpowiem bronią jądrową, w przypadku, oczywiście, wkroczenia wojsk amerykańskich do Pakistanu. Jednakże w momencie zagrożenia życia żołnierzy radzieckich, podejmę wszelkie starania, jakie podyktuje mi sumienie, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Proszę do mnie zadzwonić, panie prezydencie, kiedy nastąpi jakiś postęp. Ja ze swej strony obiecuję to samo. Rozmowa chyba się skończyła, prawda?

– Tak – westchnął prezydent. – Będę w kontakcie.

– Jeszcze jedno, panie prezydencie.

– Tak, panie premierze?

– Chciałbym coś zademonstrować. O ile dobrze rozumiem, korzystamy teraz z głównego satelity. Inne są również gotowe do pracy?

– Tak, nie widzę jednak, dokąd pan zmierza.

– Głos, który odezwie się na linii należy do technika. On nas nie usłyszy, ale my usłyszymy jego. Niech pan będzie spokojny. To tylko test.

Prezydent drgnął, słysząc młody głos kobiety lub chłopca, odliczający z ciężkim słowiańskim akcentem. – Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery...

– Panie premierze! Co się dzieje? Żądam...

– Zero. Sygnał!

Prezydent opadł na oparcie krzesła, połączenie zostało przerwane, przedtem jeszcze emitując przez moment głośne buczenie. Odłożył słuchawkę telefonu. Za moment zadzwieczał interkom.

– Panie prezydencie? – była to jedna z sekretarek.

– Tak, o co chodzi?

– Premier znowu na linii.

Wyłączając interkom, prezydent sięgnął po czerwony telefon.

– Tak?

– Broń laserowa. Zwrócimy wartość satelity, jeśli uważa pan, że zmniejszy to napięcie spowodowane tym pokazem. Proszę się skontaktować ze specjalistami od komunikacji i elektroniki. Satelita wyparował trafiony promieniem laserowym o wysokiej częstotliwości.

– To nie dowodzi nicz...

– Przykro mi – rzucił premier. – Myślałem, że wręcz przeciwnie.

Po krótkiej ciszy, prezydent usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

– Marian! – prezydent krzyknął do interkomu.

– Tak?

– Sprowadź tu pana Antonaisa, mojego doradcę naukowego.

– Jest już na linii numer sześć.

– Połącz go – nakazał zapalając kolejnego papierosa.

– Panie prezydencie? – odezwał się głos z greckim akcentem.

– Dmitri, czy oni naprawdę...

– Tak, panie prezydencie. Satelita Con-Vers wyparował dokładnie o godzinie...

– Daruj sobie – przerwał prezydent. – Przyjedź tu natychmiast. Potrzebuję cię.

Odłożył słuchawkę i pochylił się nad interkomem, mówiąc. – Proszę nie łączyć mnie z nikim przez dwie minuty. Muszę pomyśleć.

Wyłączył interkom, wstał i podszedł do okna, spoglądając na ogród pełen róż. O tej porze roku, pomyślał, nie były najładniejsze.

ROZDZIAŁ XVII

– Policjant, nieprawdaż?

– Co? – zdziwił się Rourke, odwracając głowę od okienka i widniejącego za nim zaśnieżonego pasa startowego. Obok siedział mężczyzna o blond włosach i rumianych policzkach.

– Pytałem, czy jest pan policjantem.

– Nie – odpowiedział Rourke, nie mając ochoty na rozmowę.

– Widziałem pana w terminalu, całego w śniegu, jakby szedł pan całą drogę – mężczyzna śmiał się.

– Szedłem, co w tym śmiesznego?

– Miałem na myśli te aluminiowe walizki. Sam strzelam trochę. Są na broń, czyż nie?

– I co z tego? – rzucił Rourke. Zauważywszy w swoim głosie pewną dozę wojowniczości, zmusił się do uśmiechu.

– Nie każdy może wwozić i wywozić z Kanady broń. Strzelby tak, ale nie pistolety. A ma je pan w mniejszej walizce, prawda?

– Prowadziłem tu kursy dla policjantów – wyjaśnił Rourke. – Przywiozłem broń, ażeby zaprezentować ją jednemu z tutejszych oddziałów specjalnych – dodał, nie wspominając jednak nic o brygadzie antyterrorystycznej.

– Jadę do Atlanty w interesach, a pan? – zapytał mężczyzna zmieniając temat.

– W północnej części stanu mam farmę. Wracam do domu.

– Mnie nie będzie w domu przez dwa tygodnie. Tyle spraw do załatwienia, praca i tak dalej.

– Brzmi to fascynująco – skostatował Rourke, ponownie zwracając wzrok na pas startowy. Potem rzucił okiem w kierunku frontu kabiny pierwszej klasy. Odezwały się głośniki.

– Tu mówi kapitan. Proszę państwa, przepraszamy za spóźnienie spowodowane opadami śniegu, wystartujemy za parę minut. Jestem w stałym kontakcie z wieżą i mamy pozwolenie na przejście do pasa startowego numer cztery. Przed nami widzę cztery samoloty, zatem oczekiwanie na start nie powinno trwać długo. Prognoza pogody mówi o stopniowym przejaśnieniu. Na lotnisku w Hartsfield w Atlancie, naszym celu podróży, panują dobre warunki, temperatury do 10 stopni w południe, pięciu stopni dzisiaj rano, z prognozą ocieplenia na jutro. Jeśli mają państwo poluźnione lub rozpięte pasy bezpieczeństwa, proszę o ich dokładne sprawdzenie, wkrótce rozpoczniemy start. To samo dotyczy popielniczek i siedzeń. Na razie tablice „Palenie wzbronione” są wyłączone, ale proszę o ich przestrzeganie, kiedy się zapalą. Jeżeli będą państwo mieli pytania, teraz czy później, proszę korzystać z pomocy stewardes. Zarząd lotniska poinformował mnie, iż z powodu opóźnienia, kiedy będziemy już w powietrzu, cocktaile będą za darmo. Życzę miłego lotu i dziękuję za wybranie usług

naszej linii.

Rourke odwrócił głowę od okienka, automatycznie łapiąc pasy bezpieczeństwa. W przypadku wybuchu zbrojnego konfliktu, gorzko pomyślał, zakończy długą wojnę nerwów ze swoją żoną. Jego pozycja będzie obroniona. Cień uśmiechu pojawił się na jego ustach, kiedy przypomniał sobie czyjeś powiedzenie o gorzkim smaku zwycięstwa.

– Wie pan, przez całe życie analizowałem wydarzenia na świecie – powiedział Rourke do swojego sąsiada w fotelu obok.

Businessman o rumianych policzkach spojrział na niego jakby nieobecny.

– Przepraszam. Co takiego?

– Mówiłem, że przez całe życie analizowałem wydarzenia na świecie. Byłem na to przygotowany, czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, trenowałem...

– Co?

– Wiedziałem, że nadejdzie. – Rourke w końcu zauważył, że siedzący obok pasażer słucha go. – Zna pan wiadomości?

– Co? Ta cała gadanina o wojnie? To tylko wymachiwanie szabelkami, mój przyjacielu. Nie martwiłbym się tym. Ani trochę.

– Ani trochę, co? A ja chciałem zaproponować, żeby pan wysiadł z tego cholernego samolotu, wrócił do domu i otoczył opieką swoją rodzinę, na wypadek, gdyby to nie była tylko paplanina.

– Pan naprawdę przeszedł przez ten śnieg, żeby złapać samolot. Mój Boże, przyjacielu, bierze pan Rosjan śmiertelnie poważnie, czy tak?

– Tak – odpowiedział Rourke, kończąc rozmowę i zwracając wzrok ku okienku. – Zdaje się, że tak.

– Mamy następny komunikat od rządu indyjskiego, panie prezydencie. Otrzymaliśmy go teleksem.

– Przeczytaj mi go, Thurston – powiedział prezydent, siadając na brzegu biurka.

Potter odparł po cichu:

– Dobrze, panie prezydencie. Jest tu napisane...

– Tylko to co najważniejsze – przerwał prezydent.

– Dobrze. Piszą, że w momencie upływu naszego ultimatum odpalą rakietę o taktycznym ładunku nuklearnym. To będzie ich symboliczne oświadczenie o przystąpieniu do konfliktu, a także ich sprzeciwu i oporu przeciwko sowieckiej interwencji w Pakistanie za wszelką cenę.

– To szaleństwo. Połącz mnie natychmiast z ambasadorem Indii.

Kiedy wyszedł Potter, prezydent zwrócił się do swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Bernarda Thorpa.

– Bernie, co sądzisz na ten temat?

Zanim Thorpe zdążył cokolwiek powiedzieć, rozpoczął sekretarz handlu:

– Panie prezydencie, niech pan jak najszybciej uda się gdzieś, gdzie bezpiecznie będzie mógł pan dowodzić działaniami wojennymi.

Bernard Thorpe, trzymając w dłoniach okulary w drucianych oprawkach, ze zgaszoną fajką wciąż między zębami, dodał od siebie:

– Nie lubię przyznawać racji panu Meekerowi, ale w tym co powiedział jest dużo prawdy, panie prezydencie. Jeżeli Indie użyją broni nuklearnej, wciąż możemy jeszcze uniknąć wojny. Choć taka sytuacja może sprowokować Pakistan. Rozumiem, że ładunki są już gotowe. Brak im jednak efektywnych środków przenoszenia. Ale mimo tego, jesteśmy o krok od konfliktu globalnego. A jeżeli

znów zderzą, się okręty podwodne? Co mówi na temat sowieckiej broni laserowej pan Antonais?

– Dmitri twierdzi, że jest gotowa do akcji, choć zniszczenie tego satelity było zaplanowane. Najprawdopodobniej pracowali nad tym parę godzin. Nie sprostają naszym samonaprowadzającym się środkom przenoszenia. Nie pragnę jednak dochodzić aż tak daleko. Nie sądzę, by chciał tego premier.

– Czy poluźnimy nasze stanowisko? – zapytał Thorpe.

– Zadzwoń ponownie do premiera. Może wypracujemy jakiś kompromis. Bernie, powiedz Marianowi, żeby przygotował mój specjalny samolot, w razie gdybym chciał przenieść się do swojej siedziby w górach.

Meeker wstał, odetchnął głęboko, poprawił krawat i powiedział:

– Dobre posunięcie, panie prezydencie. Jeżeli te gnojki chcą z nami zagrać, zrobimy to dla nich.

Radziecki premier siedział za biurkiem. Poza lampką, wszystkie światła były wygaszone.

– Jest pani tego pewna? – zapytał.

– Nasze służby wywiadowcze zdają sobie sprawę z wagi tej informacji. Studiowaliśmy ją setki razy. Nie ma wątpliwości – odpowiedziała kobieta.

– Od dawna jest pani majorem wywiadu?

– Tak, towarzyszu premierze.

– Jak dobrze dla pani. – Spoglądając na odszyfrowaną depezę, którą trzymał w kościstych dłoniach, powiedział:

– Zatem armia pakistańska posiada broń nuklearną i zamierza zniszczyć zaporę na trasie przemarszu naszych wojsk. Czy ktokolwiek pofatygował się poinformować dowództwo pakistańskie, że ten krok zwiększy prawdopodobieństwo wojny totalnej?

– Nie – odpowiedziała zamyślona. – Nie, towarzyszu premierze. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Cóż... – premier dmuchnął dym w krąg światła. – Amerykański prezydent właśnie próbował się do mnie dodzwonić, ja niestety nie byłem osiągalny. Zostawił wiadomość, że spróbuje jeszcze raz swojego umocnionego punktu dowodzenia w górach. Ja również, jak sądzę, powinienem wyruszyć do swojego schronu. Stamtąd będę z nim rozmawiał.

Premier podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer na tarczy i powiedział do mikrofonu:

– Postawić w stan gotowości mój helikopter i pilota. Wkrótce będę go potrzebował. Za pięć minut zarządzam specjalne spotkanie doradców Politbiura, moich doradców naukowych i pozostałych członków mojego sztabu.

Odłożył słuchawkę i w kierunku smugi światła na blacie biurka wypuścił z płuc jeszcze więcej dymu.

ROZDZIAŁ XVIII

– Wybaczcie, towarzyszu majorze.

Major Nikita Michaiłowicz Porembski odwrócił wzrok i zobaczył młodą kobietę w randze porucznika.

– O co chodzi? – zapytał.

– Mój dobry przyjaciel, towarzyszu majorze, jest w wojsku na froncie pakistańskim. Zastanawiałam się...? – nie dokończyła pytania.

Mężczyzna spojrział jej głęboko w oczy.

– Nic nie mogę pani powiedzieć. Nic nie wiem. Jest rozkaz gotowości bojowej. Chodzą plotki, że wystrzelimy swoje rakiety w kierunku terytorium Stanów Zjednoczonych na wybrane cele. Poza tym, nie wiadomo nic. Zresztą, to tylko pogłoski, poruczniku. Martwicie się o swojego chłopca?

Dziewczyna odwróciła się i spuściła wzrok. Major dotknął lekko jej ramienia.

– W schronach Kremla trwa teraz specjalne zebranie. Być może zapadną jakieś decyzje, być może nie. Czy jesteś na służbie?

– Nie, towarzyszu majorze. Skończyłam godzinę temu. Zaraz potem przyszedłam tu.

– Do dowództwa armii? – W głosie majora było niedowierzanie. – Jest oficerem?

– Tak, towarzyszu majorze – odpowiedziała cicho. – Razem chodziliśmy do szkoły.

– Chodźmy, nic dzisiaj nie jadłem. W kantine jest żywność. Ja też jestem po służbie. Porozmawiamy, dobrze?

Oboje ruszyli korytarzem w stronę, z której nadszedł major.

Nagle, w końcu długiego hallu rozległ się krzyk. Biegł stamtąd młody porucznik, z dzikim wzrokiem i rozwianym włosom.

– Wojna! Wojna!

Kiedy ich minął, major objął dziewczynę ramieniem. Popatrzył w jej martwe oczy, śledzące szybko znikającego mężczyznę.

– Wojna – powiedział po cichu, a dziewczyna podniosła głowę.

Na pokładzie śmigłowca lecącego przez noc, radziecki premier świecił małą latarką nad kartką żółtego papieru, którą trzymał w dłoni. Wolał to, niż światło lampy na suficie. Na arkuszu, nie przestrzegając linijek, napisał kilka punktów, przedyskutowanych wcześniej z Politbiurem, doradcami naukowymi i sztabem wojskowym, tuż przed odlotem. Punkt pierwszy dotyczył broni laserowej. Nie ufał jej, wojskowi także. Tylko ten fanatyczny młody naukowiec był do niej przekonany, argumentując, iż oznacza to koniec wojny nuklearnej. Premier nie wierzył, żeby laser mógł zniszczyć amerykańskie międzykontynentalne rakiety balistyczne, szczególnie te

z wieloczołkowymi głowicami. Zaryzykowałby użycie radzieckich rakiet, tylko gdyby Hindusi lub Pakistańczycy uderzyli pierwsi.

Punkt drugi dotyczył problemu chińskiego. Narzucał od razu opcję uderzenia nuklearnego, czyli uzupełniał właściwie punkt poprzedni. Premier chciał uniknąć zaatakowania Stanów Zjednoczonych jako pierwszy, ponieważ Chińczycy na pewno odpowiedzieliby tym samym. Zwłaszcza kiedy Indie i Pakistan zdecydują się na użycie broni nuklearnej, a przecież wywiad donosił, iż ten drugi jest gotowy w ciągu godziny powstrzymać radziecką interwencję. Rozkaz powstrzymania inwazji premier już wydał. Wojska radzieckie zajęły do tego czasu tereny, które miały zabezpieczyć, nie było więc potrzeby dalszego posuwania się w głąb kraju.

Punkt trzeci. Premier wyłączył latarkę. Te słowa widział nawet w zupełnej ciemności. Pierwsza rakietka zostanie odpalona za około piętnaście minut, kiedy będzie bezpieczny w swoim schronie.

– Ilu zabitych? – szepnął po angielsku, żeby nie zrozumiał go pilot.

– Przekaz specjalny, który za chwilę państwo zobaczą został nagrany w Gabinetcie Ovalnym zaledwie parę minut temu. Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Sarah Rourke usiadła przed telewizorem. Michael i Ann wciąż zadawali pytania.

– Mamo, dlaczego pokazują go w telewizji teraz? Przecież miał być...

– Sza! Chcę to usłyszeć – powiedziała, podnosząc dłoń, żeby uciszyć chłopca.

– Pozwól mi usiąść na kolanach – Ann.

– Dobrze – wyszeptała Sarah, jakby głośne słowa miały zakłócić powagę chwili.

– Dobry wieczór, Amerykanie – rozpoczął znajomy głos. Sarah popatrzyła na twarz prezydenta i zauważyła, jak bardzo się postarzał przez lata sprawowania tego urzędu. Poznała go kiedyś, ale wtedy wyglądał o dwadzieścia lat młodziej.

– Słyszycie ten przekaz, ponieważ wydarzyło się coś, co dla narodu amerykańskiego ma podstawowe znaczenie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę ze wzrastającego na świecie napięcia, szczególnie w ostatnich dniach i tygodniach, w ostatnich godzinach. Wydaje się, iż istnieje możliwość akcji wojskowej Związku Radzieckiego przeciwko Stanom Zjednoczonym. Moja wypowiedź ma za zadanie ostrzec obywateli naszego kraju przed taką właśnie sytuacją. Nie jest natomiast równoznaczna z wypowiedzeniem wojny lub zapowiedzią nadchodzącego ataku. Rozważne jednak byłoby zwrócenie się do lokalnych jednostek Obrony Cywilnej... Sarah wstała, zsuwając Ann z kolan.

– Mamusiu!

– Cicho, proszę – powiedziała, podchodząc do radia, włączając przycisk fal AM i przekręcając gałkę na pasmo 640. Tam również trwało przemówienie prezydenta. – ... ich wskazówek. W przeszłości, naród amerykański wiele wycierpiał w obronie wolności, jego odpowiedź zawsze była powodem do dumy dla kolejnych pokoleń Ameryki. Cokolwiek się wydarzy, niech zostanie zapamiętane w podobny sposób. Módlmy się o to, żeby podejmowane obecnie środki bezpieczeństwa były tylko chwilowe. Na paśmie 640 i 1240 nadawane będą porady Obrony Cywilnej, które pomogą wam przetrwać te wydarzenia w jak najbardziej spokojny i bezpieczny sposób. W celu ochrony wszystkich Amerykanów wprowadzam stan wojenny na terenach o największej gęstości zaludnienia, nakazuję wstrzymanie sprzedaży alkoholu, broni, amunicji, materiałów wybuchowych i towarów o regulowanym dostępie, z wyjątkiem lekarstw. Wszystko to zwiększy efektywność środków podejmowanych przez Obronę Cywilną...

Sarah Rourke zakryła dłońmi uszy. Chciała krzyczeć. Łzy gromadziły się w kącikach oczu.

Spojrzała na Michaela i Ann. Michael był tak podobny do Johna. Ann płakała, a jej brat wyglądał na przestraszonego.

– Podejdźcie tu dzieci – powiedziała, spoglądając na cyfrowy budzik stojący na telewizorze, wciąż słysząc głos prezydenta, który mówił, żeby się nie bała. Wlepiła wzrok w zegarek. – Może samolot taty już wylądował – szepnęła.

Niskim, jak na chłopca w swoim wieku, głosem, Michael powiedział do matki, obejmując jej szyję ramionami:

– Nie płacz, mammo. – Sarah wsparła głowę na piersi syna, płacząc mimo to.

ROZDZIAŁ XIX

– Proszę państwa, mówi kapitan. Nie wiem jak to powiedzieć, ale według wieży w Atlancie, ze względu na bezpieczeństwo narodowe, nasz lot i inne w tym rejonie będą kierowane w głąb kontynentu. Proszę o ponowne zapięcie pasów bezpieczeństwa. Polecimy obowiązującym nas korytarzem i zastanowimy się nad nowym planem podróży. Lądowanie przewidujemy w Phoenix w Arizonie. W imieniu linii lotniczych, chcę przeprosić za wszystkie niedogodności z tym związane, i jednocześnie zapewnić, iż zostaną państwo przewiezieni z powrotem do Atlanty, tak szybko jak będzie to możliwe. Do tego czasu zapewnimy państwu w Phoenix należną opiekę. O ile wiemy, powodem zmiany miejsca lądowania jest nie potwierdzona jeszcze wiadomość o zerwaniu przed piętnastu minutami stosunków dyplomatycznych przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki.

– O co, do diabła, chodzi? – powiedział Rourke ściszym głosem. Wyciągnął prawą rękę przed rumianego businessmana i złapał za ramię stewardesę.

– Proszę pana, naprawdę nie mogę dodać nic więcej. – Jej dobrze wyćwiczony, zawodowy uśmiech zniknął z twarzy. Spojrzał na nią, uwolnił ramię i z powrotem odwrócił się do okna.

Głos kapitana znowu zabrzmiał z głośników.

– Proszę państwa, tu ponownie kapitan Steward. Podczas połączenia z Atlantą usłyszałem coś bardzo ważnego. Obrona Cywilna alarmuje cały obszar miasta, iż piętnaście minut temu satelity wykazały zmasowany atak sowieckich pocisków balistycznych na USA i Europę Zachodnią.

Głośnik wciąż włączony, Rourke słyszał jego szmer, a także hałas silników, spowodowany wznoszeniem się samolotu w wyższe i rzadsze partie atmosfery. Światła Atlanty zniknęły w przestrzeni. Poza tym wszystko ucichło.

Wtedy usłyszał krzyk. Kobieta, po przeciwnej stronie samolotu, chwytając się za gardło obiema rękami krzyknęła znowu. Rourke wyszarpnął z zapięcia swój pas i popychając gwałtownie siedzącego obok mężczyznę ruszył w jej kierunku.

Zaczęli krzyczeć inni pasażerowie. Stojąc w przejściu, Rourke wrzasnął:

– Spokój! Ta kobieta ma atak serca... a wam co dolega?

Pochylił się nad nią i rozluźnił ciasny sznur pereł na szyi. Starsza kobieta zaczęła się dusić. Siłą rozwierając jej usta, Rourke włożył do środka dwa palce i wyciągnął język, który utknął w gardle. Stewardesa stała tuż nad nim.

– Czy jest pan lekarzem? – spytała.

– Uczyłem się tego. Proszę sprawdzić, czy jest jeszcze jakiś lekarz na pokładzie. Szybko!

Pochylony nad kobietą reanimował ją, po czym nagle przerwał. Puls na szyi ustał. Już nie oddychała. Oczy jej znieruchomiały i patrzyły wytrzeszczone. Rourke uderzył pięścią w klatkę

piersiową nieprzytomnej pasażerki. Za plecami usłyszał głos stewardesy.

– Co pan robi?

Nie patrząc na nią, rzucił zachrypnięty.

– Próbuję przywrócić jej akcję serca. Kontynuował próby jeszcze przez kilkanaście sekund, ale nic się nie zmieniło.

– Stewardesa! – krzyknął.

– Tak, proszę pana. Nie ma drugiego lekarza na pokładzie. Czy mogę pomóc?

Rourke spojrział na młodą dziewczynę przez ramię. – Tak. Przynieś mi suszarkę do włosów i coś, do czego można ją podłączyć.

– Suszarkę?

– Tak – chrypiał – suszarkę, elektryczną maszynkę do golenia, coś w tym rodzaju.

Za chwilę stewardesa była z powrotem. W dłoni trzymała suszarkę w kształcie pistoletu.

Chwytnąjąc urządzenie, Rourke wyrwał kabel i za pomocą scyzoryka rozczepił go. Zerwawszy izolację, wydobyl dwa dwucentymetrowe końce przewodu.

– Kiedy dam ci znać, włóż do kontaktu, ale nie dotykaj końcówek i nie pozwól, żeby o coś zahaczyły.

Łapiąc obiema rękami za kołnierz sukni starszej kobiety, zdarł przód garderoby.

– W porządku, podłączaj – powiedział. Następnie, zwracając się w stronę stewardesy, wziął kabel i gwałtownie złączył dwa końce, powodując ich iskrzenie.

– Teraz – szepnął – nie pozwól nikomu jej dotknąć. – Obydwa końce przyłożył do klatki piersiowej kobiety. Jej ciało drgnęło na fotelu. Rourke posłuchał, czy serce się odezwało. Końcami przewodu ponownie dotknął klatki piersiowej. Kobieta podskoczyła do góry i opadła na siedzenie.

– Oddycha! – krzyknęła stewardesa. Rourke owinał kabel dookoła palców i wyrwał go z gniazdka.

– Dopilnuj, żeby było jej wygodnie – powiedział, słuchając bicia serca reanimowanej, a potem wyczuwając puls na nadgarstku. – Usta musi mieć cały czas otwarte. Znajdź pasażera, który będzie obserwował, czy jej pierś się cały czas porusza. A ty lepiej idź i powiedz kapitanowi, żeby jak najszybciej wylądował. Ta kobieta potrzebuje szpitala.

– Mogę dać jej tlen.

– Zatrzymaj na czas, kiedy może go potrzebować, na razie oddycha prawidłowo – odparł.

Przepchnął się między stłoczonymi dookoła pasażerami w kierunku środkowej części samolotu i wszedł do toalety. Chwilę patrzył na swoją twarz w lustrze, chwytając się umywalki, kiedy samolot zaczął nagle schodzić w dół.

Prezydent i Thurston Potter szli szybko przez trawnik Białego Domu w kierunku specjalnego samolotu pionowego startu i lądowania, z którego prezydent korzystał dotychczas tylko raz, podczas ćwiczeń Obrony Cywilnej. Maszyna nazywała się „Dzień Ostateczny” i poza prezydentem i jego doradcą, było tam miejsce tylko dla pilota i drugiego pilota, oraz jeszcze jednej osoby – sierżanta sił powietrznych, towarzyszącego szefowi państwa wszędzie. Mały, czarny, prostokątny neseser spoczywał w rękach sierżanta, jak zwykle przymocowany kajdankami do jego nadgarstka. Wewnątrz znajdował się niewielki radiotelefon. Bateria była ładowana raz dziennie, a zasilanie sprawdzane co najmniej tak samo często. Używając tego urządzenia, prezydent mógł wydać zaszyfrowany, słowny rozkaz rozpoczęcia zmasowanego ataku nuklearnego.

Prezydent nieużył jeszcze specjalnej skrzynki, choć doradcy poinformowali go o zmasowanym

ataku sowieckim. Kiedy wszyscy byli już na pokładzie „Dnia Ostatecznego”, Potter krzyknął:

– Czy zamierza pan skorzystać ze skrzynki?

Siedzący obok sierżanta lotnictwa prezydent zapiął pas. Gdy samolot poderwał się z ziemi, odpowiedział, przekrzykując hałas silników:

– Jeszcze nie. Wciąż jest szansa. Jeszcze nie teraz.

Maszyna wznosiła się ku górze, skąd można było zobaczyć teren Białego Domu i dachy budynków; potem, po nagłym wstrząsie, ruszyła szybko do przodu.

– Będziemy na miejscu za niecałe 10 minut – rzucił prezydent. – Czeka mnie rozmowa telefoniczna z radzieckim premierem.

– Ależ panie prezydencie. Nikt z nas tego nie pragnie, ale część z ich rakiet wystrzelonych z okrętów podwodnych może wraca już do atmosfery – nalegał Potter.

Prezydent uniósł rękę na znak ciszy. Poza hałasem silników usłyszał cichy świszczący dźwięk. Odgłos pracy samolotu natężył się nagle. – Nabieramy szybkości – powiedział bardziej do siebie niż do innych. Świszczący dźwięk był coraz głośniejszy. Z głośnika, umieszczonego w kadłubie samolotu obok prezydenta, dobiegł głos pilota. Wszyscy spojrzeli w jego kierunku.

– Mówi major Hornsbey, panie prezydencie. Mój radar wyłapał właśnie rakietę, wygląda na to, że leci ze wschodu na centrum Waszyngtonu.

Prezydent dotknął ramienia sierżanta. – Hary, daj mi skrzynkę.

Kiedy było już po wszystkim, prezydent oddał radiotelefon sierżantowi, ten schował go z powrotem do skrzynki, i powiedział:

– Panowie, uważam, że powinniśmy wszyscy pomodlić się chwilę w milczeniu. – Przez moment, małą kabinę wypełniało tylko buczenie silników. Sierżant i Potter spojrzeli na prezydenta. Thurston chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Prezydent mówił ledwie słyszalnym szeptem:

– Pan jest pasterzem moim. Niczego mi nie braknie...

Sarah Rourke, Michael i Ann znieśli do piwnicy butelki z wodą. Dziewczynka płakała. Nie lubiła piwnicy. Sarah usiadła w rogu, pomiędzy dwiema wewnętrznymi ścianami, po jednej stronie mając Michaela, a po drugiej Ann. Tranzystorowe radio, ustawione na audycję Obrony Cywilnej, stało na podłodze, pod jej uniesionymi kolanami. Pochyliła się i przyciągnęła bliżej materac, który Michael ściągnął z góry.

– Teraz – powiedziała spokojnie Sarah. Komentarz Obrony Cywilnej wciąż był słyszalny w radiu. – Nie mam zamiaru mówić wam, że to tylko zabawa. To bardzo poważna sprawa. Musimy naciągnąć na głowy koc, a potem materac. To w razie gdyby coś zaczęło się dziać w domu. Na szczęście jesteśmy ponad sto kilometrów od Atlanty i nie sądzę, aby zniszczenia dotarły aż tutaj. Musicie koniecznie pozostać pod kocem i materacem. Może pokazać się oślepiający błysk, ale minie po paru sekundach. Tak mówił spiker. Silny wiatr może powybić szyby, dlatego jesteśmy w piwnicy. Prawdopodobnie, będzie też głośny huk, kiedy więc przytulę was do siebie, zakryjcie uszy rękami i otwórzcie buzie. Zrozumiano?

– Nic nam nie będzie, mamie – powiedział Michael, obejmując ją za szyję. – Zajmę się tobą i Ann.

– Wiem o tym, Michael – wyszeptała. Teraz podaj mi koc i materac.

Z pomocą syna, Sarah naciągnęła na ich głowy koc, i niezgrabnie sięgnawszy po materac, wciągnęła go na wszystkich. Włączyła latorkę i położyła ją między nogami obok radia. Objęła z lewej strony Ann, a z prawej Michaela, przytulając do siebie.

Otoczyła ich ramionami, dłońmi zakrywając swoje uszy. Wszyscy spuścili głowy. Słyszała wciąż działające radio, ale nie mogła się zorientować, o czym mówił spiker.

Ziemia pod stopami nagle zaczęła drżeć. Sarah przytuliła dzieci mocniej i spojrzała w nikłe światło latarki, żeby upewnić się, czy dzieci mają zatłkane uszy. Siłą musiała położyć dłonie Ann na uszach.

Grzmiało, i choć ręce trzymała na uszach, odgłos zdawał się coraz głośniejszy. Pociągnęła głowy dzieci w dół, do swoich kolan i pochyliła się nad nimi. Michael zaczął pojękiwać.

Huk był jeszcze głośniejszy, drganie narastało. Sarah poczuła nagle ciepło; większe, niż można było tego oczekiwać pod kocem i materacem. Po nieskończonej długim czasie, chociaż wskazówki zegara nie odmierzyły nawet minuty, hałas powoli osłabł, a drżenie ustało.

Czekała. Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

– Dzieci, chyba już po wszystkim.

Kiedy uniosła głowę, rozległ się świszczący dźwięk i hałas tłuczonego szkła w domu na piętrach. Przypomniała sobie huragan, na skraju którego kiedyś była. Jego odgłos był identyczny do tego. Dom drżał, dźwięk tłuczonych szyb narastał. Nachylona nad dziećmi, czuła spadające na plecy przedmioty. Ann płakała, a Michael zadawał pytania. Sarah chciała krzyczeć, nie zrobiła tego jednak. – Wszystko będzie dobrze – wyszeptała. – Tata wkrótce wróci do domu. – Ale w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jeśli wybuch zastał jej męża gdzieś na powietrzu, bez żadnej ochrony, najprawdopodobniej zginął. Serce oddaliło tę myśl. Dopóki nie wie na pewno, będzie wierzyła w powrót męża, jakkolwiek długo miałoby to trwać.

Sarah Rourke szepnęła do dzieci:

– Ojciec wróci.

ROZDZIAŁ XX

– Moja żona? Dzieci?

– Czują się dobrze, panie prezydencie. Będą tu absolutnie bezpieczne – odparł Thurston Potter, podchodząc do niego i siadając na wolnym krześle naprzeciwko.

– Czy wszyscy są tu, na Szczycie Lincolna?

– Szef sztabu, Paul Dorian jest tutaj. Również pan Thorpe. Porucznik Brightston bawi się z pańskim najmłodszym synem, puszcza mu filmy. Kontradmirał Corbin i ludzie z jego wywiadu też dotarli.

– A sekretarz Meeker? – spytał prezydent.

– O ile wiemy, próbował sprowadzić swoją żonę. Nie sądzimy, by mu się to udało. Waszyngton zniknął. Wiceprezydent Sneed również nie miał szczęścia. Nie mógł opuścić na czas szpitala w Bethesdzie. Operacja, którą przechodził, była akurat w krytycznym punkcie.

– Mój Boże. Meeker, Sneed! Ile milionów, Potter? Są jakieś dane?

Zanim Potter zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak, proszę wejść – odparł prezydent wysokim głosem.

Do środka wszedł kontradmirał Corbin. – Panie prezydencie, otrzymałem wstępne sprawozdanie z sytuacji.

– Jakie ofiary? – spytał prezydent zapalając papierosa.

– Za wcześnie, by o tym mówić. Wygląda na to, iż ten potężny atak ominął kilka strategicznie ważnych miast i był skoncentrowany przede wszystkim na celach militarnych, nie na dużych ośrodkach miejskich. Niektóre relacje ze środkowego zachodu wskazują na prawdopodobne użycie bomb neutronowych, ocalało więc przynajmniej część budynków.

– Jakie zniszczenia my im zadaliśmy?

– Większe miasta, poważniejsze ośrodki przemysłowe. Z tym, że oni zniszczyli zbyt dużą część naszego potencjału, kiedy jeszcze znajdował się na ziemi. Tę bitwę chyba przegraliśmy, panie prezydencie – zakończył Corbin.

– Tę bitwę? – powtórzył prezydent z absurdalnym uśmiechem. Potem powiedział spokojnie:

– Admirale Corbin, nie zdaje pan sobie sprawy, że następnej nie będzie?

Rourke krzyczał:

– Wszyscy odsunąć się od okien, głowy w dół, zakryć twarze i oczy! – patrząc przez okno lecącego właśnie nad Missisipi samolotu, Rourke dostrzegł w powietrzu coś mlecznobiałego zmierzającego ku ziemi. W tym samym momencie samolot zaczął drżeć i kołysać się. Rourke wiedział, że jego pierwsza myśl nie była błędna. Na dole wybuchła rakietą z głowicą nuklearną. To

co przed sekundami było miastem St. Luis, w stanie Missouri, zniknęło.

Po paru minutach turbulencja osłabła. Rourke podniósł głowę. Cichły już jęki i krzyki. Ludzie przy oknach, naliczył ich ponad dziesięciu, zasłaniali twarze dłońmi, łkając i postępując.

Spojrzał na przejście między rzędami foteli. Zbliżała się stewardesa, ta sama, która pomogła mu w reanimacji starszej kobiety. Rękoma łapała się siedzeń, próbując utrzymać równowagę. Twarz miała pobladła, oczy otwarte. Rourke złapał ją za rękę, poszturchując siedzącego obok pasażera. – Co jest? Wracasz od kapitana?

– Nic, panie Rourke. Nic poważnego... Rourke wstał ze swego miejsca, przerzucił nogi przez mężczyznę po prawej stronie i stanął w przejściu. Sięgnął do portfela i wydobyl jeden ze swoich dokumentów, pokazując go stewardesie. – Wiesz co to jest?

– Jest tu napisane: Centralna Agencja...

– Tak – szepnął Rourke. – Teraz ja, chyba że znajdzie się jeszcze ktoś inny, jestem najważniejszym w tym samolocie urzędnikiem państwowym. Stało się coś, prawda? Piloci zostali oślepieni, tak?

– Jak pan...

Rourke przerwał jej:

– Tylko to mogło się zdarzyć. Nie zdołali w porę odwrócić oczu od błysku nad St. Louis. Kabina jest cała przeszklona. Została uszkodzona?

– Nie, ale ma pan rację, żaden z pilotów nie widzi. Samolot prowadzi pilot automatyczny, a przy tej turbulencji...

– Właśnie – powiedział Rourke. Szybko zdecydował najpierw uspokoić pasażerów, potem dopiero obejrzeć pilotów. – Podaj mi mikrofon – rzekł.

Poszedł za nią wąskim przejściem do przodu samolotu, gdzie stewardesa wręczyła mu mikrofon. Włączył go i zaczął mówić:

– Proszę państwa, nazywam się Rourke. Jestem specjalnym pracownikiem rządu. – Pomruki i okrzyki stanowiły jeden zgiełk razem z płaczem i szlochaniem.

Wszyscy zaczęli nagle zadawać pytania. Spojrzał w najbliższe okno. – Teraz proszę wszystkich o chwilę spokoju i wysłuchanie mnie. Po pierwsze, proszę zaciągnąć zasłony w oknach i nie wyglądać przez nie. Po drugie, jeśli ktoś ma kłopoty ze wzrokiem, to tylko przejściowe – skłamał. – Kiedy skończę, proszę wziąć poduszki i pomóc takim pasażerom wygodnie się ułożyć. Jestem też lekarzem, więc obejrzę wszystkich. Proszę wyciągnąć z szafek koce i okryć uszkodzone osoby. Zaraz przejdę i udzielę każdej możliwej pomocy medycznej. – Przerwał na moment, potem dodał:

– Stany Zjednoczone zostały zaatakowane bronią nuklearną.

Wybuchnął kolejny atak rozpacz. Ktoś zaczął histeryzować. Rourke wrzasnął do mikrofonu:

– Uspokójcie się i bądźcie cicho. Chciałbym powiedzieć coś pocieszającego o tym, co może trwać na dole, ale nie mogę. Jak na razie, my wszyscy jesteśmy w miarę bezpieczni – skłamał znowu. – Teraz, chciałbym, aby pasażerowie posiadający jakiegokolwiek doświadczenie w lataniu, poszli ze mną do kabiny. Nie panikujcie! Kapitan panuje nad samolotem, ale z powodu dużej turbulencji powstałej w wyniku ogrzania atmosfery, potrzebuje dodatkowej pomocy przy niektórych urządzeniach. Także, wszyscy ci, którzy potrafią udzielać pierwszej pomocy lub mają doświadczenie pielęgniarskie, proszeni są o zgłoszenie do nas. Potrzebujemy was, aby uszkodzone osoby miały wygodę i wsparcie medyczne. Stewardesa rozda teraz drinki. Radzę się poczęstować. To będzie długa noc. – Rourke oddał mikrofon stewardesie.

Kilku pasażerów zaczęło przechodzić do przodu kabiny pierwszej klasy. Kiedy się zebrali, Rourke powiedział:

– W porządku, chodźmy do kuchni. Omówimy sytuację. Ty też – rzucił do stewardesy.

Ruszył w stronę kuchni, gdzie oparł ręce na blacie lady, czekając, aż wszyscy wejdą. Kiedy się zebrali, powiedział do stewardesy:

– Opuść zasłony i tak je pozostaw. Zaczął mówić do zebranej szóstki:

– Czy ktoś ma jakieś doświadczenia w pilotażu? Kobieta, około trzydziestoletnia, podniosła rękę.

– Co pani potrafi? – spytał.

– Rozpoczęłam prywatny kurs trzy tygodnie temu, miałam cztery lekcje. To wszystko.

– No tak – uśmiechnął się Rourke. – Lepsze to niż nic, prawda? – Przygryzł dolną wargę, szukając w marynarce cygara. Znalazł je i zapalił. – Ktoś jeszcze?

Nie było odpowiedzi. Rourke mówił powoli:

– Przypuszczam więc, że pozostali z was mają doświadczenie medyczne. Stewardesa będzie koordynowała wasze działania i pomagała zdobyć to, co trzeba. Jest wśród was pielęgniarka?

Nie było odpowiedzi.

– W porządku – odparł Rourke. – Stewardesa zapyta przez mikrofon, kto z pasażerów ma aspirynę, albo jakieś środki przeciwbólowe. Podawajcie aspirynę póki nie ma niczego innego w zasięgu ręki. Być może parę osób ma chorobę popromienną i ostatnia potrzebna im rzecz, to środki drażniące żołądek. Oplukujcie im sparzone części twarzy i oczu, używajcie zimnych kompresów i ułóżcie wszystkich wygodnie. Róbcie co się da. Jestem lekarzem, jeżeli będzie wam potrzebna rada, przyslijcie do mnie stewardesę. Nie mam żadnych przyrządów ani instrumentów medycznych, ani tabletek, nic, ale mogę służyć poradą.

Zwracając się do kobiety, która brała lekcje pilotażu, powiedział:

– Jak się pani nazywa?

– Jestem Mandy Richards.

– Dobrze, pani Richards. Pani i ja pójdziemy do przodu i zobaczymy jak można pomóc kapitanowi i drugiemu pilotowi, zgoda?

– Nie wiem, na ile się przydam, panie Rourke.

– Proszę mówić do mnie John. Tak będzie prościej. Pomożemy jak najlepiej potrafimy.

Stewardesa chodziła już w przejściu z naczyniami z wodą i ręcznikami. Cała piątka deklarująca doświadczenie medyczne podążała za nią.

Rourke zapukał do drzwi pilota. Złapał za klamkę i wszedł, mówiąc do kobiety:

– Wybacz pani, że wchodzę pierwszy, pani Richards.

Rourke stanął w przejściu. Obaj piloci wciąż pozostawali na miejscach, przypięci pasami. Wili się z bólu i trzymali ręce na twarzach. Drugi pilot jęczał. – Proszę zamknąć drzwi, pani Richards – powiedział Rourke łagodnie.

Podszedł do przodu i spojrzał na kapitana. Kobieta stanęła za nim i rzekła:

– Mój Boże, oni są ślepi jak...

– Dlatego właśnie tu jesteśmy, pani Richards. Ale jeśli powiemy choć słowo pasażerom, wybuchnie panika, z której nic dobrego nie wyniknie, prawda?

– Kim jesteście? – w kabinie rozległ się napięty i chrapliwy głos kapitana.

Pochylony nad nim Rourke odpowiedział:

– Jestem John Rourke, kapitanie, pasażer. Stewardesa powiedziała mi, że potrzebuje pan pomocy.

– Pan jest lekarzem, tak?

– Poniekąd – odparł. – Ale tu też mogę pomóc. Trenowałem na bombowcach wojskowych, latałem helikopterem. Jest ze mną pani Richards, ona również ma pewne doświadczenie. Może jesteśmy w stanie pomóc. Jeżeli nie straci pan przytomności, będzie pan mógł mówić nam jak utrzymać samolot w powietrzu i jak wylądować, gdy przyjdzie czas.

– To niemożliwe, doktorze. Kontrolowanie tej maszyny jest zbyt trudne, kiedy się jej nie zna. Nie dam rady tak po prostu wam tego opowiedzieć.

– No tak – powiedział cicho Rourke – niech pan lepiej ma nadzieję, że zdołamy się w tym wszystkim zorientować. Wskaźniki paliwa nie dają nam więcej niż dwie godziny lotu. A automatyczny pilot niewiele pomoże, gdy napotkamy następną falę uderzeniową.

– Co za różnica? Wszyscy i tak jesteśmy już martwi – odparł kapitan.

– Może tak, może nie. Nie wiem, ale chyba nie popełnimy samobójstwa tu na górze, co?

Rourke spojrział na kapitana. Pilot miał zaciśnięte oczy, a buraczkowo-czerwona twarz wyglądała jak po oparzeniu słonecznym.

– Nie da rady – powiedział – ale jeśli chcesz, próbuj.

– Spróbuję – powiedział Rourke i zaczął go uwalniać z pasów, potem położył go na podłodze w tyle kabiny, tak wygodnie, jak tylko to było możliwe. – Niech pani przyniesie jakieś poduszki, koce, wodę i ręczniki, pani Richards – rzucił Rourke. Zaczął układać drugiego pilota, który stracił już przytomność.

Za chwilę pani Richards była z powrotem.

– Najpierw proszę pomóc kapitanowi, drugi pilot jest nieprzytomny – rzekł Rourke. Sam usiadł na miejscu pilota i zaczął przyglądać się przyrządom. Włączył przycisk głośników i zaczął mówić do mikrofonu:

– Mówi John Rourke, czy stewardesa, panna... – w tym momencie zdał sobie sprawę, że nie zna jej nazwiska – czy stewardesa, która pomogła mi parę minut temu, może przyjść do kabiny pilota?

Rourke spojrział na tablicę rozdzielczą, kontrolki, zegary, wskaźniki. Zaczął wierzyć, że kapitan miał rację. Nadzieja na bezpieczne sprowadzenie samolotu na ziemię była nikła.

Wzruszył ramionami, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Małe szanse powodzenia nie mogły go powstrzymać przed podjęciem próby. Kiedy wołał – proszę wejść – gdzieś w zakątku myśli, zastanawiał się, czy Sarah, Michael i Ann wciąż żyją. Zaczął żuć cygaro.

– O co chodzi, panie Rourke? – spytała stewardesa.

– Czy są tu jakieś książki instruktażowe, cokolwiek, co mogłoby mi pomóc?

– Piloci mają instrukcje – zaczęła i podeszła do jednej z szuflad pod pulpitem z przyrządami – ale są pomocne tylko w razie różnych awarii. Nie wiem, czy przydadzą się panu.

Rourke spojrział na grubą, obłożoną winylem książkę, którą podała mu stewardesa i zważył ją w rękę.

– Tylko to – powiedział spokojnie – pomoże w razie kłopotów.

ROZDZIAŁ XXI

Sarah Rourke powoli zsunęła z siebie koc i materac. Czowała jakiś zapach; dym? Nie, był to sypiący się tynk.

– W porządku, dzieci – powiedziała. – Myślę, że możemy już sprawdzić, co się stało.

Kawałki gruzu sypały się z materaca, kiedy wstawiała na nogi. Lustrując maleńką piwnicę, wzięła do rąk radio tranzystorowe i potrząsnęła nim; nie usłyszała nic poza szumem. Zmieniła pasmo. Nic na FM. Przekręciła gałkę strojenia w lewo i w prawo; wciąż szum.

– Co z radiem, mamó? – zapytał Michael. Pytania w obecnej chwili były czymś, czego potrzebowała najmniej.

– Pewnie wstrząsy poluźniły jakiś kabelek w środku – kłamała – takie radia mają ich tysiące. Tata zna się na tym lepiej niż ja.

– Gdzie jest tata, mamó? – spytała Ann, kiedy wszyscy troje stali w na pół zniszczonej piwnicy.

– Wkrótce przyjedzie, kochanie – Sarah zapewniła córkę.

– Wszystko będzie dobrze – Michael objął siostrę ramieniem.

– Michael – zaczęła matka – zostań tu ze swoją siostrą na moment. Ja wejdę na górę trochę się rozejrzeć.

– Możemy pójść z tobą? Nie chcemy tu zostawać.

Spojrzała na syna i skinęła głową.

– Dobrze, ale idźcie za mną. Na wypadek, gdyby coś się stało.

Latarka „Safariland Kel-Lite”, jedna z kolekcji terenowych latarek Johna, wciąż działała. Skierowała strumień światła na schody i przez chwilę bawiła ją jedna myśl. Wyobraziła sobie, jak w swoim artykule lub książce, jej mąż mówi „Ta latarka „Kel-Lite” przetrwała trzecią wojnę światową i dalej jest sprawna”. Sarah pociągnęła nosem i ruszyła po schodach. Nagle przerwała wspinaczkę, poczuła gaz.

– Michael, wracaj i przynieś butelki z wodą. Szybko, ale uważaj na siebie.

– Nie możemy zabrać wody później, mamó?

– Nie, synku. Nie wiem, czy wrócimy tu jeszcze. Czuję gaz, który w każdej chwili może wybuchnąć. Nie dotykaj niczego metalowego. Wracaj zaraz i zaopiekuj się siostrą.

– Michael wrócił za moment i wręczył matce dwie z trzech butelek, potem chwycił Ann za rękę.

– Nie puszczaj jej, bez względu na cokolwiek, rozumiesz?

– Tak – zaczął – ale dlaczego...

– Nieważne – odpowiedziała Sarah. Następnie spojrzała na Ann. W każdej chwili mogła zacząć szlochać.

Sarah pochyliła się nad córką. Ta uniosła do góry dłonie. – Weźmiesz mnie na ręce, mamusiu?

– Teraz nie mogę, Ann, później.

– Chcę, żeby ktoś mnie poniósł.

– Będziesz musiała iść – Sarah powiedziała stanowczo, na nowo rozpoczynając pokonywanie schodów.

Schody były zaśmieczone dużymi kawałkami tynku i mniejszymi odpryskami drewna. Odsunęła je na bok. Zdawała sobie sprawę, że mogły w nich tkwić gwoździe albo inne metalowe części grożące iskrą. Posuwała się jednak do przodu.

– Michael! – krzyknęła, zwracając wzrok na chłopca.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nie strącaj gruzu ze schodów. To może spowodować iskrę. Uwierz mi i nie rób tego więcej. Teraz chodź i trzymaj Ann za rękę.

Ann, posłusznie chwyciwszy dłoń brata, szła obok niego. Łzy wciąż gromadziły się w jej oczach.

Sarah stanęła przy piwnicznych drzwiach. Zapach gazu był tutaj silniejszy. Położyła ręce na klamce, a następnie cofnęła ją. – A jeśli powstanie iskra? – zapytała samą siebie półgłosem.

– O co chodzi, mamó? – spytał Michael. – Ja mogę otworzyć drzwi.

Chwilę później był już obok niej i położywszy swoją dłoń na klamce, pchnął drzwi.

– Michael! – krzyknęła Sarah, przyciskając do siebie syna i córkę. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, jakby dawno nie były oliwione. Nic nie nastąpiło.

Z dziećmi przy boku, Sarah ostrożnie weszła na parter domu. Gazu już nie czuła. Rozejrzała się po hallu i zauważyła, że wszystkie okna są wybite do wewnątrz. W pokojach porozrzucone były odłamki szkła z szyb, naczyń, wazonów, a nawet lamp wiszących pod sufitem; wszystko doszczętnie zniszczył podmuch wybuchu.

– Co się tutaj wydarzyło? – spytał Michael.

– Bardzo źli ludzie spuścili na nasz kraj wiele dużych bomb, Michael – zaczęła Sarah. – Słyszałeś o bombie atomowej i wodorowej, one mają o wiele większą siłę niż zwykające pociski. Ten cały bałagan spowodowały wybuchy w Atlancie, a wiesz, że stąd jedzie się do stolicy stanu półtorej godziny. Tak, Atlanta była daleko. – Drgnęła, słysząc czas przeszły: była. Zoo, muzea, sklepy i restauracje; nagle wróciły do niej wspomnienia przeżytych lat. Ludzie? Coś ścisnęło ją za gardło. Pochylając się nad dziećmi, powiedziała szybko:

– Musimy zabrać z domu parę rzeczy. Noc spędzimy w stodole.

– Dlaczego mamy spać w stodole, mamó?

– Właśnie – powtórzyła Ann. – Dlaczego tam? Nie lubię tego miejsca.

– Cóż – matka powiedziała cierpliwie – gaz, który czuliśmy w piwnicy, może gromadzić się przez całą noc i eksplodować. W stodole będziemy bezpieczni. A teraz chodźcie mi pomóc.

Bez zastanowienia ruszyła do kuchni, ale potem zmieniła zdanie.

– Wejdzmy na piętro i weźmiemy ubrania, w razie, gdybyśmy nie wrócili do domu. Michael, zabierz jeansy, kalesony, koszulki, skarpetki i dodatkowe dwie pary butów, schowaj wszystko do plecaka. Potem pomóż Annie. Nie zapomnij o swetrach.

– Ale na dworze nie jest zimno – protestował chłopiec.

Matka pochyliła się nad nim i położyła na jego ramionach swoje dłonie.

– Michael, jesteś bardzo mądry i bardzo dorosły. Czasami jednak, musisz robić to, co ja ci każę. Teraz też. Pospiesz się i nie zapomnij pomóc Annie.

Weszła na górę przed dziećmi i zajrzała do ich pokojów, sprawdzając, czy były tam bezpieczne. Podobnie jak parter, piętro domu wyglądało, jakby szalał tu wcześniej huragan.

Krzyknęła do dzieci:

– Uważajcie na szkło. Annie, nie odstępuj Michaela. – Poszła do końca korytarza i skręciła do pokoju, który dzieliła z mężem podczas jego obecności w domu. Otworzyła szufladę jego kredensu i znalazła w niej pistolet, jedyną broń poza strzelbą, jaką zmuszona była trzymać w domu. Przyjrzała się mu i odczytała wybity na boku napis: „Colt Mk IV/Seria 70” i pod spodem „Kaliber 8.07 milimetra”. Trzymając pistolet w dłoni, żałowała, że nie słuchała dokładniej, kiedy mąż opowiadał jej o nim parę miesięcy wcześniej.

– To jest model wojskowy, kaliber 8.07 milimetra – mówił wtedy – zwykły pistolet, ale cholernie dobry.

– Taki sam, jak ten, którynosisz przy sobie.

– Aha – odparł Rourke. – Tyle, że większy. Pamiętam o swoich kłopotach ze ślizgami w automatach, dlatego zostawiam jeden nabój w komorze. Po strzale odciągnij iglicę i zabezpiecz pistolet. Proste?

Wtedy Sarah chciała jak najszybciej zakończyć ten pokaz. Teraz obracała broń w dłoni, oglądając czarną, gumowaną rękojeść z blaszanymi wizerunkami końskich głów po obu stronach. Czowała chłód metalu. W tej samej szufladzie znalazła dwa dodatkowe magazynki. Wzięła je i jeszcze pudełko amunicji, potem zapakowała całość do płóciennej torby. Następnie, podeszła do swojej szafki i wyciągnęła z niej bieliznę, podkoszulki i dwa swetry. Z drugiej szafy zabrała dwie pary jeansów, identycznych jak te, które miała na sobie. Do płóciennej torby włożyła również dwie pary butów, a z szafy męża tyle par ciepłych skarpet, ile mogła zmieścić. Ze ściany zdjęła zdjęcie ślubne, wyrwała je z ramy, złożyła na czworo i schowała do wewnętrznej kieszeni torby.

Z łazienki, spod zlewu wyciągnęła starą torbę pocztową i uzupełniła zapasy mydłem, tamponami, pastą do zębów, bandażami i środkami dezynfekującymi.

Michael czekał gotowy w korytarzu. Sprawdziła jego bagaż i wysłała z powrotem po swetry i papier toaletowy, którego miał zabrać tyle, ile tylko mógł upchać w plecaku.

Sarah pośpiesznie pomogła Annie spakować jej rzeczy. Sprowadziła dzieci na parter, gdzie wciąż stały butelki z wodą. Zniosła wszystkie torby do kuchni. John nalegał zawsze, żeby trzymała zapasy mrożonej żywności z pobliskiego sklepu dla alpinistów. Znalazła torbę z zasobami w spiżarni i dołożyła do niej jeszcze puszki zupy i fasoli, a także otwieracz do konserw.

– Teraz – powiedziała – wypijcie mleko z lodówki, ile tylko zdołacie. Wezmę dla was witaminy i koce.

Zostawiła dzieci i wbiegła po schodach na górę. Najpierw do łazienki, gdzie z apteczki wyjęła witaminy, potem do pokoju gościnnego, skąd zabrała koce. Żałowała, że nie pozwoliła mężowi kupić śpiworów, w które już dawno chciał zaopatrzyć całą rodzinę.

Zbiegłszy na parter, zatrzymała się i złapała oddech.

– Dzieci, chodźcie – krzyknęła, zmierzając do kuchni.

– Schowam mleko do lodówki – powiedział Michael.

– Nie trzeba, kochanie – rzekła Sarah. – I tak nie ma prądu.

Ruszyli z kuchni. Michael dźwigał więcej, niżli wydawał się być w stanie. Ann ciągnęła za sobą płócienną torbę. Ich matka trzymała resztę bagaży. Sarah przypomniała sobie o jeszcze jednej rzeczy. Z górnej szuflady kuchennego kredensu wydobyła bardzo ostry nóż Henkelsa, owinęła go

w ściereczkę i wsunęła w torbę, którą z trudem przesuwiała po podłodze.

Kiedy byli przy końcu korytarza, stanęła i otworzyła drzwi pokoju dzieciennego.

– Poczekajcie chwilkę.

Podeszła do kominka i zdjęła z niego zdjęcia dzieci. Wyciągnęła fotografie z ram i schowała je.

Potem sięgnęła po wiszącą na ścianie dwururkę, zabierając również paczkę nabojów.

– W porządku – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał w miarę radośnie. – To ci dopiero przygoda.

Wyszli na werandę, w płaszczach i obładowani bagażami. Sarah usłyszała, że konie w stodole rżą z przestachu. Wkrótce wiedziała dlaczego. W ciemności, choć niebo rozjaśnione było czerwoną łuną, jak przy zachodzie słońca, wyły hordy wściekłych psów. Sarah poczuła strach.

– Chodźmy, chodźmy do stodoły – szepnęła.

ROZDZIAŁ XXII

- Mam już liczby, panie prezydencie – zaczął Thurston Potter.
- Na ile są dokładne? – zapytał prezydent, siadając na kanapie.
- Są to dane komputerowe oparte na informacjach wywiadów... bliskie prawdy.
- Dobrze – zgodził się prezydent – podaj mi je Potter rozpoczął:

– Tylko 20 procent rakiet zdążyło oderwać się od ziemi i unieść w powietrze. W przybliżeniu 85 procent bombowców zdołało wystartować. Nasza flota nuklearna i bombowce w punkcie samoobrony dobrze wykonały swoje zadania. Jeśli chodzi o flotę, to mam tu 90 procent efektywności. Bombowce natomiast dotarli nad cele, ale wygląda na to, że sowiecka broń laserowa zniszczyła większość z nich.

– Chcę znać straty w ludziach, nasze i ich – zażądał prezydent.

– Liczbę zabitych i umierających ustalono na 60 procent całej populacji Stanów Zjednoczonych, to jest około 145 milionów ludzi...

– Chryste Panie!

Potter mówił dalej, przewracając w dłoniach kartki papieru. – Do rana będzie siedemdziesiąt pięć razy więcej pacjentów z oparzeniami trzeciego stopnia, niż może przyjąć całość odpowiednio wyposażonych szpitali. Przewidywaną liczbę tych, którzy z tego powodu umrą wliczono w te 145 milionów. Dodać trzeba jednak 20 procent zgonów spowodowanych zatruciem skażeniowym. Ostatecznie otrzymujemy około 175 milionów zabitych. To maksymalna liczba. Otrzymaliśmy też wstępną analizę statystyczną.

Prezydent spojrzał Potterowi w oczy. – Później Thurston. Jak radzą sobie Rosjanie?

– Zniszczyliśmy 60 procent ich przemysłu ciężkiego i około 40 procent ludności. Do tego walczą przez cały czas z Chińczykami. Pozostałe liczby strat globalnych nie są jeszcze znane, ale większa część Wysp Brytyjskich zniknęła pod wodą, główne miasta Kanady zostały również zmiecione z powierzchni ziemi. Terytorium Francji jest raczej nienaruszone. W Niemczech Zachodnich, poza bronią taktyczną, nie było wybuchów nuklearnych. Europę Zachodnią zaatakowały natomiast dywizje sowieckie, ale to nie potrwa długo. Chińczycy naprawdę dają Rosjanom w kość.

– Co z naszymi wojskami? – spytał prezydent.

– Złe wiadomości, panie prezydencie. Siły stacjonujące w Europie zostały praktycznie zniszczone. Walczą jeszcze tylko małe oddziały i Pentagon utrzymuje, że będą działać, póki nie rozkaże pan inaczej. Większość baz wojskowych na naszym kontynencie nie istnieje, oznaczone bowiem były jako cele klasy A, ze względu na rakiety. Jest też nie potwierdzony jeszcze raport, że wybuchy na Zachodnim Wybrzeżu spowodowały ustąpienie uskoku tektonicznego San Andreas,

a przez to trzęsienie ziemi i przyptyw oceanu. Potwierdzono natomiast, iż Nowy York został zalany przez falę z Atlantyku. Liczba ofiar nie bierze pod uwagę zaginionych podczas trzęsienia ziemi w San Andreas, ale obejmuje straty ludzkie z katastrofy Nowego Yorku.

– Czy Rosjanie przeprowadzą desant? – głos prezydenta nie zdradzał emocji.

– O ile nam wiadomo, tylko w bezpiecznych miastach, tam gdzie użyli bomb neutronowych. I nie wcześniej niż za 24 godziny. Będzie to miało znaczenie symboliczne bardziej niż wojskowe. Mogą utrzymać przez chwilę te rejony, ale kiedy Chińczycy atakują z drugiej strony, na nic więcej nie starczy im ludzi. Nie zdołają również rozbudować wystarczającego przemysłu ciężkiego, ażeby okupować cały kraj. Mamy zresztą oddziały wojskowe, które uczynią z pobytu Sowietów w tym kraju piekło. Te jednostki powinny być zdolne do walki bez końca.

– Muszę być wdzięczny – wyjąkał prezydent. – Cała planeta mogła wyskoczyć z orbity i spaść na słońce, tak jak ostrzegali nas niektórzy naukowcy.

– Cóż, panie prezydencie. Nikt nie użył całego potencjału. Rosjanie właściwie przestali już ostrzeliwać nasze cele. Mogliśmy przecież przekroczyć punkt krytyczny i spowodować zmiany klimatyczne. Trudno teraz sądzić. Niepewna sprawa. Mogę usiąść, panie prezydencie?

– O, przepraszam, Thurston – powiedział prezydent, patrząc na niego. – Tak, proszę, siadaj.

– Panie prezydencie, co zamierza pan zrobić?

Prezydent uśmiechnął się i powiedział:

– Podejrzałem, że ktoś mnie o to zapyta. Cóż, nie ma precedensu, który mógłby mi pomóc. Państwo niemal przestało istnieć. Nie wiem. A co z opadem radioaktywnym?

– Mamy opracowanych wiele scenariuszy; obecna sytuacja jest najbliższa opracowaniu numer 18 A. Wątpię, aby je pan pamiętał. Chodzi o to, że opad pozostanie zwarty w kilku obłokach na terenie kraju. W taki też sposób obniży się i wsiąknie w ziemię. Niektóre rejony będą nuklearnymi pustyniami, nawet przez setki lat, to zależy od rodzaju sowieckich głowic. Niewielka część kraju jest bezpieczna. Z kolei cała delta Missisipi została zniszczona bezpośrednim atakiem, przekształcającym tym samym środkowe tereny Stanów w olbrzymią ziemię niczyją na sto lub więcej lat.

– Planeta jednak nie umarła – prezydent zawahał się.

– O ile nam wiadomo, nie. Nie wiem, czy powinienem panu powtórzyć opinię admirała Corbina.

– Proszę.

– Nazwał wojnę szybką odnową wielkowiejską. Twierdzi, że przyszłe generacje podziękują nam za to pewnego dnia. Przetrwają tylko najmocniejsi, słabi w naturalny sposób odpadną. Ziemia w końcu sama się odnowi.

– Pieprzy – powiedział prezydent spokojnie.

Radziecki premier podpisał potrzebne dokumenty do dokonania symbolicznej, powietrznej inwazji na miasta bombardowane raketami neutronowymi. Najważniejsze będzie Chicago, czy raczej to, co po nim pozostało, kiedy fale Jeziora Michigan dokończyły dzieła zniszczenia. Chicago miało być największym okupowanym miastem. Atlanta, St. Louis, Waszyngton i inne aglomeracje na wschodzie zostały zbombardowane ładunkami nuklearnymi i nie nadawały się do zasiedlenia przez następne – premier sprawdził tabele połowicznego rozpadu materiału radioaktywnego – 204 lata. Los Angeles i inne miasta na zachodnim wybrzeżu nie wchodziły w rachubę. Los Angeles, San Francisco i większość środkowej Kalifornii pochłonął Pacyfik, kiedy osunął się uskoki tektoniczny San Andreas. To martwiło premiera. Olbrzymia fala zagarnęła część zachodniej Kanady i Alaski, zmierzając ku wybrzeżom Japonii.

Premier wyłączył lampkę stojącą na biurku. W przeciwieństwie do gabinetu na Kremlu, ten był mocno oświetlony. Jasność męczyła mu wzrok. Bezpieczny w swoim schronie, odpoczywając teraz w ciemności, przypomniał sobie wstępne dane o liczbie zabitych obywateli Związku Radzieckiego. Zginęło około 40 procent całej populacji. Zamknął oczy, 120 milionów mężczyzn, kobiet i dzieci. A przecież wciąż trwała wojna z Chinami.

ROZDZIAŁ XXIII

Rourke wstał i podszedł do pani Richards, która klęczała przy kapitanie.

– Miała pani rację, kapitan nie żyje. – Spojrzał na drugą stronę kabiny, drugi pilot zmarł 20 minut wcześniej. – Wygląda na to, że wszystko zależy teraz od nas – dodał spokojnie.

Mandy Richards przygryzła wargi i skinęła głową.

Rourke dotknął jej ramienia.

– Jak się orientuję, utrzymamy się w powietrzu przez mniej więcej dwie godziny. Nawet mniej, bo potrzebujemy trochę paliwa na obniżenie pułapu i lądowanie.

Nagle przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. W radiostacji słychać było jakiś głos. Skupił na nim całą swoją uwagę. Odkąd przebywał w kabinie pilota, starał się rozszyfrować wszystkie instrumenty, radio też. Na każdym paśmie słyszał jednak tylko szum. Podejrzewał, że powodem była jonizacja powietrza. Ale teraz głos był wyraźny.

– Pani wybaczy. – Rourke przesiadł się na fotel pilota i założył na głowę słuchawki. Poruszył pokrętłem radiostacji. – Tu mówi Canamerican 747, lot 601, słyszę cię poprzez silne szumy. Słyszysz mnie? Over.

Poczekał chwilę i głos pojawił się ponownie:

– Tu mówi Buck Andersen, kapitanie, koncesjonowany krótkofalowiec z Tombstone w Arizonie. Over.

Rourke uśmiechnął się.

– Nie jestem kapitanem, tylko zwykłym facetem prowadzącym w tej chwili samolot. Piloci zginęli oślepieni błyskiem bomb. Czy jest możliwe, abys pozostał z nami w kontakcie i pomógł nam znaleźć połączenie z jakimś lotniskiem, może w Tucson?

– Tucson nie istnieje – odpowiedział chłopak i na moment zamilkł.

– Buck – Rourke powiedział do mikrofonu. – Słyszysz mnie? Over.

– Wciąż cię słyszę. Ale Tucson już nie ma. Ziemie na zachód stąd, albo same wpadły do morza, jak Kalifornia na przykład, albo zostały zalane. My tutaj jesteśmy obecnie na wyspie.

– Tak – wtrącił Rourke – tak, znałem te tereny, byłem tu na festynie Helldorado.

– Woda – kontynuował chłopak – wciąż może się podnosić, nie ma pewności. Wszyscy naokoło zginęli, ja jestem chory. Bomby, które spadły na Tucson i Phoenix po prostu zmiotły je z powierzchni ziemi, aż po Benson.

W Benson była kiedyś restauracyjka. Robili tam najlepszą pizzę w Arizonie, przypomniał sobie Rourke.

– Skąd wiesz o zachodnim wybrzeżu? – zapytał. – Over.

– Rozmawiałem z dziewczyną, krótkofalowcem z Kalifornii, akurat kiedy to wszystko się zaczęło. W jakiś sposób wciąż ją odbierałem. Opisywała mi to... okropne.

– Opowiedz mi – powiedział po cichu Rourke. – Over.

– Boże... budynki drżały, a ziemia... ona widziała, jak rozstępuje się ziemia, potem radio zamilkło. Jakiś czas później złapałem samolot. Mówili, że z góry byli w stanie dostrzec olbrzymie pęknięcie na lądzie i ławę wypływającą na powierzchnię. Potem tereny zalała ogromna fala. I wtedy straciłem z nimi łączność. Pilot powiedział, że turbulencje są coraz mocniejsze i wyłączył się. Dziwne.

– Wiesz coś o Flagstaff, Buck? – zapytał Rourke. – Over.

– Nic, nic od czasu transmisji apelu Obrony Cywilnej, będzie z godzinę temu. Cały obszar wokół Flagstaff i Wielkiego Kanionu nawiedziły ośmio- i dziewięciostopniowe trzęsienia ziemi, a przecież bomby spadały tam jeszcze później.

Rourke pokręcił z niedowierzaniem głową. – A tobie się uda? – spytał.

– Nie sądzę. Mam wymioty, ledwie widzę na oczy. To chyba choroba popromienna.

– Tak, Buck – powiedział Rourke.

– Tak myślałem.

– Przykro mi.

– Chciałbym ci pomóc sprowadzić samolot na ziemię. Ale nie jestem w stanie. Może lepiej rozbijcie się gdzieś, tu na dole jest piekło. Powietrze skażone, woda wciąż się podnosi, teraz już wiem na pewno... – głos zamilkł.

– Buck? – wołał Rourke.

Chłopak mówił znowu. – Mój generator się odłączył, przepraszam.

– A co z Nowym Meksykiem? Over.

– Nie słyszę... – w radiu był już tylko szum.

– Czy on umarł? – pani Richards siedziała obok na fotelu drugiego pilota.

– Nie. Znaleźliśmy się poza zasięgiem jego nadawania. Nie umarł... jeszcze.

– Może miał rację – powiedziała pani Richards.

Rourke spojrzał na nią.

– Póki żyjemy – odparł – mamy szansę. Jeśli poddamy się, to po nas.

– Mój mąż był w Kalifornii – zaczęła kobieta.

– W Georgii zostawiłem żonę i dwoje dzieci – rzekł Rourke.

– Ale oni mogli przeżyć, a mój mąż nie żyje. Może ten chłopak kłamał – pochwyciła – kłamał, bo nie wiedział, przecież ziemia nie mogła się tak po prostu zapaść...

– Nie sądzę, żeby kłamał, pani Richards – powiedział spokojnie Rourke.

– Czy myśli pan, że mój mąż przetrwał?

– Szczerze? – spytał.

– Tak – odpowiedziała.

– Nie, nie przypuszczam, aby mu się to udało. Nawet jeśli był po drugiej stronie uskoku, fala i tak go dosięgła. Mam... miałem przyjaciela w San Diego. Zawsze mówił, że w przypadku osunięcia się San Andreas, przeżyje, jego biuro i dom stały po kontynentalnej stronie. Ale kiedy góry zwały się w dół, razem z całą masą ziemi, impet i ciężar tej kupy gruzu, także, jej ruch, spowodowały niewyobrażalną falę, która zalała niższe połacie lądu. Nie wiadomo, gdzie teraz utworzy się linia wybrzeża.

– Nie powinnam żyć – jęknęła. – Nie ma nic. Nie ma po co żyć. Po co żyć? – wypowiadała zdania jak zaklęcia.

Rourke popatrzył na nią i powiedział powoli:

– Na to pytanie musi pani sobie odpowiedzieć sama. Mam nadzieję, że pani potrafi. A teraz spróbujmy gdzieś wylądować, dobrze?

Obserwował ją. Nie histeryzowała, nie odcięła się zupełnie od rzeczywistości. Oczy jednak miała pełne łez. Odwracając głowę, w końcu wyszeptała:

– Powiedział pan, że tam z tyłu są jeszcze pasażerowie, prawda?

– Tak – Rourke mówił powoli. – I w tej chwili mają tylko nas.

– Jak będzie na ziemi? Jeśli się uda.

– Cóż, mogę tylko zgadywać. Nie sądzę, aby ludzkość nagle zginęła z kretesem. Może cywilizacja, ale ludzie znajdą jakiś sposób na dalsze życie. Tak było zawsze. A teraz – powiedział, przyglądając się tablicy rozdzielczej – zobaczymy, czy ten staruszek ma ochotę z nami lecieć. Niech pani weźmie książkę instruktażową.

Rourke położył ręce na sterze, wyłączył autopilota i zmniejszył dopływ paliwa, żeby wyczuć maszynę. Samolot zadrżał.

– Panie Rourke! – krzyknęła Mandy Richards.

– To nie ja. To eksplozja na ziemi. – Rourke kontrolował maszynę i nabierał prędkości. – Niech pani ogłosi przez mikrofon, żeby wszyscy zajęli miejsca i zapięli pasy. Podejźmy do góry, zanim ten wybuch nas ugotuje!

Pani Richards wzięła mikrofon do ręki, po czym zapytała:

– Czy to kolejna rakietka?

– Nie, przelatywaliśmy właśnie nad rafinerią, która jak sądzę, wybuchła. – Kiedy kończył zdanie, samolot zatrząsł się ponownie. Rourke zacisnął pięści na drążkach i powiedział głośno. – Niech pani zrobi to, o co prosiłem.

ROZDZIAŁ XXIV

Sarah Rourke przyłgnęła do drzwi stodoły, w prawej ręce trzymając strzelbę, lewą obejmując dzieci.

– Kto to, mamó? – szepnął Michael.

– Cicho – rzuciła, obserwując podwórko pomiędzy domem i stodołą.

Nieoczekiwanymi przybyszami byli czterej mężczyźni i kobieta. Wszyscy jeszcze przed trzydziestką. Stali wokół jednego z nowszych modeli minibusa, z rozbitym przednim zderzakiem. Mieli broń. Rozpoznała karabin, wojskowy M-16. Był podobny do tego, którego używał jej mąż.

– Hej, tam w środku, cześć! – krzyknęła kobieta.

Annie powiedziała do matki. – Mamó, ona krzyczała cześć – i zaczęła się śmiać. Zanim Sarah zdołała zakryć ręką usta dziewczynki, piątka na podwórzu już ją usłyszała.

Kiedy Sarah zwróciła wzrok z powrotem na podwórko, ubyłó dwóch mężczyzn. Pozostali dwaj patrzyli w jej kierunku.

– Hej, jest tam kto?

Jeśli krzyknie, bez względu na to, co im powie, zrozumieją, że nie ma z nią żadnego mężczyzny. A co jeśli nie odezwie się wcale?

– Kto jest w stodole? – głos pytającego był coraz bardziej ostry i wściekły.

– Ja.

Jeden z nich zapytał. – Kim jesteś?

– Jestem kobietą, mam broń. Zbliź się, to zobaczysz kim jestem. – Sarah była zdziwiona własnymi słowami.

Nagle usłyszała głos za plecami. – Rzuć broń, albo zastrzelę dzieciaki.

Odwróciła się na kolanach, wypuszczając z ramion syna i córkę. Lewą rękę oparła na strzelbie. Michael wstał na nogi.

– Michael, zostań na miejscu! – krzyknęła. Mężczyzna, który z nią teraz rozmawiał, stał na poddaszu stodoły, trzymając w ręku wojskowy karabin. Za nim czaił się następny.

– Rzuć strzelbę. Nie zrobimy ci krzywdy. Chyba, że zaczniesz strzelać.

– Zostawcie mamę w spokoju! – krzyknął Michael, głosem jeszcze młodszym i bardziej niepozornym niż myślała Sarah.

Usłyszała za sobą kroki. Potem kobiecy głos. – Otoczyliśmy cię. Rzuć broń i zjeżdżaj stąd.

Z poczuciem gorzkiej klęski, Sarah wypuściła z rąk strzelbę.

– W porządku – powiedział mężczyzna z poddasza. – Odsuń się od dzieciaków.

– Nie.

– Szybko, bo oberwą. Sarah spojrzała na niego.

– Proszę, nie. – Nagle poczuła złość. Wiedziała, że John nie chciałby, żeby błagała tych ludzi o litość. Wiedziała, że tego nie robi. Zaczęła przesuwać się do drugiego końca stodoły, kąciakiem oczu obserwując Michaela, który zrobił krok w kierunku bagaży. Nikt go nie widział.

– W porządku, na ziemię – rozkazał mężczyzna z poddasza.

– Co zamierzasz zrobić, Eddie? – zapytała kobieta.

– Ugryźć sobie kawałek. Potem zobaczę.

– Nie przy dzieciach, Eddie!

– Dlaczego? Może im się spodoba. – Sarah patrzyła mu w oczy. – Dobra, na kolana. – Uklękła, ze wzrokiem wciąż utkwionym w napastnika, który schodził teraz po drabinie. Michaela straciła z oczu, ale w rogu stodoły, jakieś trzy metry od niej, dostrzegła widły.

– W porządku, Eddie, ja, Pete i Al idziemy sprawdzić dom.

Sarah widziała odchodzących mężczyzn i kobietę. Potem ponownie spojrzała przed siebie. Człowiek z karabinem zszedł już z drabiny i zbliżał się do niej.

– Dawno nikt mi nie obciągał fiuta. Może zaczniemy od tego. Zostań na kolanach, bo oberwą dzieciaki. – Mężczyzna podszedł do niej, ale jej wzrok wędrował gdzie indziej, ku widłom. Kiedy podniosła głowę, aby spojrzeć na jego twarz, krzyknął:

– Cholera... – i upadł na nią. Sarah zaczęła odpychać od siebie ciało, niemal całkowicie ją przykrywające.

W prawym boku mężczyzny zobaczyła wbity po rękojeść nóż. Ten, który zabrała z kuchni. Chwilę później, miejsce napastnika zajął Michael.

– Weź pistolet taty, mamó! – krzyknął. Sarah wyciągnęła dłoń. Trup wciąż unieruchamiał jej nogi. Spojrzała na poddasze. Drugi mężczyzna był już na drabinie. Chwyciła pistolet, odciągnęła iglicę. Ścisnęła mocno pistolet w dłoni, wycelowała i pociągnęła za spust. Broń podskoczyła jej w rękę. Dźwięk wystrzału dzwonił w uszach. Mężczyzna spadł z drabiny wypuszczając karabin.

Sarah w końcu wyciągnęła nogi spod przygniatającego ją ciała. Popatrzyła na Michaela. Nie starając się nawet analizować sytuacji, wiedziała, że lada chwila nadejdzie pozostała trójka niechcianych gości.

– Michael? – ponownie zobaczyła nóż w ciele jej niedoszłego gwałciciela.

– Tata mówił, że to ja jestem odpowiedzialny za rodzinę, kiedy nie ma go w domu.

Sarah przygarnęła sześciolatka do siebie, mocno go tuląc.

– Mamó! – to była Ann. Wciąż na kolanach, Sarah skierowała lufę pistoletu, w stronę kobiety, która mierzyła ze swojej broni do dziewczynki.

Sarah nacisnęła spust.

Tamta z zamierającym na ustach krzykiem opadła na plecy, wypuszczając na ziemię rewolwer. Ręce złożyła na klatce piersiowej.

– Annie! – krzyczała matka. – Michael! Zabierz siostrę. Zaraz będą tu dwaj następni.

Sarah przesunęła się w kierunku otwartych drzwi stodoły. Jeden z mężczyzn był już na podwórku. Kiedy wystrzeliła z pistoletu, najpierw raz, potem drugi, zawrócił i pobiegł do domu.

– To ta dziwka z dziećmi! – wrzasnął.

Sarah strzeliła ponownie, wznecając koło jego nóg kurz, ale nie trafiając. Postanowiła czekać przy drzwiach.

– Poddaj się. Nie skrzywdzimy cię. Poddaj się, inaczej spalimy stodołę razem z tobą i dziećmi –

wolał któryś z przybyszów z wnętrza domu.

– Mamo?

– Spokojnie, Michael – odpowiedziała zaskoczona tym, że jej głos brzmiał tak stanowczo i spokojnie.

Oglądała pistolet w dłoni i przypomniała sobie, co John mówił o bezpieczniku. Zamknęła go teraz. Nie trzymała broni wystarczająco mocno. Rozejrzała się po podłodze stodoły, potem podeszła do pierwszego zabitego, dźgniętego nożem przez Michaela. Ciągle trudno było jej przyswoić sobie tę myśl. Jak jeden wieczór może zmienić życie, zauważyła. Czuła dumę z syna.

Sięgnęła po karabin trupa. Pas wciąż był przewieszony przez jego ramię, musiała więc je unieść, żeby uwolnić broń. Przeczytała napis „AR 15”. Identyczny jak ten z kolekcji męża. Lepszy niż strzelba. Przesunęła coś, co wzięła za bezpiecznik, ale w efekcie wypadł magazynek. Włożyła go z powrotem i szukała dalej. Znalazszy, wycelowała lufą karabinu w podłogę i nacisnęła spust. Drewniane klepki parkietu rozleciały się w drzazgi w ogłuszającym łoskocie serii. Sarah zdjęła palec ze spustu.

– Automat – mruknęła.

Przypomniała sobie artykuł, w którym czytała kiedyś o ludziach nielegalnie zamieniających sportowe strzelby na karabiny maszynowe. Przypuszczała, że i ten dostał się w ręce bandyty w podobny sposób. Karabin jej męża miał stanowczo inne łożysko i oddawał pojedyncze strzały. Przesunęła zatrzask bezpieczeństwa i pociągnęła za spust. Broń wystrzeliła, wyrzucając tylko jeden nabój. Przesunęła dźwigienkę o jeden ząbek dalej; okazało się, że zablokowała spust. W skrajnej pozycji przełącznika, karabin ponownie oddawał serie strzałów. Sarah odetchnęła głęboko i zaczęła przeszukiwać ubranie martwego mężczyzny. Znalazła cztery zapasowe magazynki. Chciała opróżnić jeden z nich, żeby sprawdzić liczbę kul, ale powiedziała sobie:

– Najpierw rzeczy najważniejsze.

Wiedziała już, co robi z dwoma napastnikami ukrywającymi się w domu. Poza nimi byli też i inni grasujący w nocy, poszukiwani przez prawo bandyci i złodzieje. Przepędziła już jednych strzelbą bez jednego wystrzału. Zdała sobie jednak sprawę z tego, że ci, którzy nieomal zabili ją i jej dzieci nie będą ostatni. Musi opuścić farmę. Tylko jak. Zarówno samochód osobowy jak i większy pickup w końcu wypalą całą benzynę. Spojrzała na dwa konie, spokojnie czekające w swoich boksach, i przypomniała sobie ostatnią wspólną przejażdżkę z Johnem. Postanowiła załadować cały bagaż i dzieci na jednego konia, a drugiego osiodłać dla siebie.

Podeszła do drzwi stodoły. Musiała pozbyć się nieproszonych gości, zanim zrobi cokolwiek innego.

Kilka razy poczuła niesiony przez wiatr od strony domu zapach gazu. W piwnicy było tylko jedno, cudem ocalałe okienko; pomieszczenie wypełniały zapewne zgęszczone opary gazu.

Pierwsza kula wznieciła kurz przed domem. Uniosła lufę, wycelowała ponownie i dotknęła spustu. Kiedy uczyła się strzelać, John zawsze powtarzał „ściągaj spust mocno, nie muskaj go”.

Strzał. Od frontowej ściany domu odskoczyła drewniana klepka. Następnie wymierzyła w przymocowaną do balustrady na werandzie skrzynkę na kwiaty. Drugi wystrzał tylko ją poruszył. Dopiero następny strącił konstrukcję na ziemię.

– Do cholery, strzel jeszcze raz, to spalimy tę pieprzoną stodołę z tobą i bachorami.

Uśmiech podniósł kąciki jej ust. Gdyby nie grozili już po raz drugi, nie pomyślałaby nawet o tym, co w tej chwili zamierzała zrobić. Napastnicy nie spalą stodoły, to ona spali dom, wysadzi go

w powietrze razem z nimi.

Na muszce karabinu zobaczyła piwniczne okienko. Strzeliła ponownie i upadła na plecy. Usłyszała potężny grzmot, a następnie ujrzała płomienie, wydobywające się najpierw z okienka, potem z parteru budynku. W chwilę później słup ognia trawił już cały dom. Ku górze leciały iskry. Ze środka słyhać było krzyki. Jeden z mężczyzn wrzeszczał:

– Gaz... płonę!

Osobnik, na którego zabita kobieta wołała Pete, wybiegł przed dom. Paliło się na nim ubranie. Sarah wystrzeliła z karabinu, powalając go na ziemię. – Jestem zabójcą – wyszeptała.

ROZDZIAŁ XXV

– Panie prezydencie – wołał Thurston Potter – panie prezydencie?

Prezydent Stanów Zjednoczonych przewrócił się na drugi bok i otworzył oczy. – Thurston?

– Tak. Zasnął pan na kanapie.

– Ach tak. Rzeczywiście spałem. To nie jest sen, prawda?

– Niestety nie. Chciałbym...

– Jak wygląda obecna sytuacja?

– Właśnie otrzymaliśmy wiadomości, panie prezydencie. Rosjanie nadali je na niskiej częstotliwości pasma FM, wolnej od zakłóceń. Musimy oficjalnie się poddać. Inaczej zniszczą pozostałe miasta. Nie wiem, co...

– Co, Thurston? – prezydent zsunął nogi z kanapy.

– Po prostu nie wiem.

– Jeżeli podpiszę kapitulację, większość aktywnych jeszcze jednostek przerwie walkę. Kiedy wylądują tu Rosjanie, nie będzie żadnego oporu.

– Zgadza się, panie prezydencie.

– Jeżeli na to pozwolę, włożą w moje usta wszystko, co zechcą, czyż nie?

– Przypuszczam, że tak.

– Wiceprezydent, przewodniczący Izby Reprezentantów, cały mój gabinet, wszyscy martwi... martwi?

– Tak. Tak, panie prezydencie.

– Jeżeli umrę ja, nie będzie rządu Stanów Zjednoczonych, który mógłby podpisać kapitulację. Nikt nie ma takiego prawa. Zgadza się?

– No cóż, paru członków Kongresu było poza Waszyngtonem. Mogli ocaleć.

– Ale Rosjanie szukaliby ich przez całe wieki, jeśli oczywiście przeżyli. Tak?

– Tak, panie prezydencie.

– Czy możemy w jakiś sposób nadawać informacje?

Potter pomyślał przez chwilę.

– Moglibyśmy wysłać naszych ludzi z wywiadu, oni mogą je rozpowiedzieć. Trochę to potrwa, ale jeśli nowiny będą dostatecznie ważne, w końcu dotrą do ludzi.

– Tak też myślałem. Przyślij do mnie Paula Doriana. Potem chcę się zobaczyć z żoną i dziećmi.

A następnie sprowadź tu szefa służby bezpieczeństwa. Pospiesz się.

Pochylony nad stołem, prezydent sięgnął po papierosa. Kiedy go przypalał, na jego twarzy widoczny był uśmiech.

– W porządku, pani Richards. Zdecydowałem sprowadzić tę maszynę na ziemię gdzieś na południe od Albuquerque. Jest tam dużo płaskich terenów, a lądowanie na pustyni, to zdaje się nasza największa szansa. Lotnisko w Albuquerque na pewno nie istnieje.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparła kobieta.

– Ma pani rację – powiedział Rourke. – Przelecimy nad nim.

Odwróciwszy na moment wzrok od tablicy rozdzielczej, kontynuował:

– Pani Richards, niech pani przejmie na chwilę stery. Ale proszę niczego nie ruszać. – Rourke rozłożył mapy i sprawdzał według nich przybliżoną pozycję samolotu. – Albuquerque jest dziesięć minut przed nami, nie dalej – wyrzwał przez szybę i zobaczył wschodzące słońce. Ziemia w jego świetle była popielata. Góry po jego prawej ręce wciąż częściowo okrywał mrok.

Bywał w Albuquerque wiele razy. Jeździł przede wszystkim górskimi drogami. Widok zawsze zapierał dech w piersi. Myślał, że to nie zmieniło się, ale po pokonaniu w powietrzu około mili, lecąc na niskim pułapie, dostrzegł zmiany.

Nie wiedział, czy miasto zostało zaatakowane bezpośrednio, ale cały jego obszar stał w ogniu. Może od wybuchu gazu ziemnego. Stało zaledwie parę budynków, a ziemia była czarna od spalenizny. Widział też wozy strażackie. Nie było natomiast żadnego śladu bezpośredniego bombardowania, żadnego krateru.

Odszukał kilka ocalałych oznaczeń lotniska. Leciał wzdłuż nich.

– Tu Canamerican 747, lot 601 – Rourke mówił do mikrofonu. – Wzywam wieżę w Albuquerque. Czy mnie słyszycie?

Ustawił radiostację na odpowiednią częstotliwość, żeby złapać wieżę kontrolną. Jedyłą odpowiedzią był szum. Rourke zacisnął ręce na drążkach i powiedział:

– Pani Richards, przelecimy nad lotniskiem i zobaczymy jak wygląda. Paliwa wystarczy na lądowanie tutaj, albo na pustyni. Dobrze się więc rozejrzyjmy.

Rourke zmniejszył obroty olbrzymich silników odrzutowca. Hałas dźwięczał mu w uszach, kiedy lustrował płytę lotniska, mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem. Obniżył maszynę.

Na całej swej długości, pas startowy był jedną kupą gruzu. Wyglądał, jakby zniszczono na nim dziesiątki samolotów.

– Co się stało? – zapytała pani Richards. Rakietą?

– Nie, nie sędzę. Prawdopodobnie wypadek. Pewnie ktoś taki jak my próbował wylądować i źle ocenił warunki na pasie. Tak. Widzi pani? – pokazał ręką na prawą stronę. – Coś musiało uderzyć w cysternę z paliwem i nie zdołano zapobiec pożarowi. Ogień w całym mieście. Może zatem miasto nie jest skażone.

Pod nimi, pozostałości spalonej i zniszczonej doszczętnie cysterny leżały pośród wraka dużego pasażerskiego liniowca.

– Tutaj nie wylądujemy – podsumował widok Rourke. Pociągnął stery do siebie i podniósł dziób samolotu, skręcając lekko na południe od nie istniejącego już prawie miasta. Jego ruiny pozostały z tyłu. Ziemia obfitowała teraz w gęste zarośla krzaków i pustynny piasek. Rourke ponownie zniżył maszynę, kontrolując wskazania wysokości. – Nie wiem, jak nisko i wolno mogę lecieć, nie tracąc jednocześnie prędkości potrzebnej do utrzymania się w powietrzu. Jeśli silniki stracą zbyt dużo mocy, samolot spadnie w dół jak gład. Niech pani powie przez mikrofon, żeby pasażerowie zapięli pasy, a stewardesa pokazała im, w jaki sposób ułożyć ciała.

Rourke obserwował ziemię. Po cichu modlił się o pomysł na następne posunięcie. Jeżeli chodzi

o lądowanie, pomiędzy Boeningiem 747 i wojskowym myśliwcem, którym latał w przeszłości, nie było już podobieństwa. Czekala go rosyjska ruletka z pełnym magazynkiem.

Zasłaniając oczy przed słońcem, bacznie lustrował wysokościomierz, wskaźnik paliwa i inne instrumenty. Pani Richards przygotowywała właśnie wszystkich do ewentualnej katastrofy.

Zanim skończyła, Rourke wykonywał już manewr. Podniósł nieco samolot, a potem przechylił go na bok.

– Wybrałem miejsce na lądowanie, pani Richards – poinformował kobietę. – Piękny, płaski pas, długi na osiem kilometrów, niezalesiony. Mogę spróbować tylko raz. Chcę pozbyć się paliwa, żeby zminimalizować ryzyko pożaru. Aha, jeszcze jedno, niech pani poprosi stewardesę, aby nakazała pasażerom jak najszybsze opuszczenie samolotu po wylądowaniu. Najlepiej będzie, jeśli pani usiądzie przy wyjściu bezpieczeństwa w kabinie pasażerskiej, pani Richards. Spisała się pani dzielnie.

– Nie będzie panu potrzebna moja pomoc?

– Cóż – zaczął Rourke. – Nie wierzę, żeby dwie osoby zrobiły to lepiej niż jedna. Pani jest opanowana, a tego potrzebować będą ci, którzy przeżyją. Pasażerowie mają szansę, najbardziej zagrożona jest kabina pilota.

– To znaczy, że pan zginie, a ja mam większe szansę na uratowanie własnej skóry, jeśli stąd wyjdę?

– Coś w tym rodzaju. Rozmawialiśmy o tym w nocy. Wybrała pani życie. Wszystko inne jest irracjonalne. A pani nie sprawia wrażenia osoby irracjonalnej. Założę się, że pani mąż nie był facetem, który chciałby, aby jego żona rezygnowała z życia.

Rourke wprowadził samolot w ostatnie podejście do lądowania. Spojrzał na Mandy Richards. Kobieta zapytała:

– Czy jest pan również psychiatrą, panie Rourke?

– Zgaduję – odpowiedział, szeroko się uśmiechając.

– Po raz pierwszy widzę pana uśmiechniętego. – Wstała i ruszyła ku kabinie pasażerskiej; potem popatrzyła na niego i powiedziała:

– Mam nadzieję, że się panu uda, tak jak uda się pańskiej żonie i dzieciom. – Pochyliła głowę i pocałowała go w policzek. Rourke odpowiedział cicho:

– Dziękuję, pani Richards.

Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi, zapiął pasy bezpieczeństwa. Z kurtki wyciągnął okulary przeciwsłoneczne, żeby chroniły go przed blaskiem odbijanym przez piasek. Powoli zmniejszył moc silników, obniżając wysokość samolotu. Boeing 747 był tuż nad ziemią, która umykała pod jego dziobem. Sprawiało to wrażenie, jakby prędkość odrzutowca była sto razy większa, niż wskazywał szybkościomierz. Wypuścił koła i zaświeciła zielona kontrolka, wskazująca na prawidłowe działanie mechanizmu. Wciąż wytracał prędkość, silniki niemal nie pracowały, ale samolot pędził, ślizgając się sto pięćdziesiąt metrów nad zarośniętą powierzchnią pustyni.

Dziób Boeninga zaczął opadać i Rourke musiał podciągnąć stery.

Silniki ponownie prawie zamarły, a wskazówka wysokościomierza znacznie opadła. Włączył pokładowy interkom i powiedział do mikrofonu:

– Tu mówi Rourke, przygotować się na uderzenie.

Spróbował wznieść maszynę lekko do góry, po czym odciągnął drążki i silniki nieomal zamilkły. Koła dotknęły ziemi i podskoczyły do góry, by ponownie opaść na podłoże. Używając sprężarek

silników, wytracał prędkość pędzącego po pustynnym krajobrazie samolotu. Rourke krzyknął do mikrofonu:

– Wylądowaliśmy, ale wciąż nie możemy się zatrzymać. Pozostać w bezpiecznej pozycji!

Boeing nie zwalniał tak szybko, jak tego chciał. Grunt urywał się za jakiś kilometr i nie wiedział, co jest dalej. Podniósł do góry lotki na prawym skrzydle, odrzutowiec skręcał. Jego mózg dokonał wyboru. Wyłączył silniki i zdecydował się spalić hamulce. Podniósł lotki na obu skrzydłach. Samolot hamował, ale przed nim rósł szereg wysokich sosen. – Zderzymy się! – rzucił do mikrofonu. Twarz miał nieruchomą i napiętą, usta ściśnięte i uniesione ramiona. Hamulce działały przez moment, a potem nagle wypuściły samolot do przodu.

Rourke dostrzegł, co kryje się za sosnami. Z ziemi wyrastała kamienna ściana. Dziób Boeinga ścinał drzewa. Rourke zasłonił twarz rękami i zgiął się w pół. Nie widział nic, słyszał tylko hałas trzaskających pod ciężarem odrzutowca sosen, przypominający zgiełk tysiąca pił motorowych.

Samolot gwałtownie stanął. Rourke podniósł głowę. Szyby kabiny były rozbite. Naokoło niego pełno drzew. Gałęzie sosen pokrywały praktycznie cały kadłub. Siedział przez chwilę, ciężko oddychając, po czym powiedział do mikrofonu:

– Tu mówi Rourke. Wylądowaliśmy. Wynosimy się z samolotu, ale bez paniki. Wszystko jest w porządku. – Zdjął z głowy słuchawki, rozpiął pasy i wy dostał się z fotela.

Otworzył drzwi i stanął w miejscu. Lewa burta przedniej części kadłuba była rozpruta. Olbrzymie drzewo wbiło się w blachy jak otwieracz do konserw. Pasażerowie krzyczeli, wiedział, że niektórzy są uwięzieni we wraku. Kiedy szedł by im pomóc, coś przyciągnęło jego wzrok.

Przyglądał się przez chwilę, potem odwrócił wzrok i oparł o ściankę. Była to oderwana głowa pani Richards.

ROZDZIAŁ XXVI

– Wkrótce znowu będziemy razem – to wszystko, co prezydent mógł powiedzieć żonie i dzieciom, zegnając ich w swoim gabinecie w schronie na Szczycie Lincolna. Próbował przekazać coś więcej żonie, tak żeby nie usłyszała tego jego córka i dwaj synowie, ale nie znalazł słów. Twarz Bobby’ego i żony były ostatnie jakie widział. Jego najmłodsze dziecko wciąż bawiło się modelem statku kosmicznego. Prezydent podszedł do Paula Doriana, stojącego obok w korytarzu.

– Wylądowali?

– W niewielkiej liczbie. Posuwają się bardzo powoli. Takie miasta jak Chicago wciąż są zbyt skażone.

– Paul, a co z Projektem Eden? Działa?

– Tak – odpowiedział Dorian, spuszcżając wzrok. – Bez zakłóceń.

– Może jest więc jeszcze jakaś szansa. Przyślij do mnie szefa bezpieczeństwa.

– Panie prezydencie, nie może pan tego zrobić.

– Muszę... jeżeli Stany Zjednoczone mają istnieć nadal. Nie jako państwo, ale jako kontynent, o tym wiem. Stany Zjednoczone jako idea. Jeżeli tego nie zrobię, i ona umrze. Nie mam wyboru, nie sądzisz?

Prezydent uściskał dłoń Paula Doriana, potem wrócił do gabinetu i spoczął na kanapie. Za moment, w progu stał szef służby bezpieczeństwa, Mike Clemmer.

– Mike, proszę cię o przysługę.

– Wszystko, co pan rozkaże – odparł Clemmer, wchodząc do pomieszczenia.

– Weź to – wręczył Clemmerowi kopertę z prezydencką pieczęcią w lewym górnym rogu. – I daj mi pistolet.

Clemmer włożył rękę pod ortalion, nie wyciągnął jej jednak z powrotem.

– To rozkaz, Mike. W kopercie są dwa listy. Jeden do żony, drugi do narodu amerykańskiego. Thurston Potter wie co z nimi zrobić. A teraz podaj mi pistolet, to mój ostatni rozkaz.

Szef służby bezpieczeństwa wytarł dłonie o nogawki spodni i sięgnął do prawego biodra. Prezydent zobaczył lśniący rewolwer z krótką lufą.

– Nie znam się na broni, Mike. Nigdy nie miałem czasu, choć zawsze chciałem spróbować. Czy twój ma bezpiecznik?

– Nie, panie prezydencie, rewolwery ich nie mają. Nie mogę panu na to pozwolić.

– Musisz, Mike. Jeżeli Rosjanie złapią mnie żywego, wykorzystają mnie. Jeśli umrę, nie będzie władzy mającej prawo podpisać kapitulację, a wolni Amerykanie podejmą walkę, aż powstanie następny rząd, który w końcu wypędzi Sowietów. Jeżeli mnie dostaną, to koniec z nami wszystkimi.

– Panie prezydencie... oni nigdy nie zdołają zdobyć Szczytu Lincoln.

– Wiesz, że to nieprawda – powiedział prezydent. – Okrążą nas, odetną od wszystkiego i w końcu dostaną to, czego chcą. Ale kiedy naród usłyszy, o mojej śmierci, Sowieci nie zdołają go przekonać do poddania się. To jedyny sposób. A teraz daj mi ten rewolwer.

Prezydent odwrócił wzrok od Mike'a Clemmera i wyciągnął prawą dłoń, w lewej trzymając papierosa.

Poczuł w ręce ciężki, stalowy przedmiot, potem usłyszał cichnące kroki. Kiedy rozejrzał się po gabinecie, Clemmera już nie było. Prezydent zatrzymał oczy na pustym korytarzu.

Ciężko wdychał dym papierosa, czując go w płucach. Spojrzał na zdjęcie żony i dzieci, które stało przed nim na stoliku. Potem, wpatrując się prosto w lufę rewolweru, palcem prawej ręki dotknął spustu...

ROZDZIAŁ XXVII

Sarah Rourke odwróciła się na pięcie i wyciągnęła zza pasa jeansów pistolet. Moment później, uśmiech wrócił jej na twarz, a wzrok stracił swój groźny błysk.

– Ron Jenkins – powiedziała. Mężczyzna ów był jej znajomym; sierżantem w stanie spoczynku i właścicielem sąsiedniej farmy. Jechał na wysokim wałachu o imieniu Appoloosa. Sarah dobrze знаła tego konia. Za nim, na jego gniadej siostrze siedziała żona Rona i ich dziesięcioletnia córka, Millie.

– Żona i ja szykowaliśmy się właśnie do drogi, kiedy rano usłyszeliśmy wybuch. Powiedziałem do Carli – Sarah Rourke musi mieć kłopoty, pewnie Johna nie ma w domu.

Sarah schowała broń za pas i wykonując gest w stronę dymiących ruin domu, powiedziała:

– Nazywają takich bandytami. Chcieli nas obrabować... cóż, sami widzicie. – Odwróciła wzrok ku torbie, którą chciała przewiesić na karku swojej klaczy. Koń miał kolor orzecha, czarną grzywę i czarne pęciny. Należał do Johna. Był już osiodłany i obłożony bagażem. Zapięła ostatni pasek torby i zwróciła się do Jenkinsów. – Dziękuję za troskę – powiedziała spokojnie.

– Może chcesz pojechać z nami? Zabieram żonę i córkę w góry. Niedaleko stąd, ale tam na pewno jest bezpieczniej – zaproponował Ron Jenkins.

– Pojedź z nami, Sarah – dołączyła się Carla Jenkins na siodle.

Sarah wytarła dłonie o nogawki spodni i spojrzała na Michaela i Annie, którzy stali przy stodole. Carla Jenkins paplała za dużo, Ron Jenkins nie mówił prawie wcale, a ich córka, Millie, była nieznośnym bachorem, pomyślała. Znów popatrzyła na swoje dzieci.

– Zdaje się, że w większej grupie będziemy bezpieczniejsi – rzekła. – Dzięki za pomoc, nie mieliście przecież po drodze. Chętnie z wami pojedziemy. Na pewno możemy sobie nawzajem pomóc. Mam tylko jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

– Pomogę twoim dzieciom wskoczyć na konia – zaproponował Ron Jenkins. – Na wałachu męża, na orzechu?

– Tak, bardzo proszę – odpowiedziała Sarah z uśmiechem na ustach. Podeszła do drzwi stodoły i pospieszyła syna i córkę do koni. Sama sięgnęła do płóciennej torby i wyciągnęła pióro i notes. Wydarła jedną kartkę i prawie wybuchnęła śmiechem, kiedy zobaczyła napisane u góry przez siebie słowo „pustka”. Wszyscy to czuli. Ukłękła na ziemi i używając notesu jako podkładu, pisała:

– Mój najdroższy Johnie. Miałeś rację. Nie wiem, czy jeszcze żyjesz. Powtarzam jednak sobie i dzieciom, że zdołałeś przeżyć. Czujemy się dobrze. Kurczaki wymarły przez jedną noc, ale nie sądzę, aby promieniowanie było tego powodem. Wszyscy są zdrowi. Wpadli do nas Jenkinsowie i razem jedziemy w góry. Możesz nas odnaleźć ze swojej kryjówki. Powtarzam sobie, że nas w końcu

znajdziesz. To może potrwać, ale nie rezygnuj. Nie poddawaj się. Dzieci cię kochają. Annie sprawuje się dobrze. Michael to dzielniejszy mężczyzna niż sądzisz. Napadli na nas rabusie i on uratował mi życie. Nic nam nie jest. Spiesz się. Zawsze, Sarah.

Schowwała list do plastikowej torebki po ostatnim lunchu Michaela w szkole. W drzwiach stodoły, od wewnętrznej strony, tkwił gwóźdź. Nadziała na niego torebkę. Przyjrzała się jej dokładnie, wyjęła z niej kartkę i dopisała na dole dużymi literami – Kocham Cię, John. – Schowała notatkę do torebki i zawiesiła z powrotem na gwoździu.

Chwyciła płócienną torbę, podbiegła do konia i wspięła się na siodło.

– Jesteś gotowa, Sarah? – zapytał Jenkins. Sarah Rourke spojrzała na rodzinę Jenkinsów, potem na swoje dzieci i lekko przycisnęła pięty do boków klaczy. W lewej dłoni trzymała lejce konia, niosącego na grzbiecie Michaela i Ann. Kiedy wszyscy ruszyli z podwórza, obejrzała się za siebie. Zgliszczą domu wciąż dymiły. Całą swoją uwagę skupiła na drzwiach stodoły i liście do męża na nich wiszącym. Po cichu modliła się, żeby John dotarł tu żywy i przeczytał go.

– Ruszaj, Tildie – szepnęła do klaczy.

ROZDZIAŁ XXVIII

John Rourke oparł się o głaz i wlepił wzrok we wrak samolotu, oddalony od niego o jakieś dwieście metrów. Zamknął oczy, chciał zakryć rękoma uszy, żeby nie słyszeć jęków rannych pasażerów, których opatrywał przez cały dzień.

– Panie Rourke, kawy?

Otworzył oczy. Stewardesa, ta sama, która pomogła mu na początku, stała przy nim z kubkiem kawy.

– Tak, dzięki – odparł.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że zdołał pan wszystkich wydobyć, a potem wrócić jeszcze do przedziału bagażowego. Jest pan prawdziwym bohaterem.

Rourke uśmiechnął się do dziewczyny.

– Jeśli chodzi o ten bagaż, to zrobiłem to z czystego egoizmu. Potrzebowałem swoich rzeczy.

– Tych?

Stewardesa patrzyła na jego dwa Detonicsy, tkwiące w kaburach pod pachami.

– Tak, i jeszcze innych. Muszę dotrzeć do miasta i sprowadzić pomoc medyczną, jeżeli znajdę jakąś. Więcej dla rannych nie mogę zrobić. A kiedy was zostawię samych, możecie potrzebować obrony. Tak samo i ja, po drodze do Albuquerque.

– Obrony? Przed czym? Przecież nikt... Rourke przerwał jej.

– Zadam ci pytanie. Czy czułabyś się bezpiecznie spacerując po dzielnicach Atlanty o dużej przestępczości? Wczoraj, kiedykolwiek?

– Nie.

– A w Chicago, Nowym Yorku, Los Angeles?

– Oczywiście, że nie, ale...

– Z policją, sądami i całą cywilizacją. A teraz? Bez policji, bez sądów, bez prawa, bez cywilizacji?

– Ale...

– Ludzie, którzy walili w łeb, żeby ukraść pieniądze, gdzie za rogiem mógł stać policjant, zabijają cię bez wahania, jeżeli ich życie będzie zależało od żywności, lekarstw, amunicji. Rozumiesz? Od zeszłej nocy, niemal wszędzie nie ma już prawa, nie ma ochrony. Możesz polegać tylko na sobie, albo na kimś, komu zależy na tyle, że nadstawi za ciebie własny kark.

– Czy dlatego idzie pan po pomoc?

– Ktoś musi – mruknął Rourke. – Będziesz czuwała tutaj nad wszystkim. Zostawiam ci broń. Ten Kanadyjczyk, businessman, który siedział obok mnie... jak się nazywa?

– Pan Quentin?

– Tak... mówił, że potrafi strzelać. Jemu również zostawię broń, dwie sztuki. Jeśli pojawi się ktoś podejrzany i zacznie rozrabiać, strzelaj najpierw, a dopiero potem zadawaj pytania. Rozumiesz? Zabieram ze sobą pięciu, sześciu ludzi. Gdybyśmy nie znaleźli pomocy medycznej będziemy w stanie przynieść coś sami. Do Albuquerque jest ze trzydzieści, czterdzieści kilometrów. Dotrzemy tam przed świtem. Wrócimy jutro, prawdopodobnie późno w nocy. Musicie przetrzymać.

Rourke wziął stewardesę na stronę i pokazał jej jak obsługiwać rewolwer Pyton, kaliber 7.56 mm, który potem jej pozostawił. Karabin CAR-15 dał swojemu byłemu sąsiadowi z samolotu, razem z metalizowanym Laumanem 7.56 mm, przypominając jednocześnie Kanadyjczykowi o rumianych policzkach, że całością dowodzi stewardesa. Wśród rozbitków znalazł pięciu mężczyzn, gotowych i wystarczająco silnych na marsz do Albuquerque. Jednemu z nich pozwolił nieść swój sztucer „Steyr-Monnlicher”. Wraz z nocą pustynię ogarniał chłód, Rourke założył więc sweter, potem obie kabury z Detonicsami, i na to sportową kurtkę. Kiedy cała szóstka ruszyła z obozu, Rourke zobaczył biegnącą za nimi stewardesę.

– Panie Rourke! Pomyślałam, że może się wam przydadzą. – Wręczyła mu papierową torebkę.

– Kanapki?

– Mhm.

– Słusznie, panno...? – Rourke wciąż nie znał jej nazwiska.

– Sandy Benson – powiedziała z uśmiechem.

– Masz piękny uśmiech, Sandy – rzekł Rourke, potem odwrócił się i oddalił od naprędce przygotowanego obozowiska.

Spojrzał na zegarek, a następnie na zamglony księżyc. Rolex zapięty na nadgarstku pokazywał ósmą. Zakładając na ramię pożyczony pasek od spodni, który podtrzymywał butelkę z wodą, obserwował pięciu mężczyzn i rozciągającą się przed nimi pustynną przestrzeń. Przypuszczał, że jego towarzysze będą w stanie pokonywać sześć, siedem kilometrów na godzinę. Razem z przerwami na odpoczynek dotarcie do Albuquerque nie nastąpi przed świtem.

Przez pierwszą godzinę szli w milczeniu, szybciej niż sądził. Potem nakazał postój. Cała piątka usiadła razem, nie rozmawiając. Rourke przyglądał się im bacznie i próbował zapamiętać nazwiska. O'Tolle, Rubinstein i Phillips, pozostałych nie zapamiętał.

Jeden z dwóch mężczyzn, którego nazwisko wyleciało mu z głowy, zapytał nagle – czy naprawdę chcesz wracać, Rourke?

– Wszystkim tak powiedziałem – Rourke odparł spokojnie.

– Naprawdę?

– Dlaczego nie?

– Większość pasażerów umiera, poza tą stewardesą z twoim karabinem, Kanadyjczykiem i może jeszcze paroma innymi osobami.

– To Kanadyjczyk ma karabin. Stewardesa dostała rewolwer – poprawił Rourke. – Nie sądzisz, że tym ludziom należy się pomoc?

– A co z nami?

– Co, co z nami? Mężczyzna podniósł się na nogi.

– Cóż – powiedział, podchodząc do Rourke'a – Sądzę, że nie.

Rourke wstał, czując ból w krzyżu.

– Zatem nie wracaj – rzucił – obejdziemy się bez ciebie.

– Wiem – powiedział, stanąwszy przed Rourke nie dalej niż metr. – Ale nie o to chodzi. Z twoimi pukawkami mamy większe szansę.

– Nawet wiem gdzie. – Rourke zdjął wzrok z mężczyzny i pokiwał głową. – I myślisz, że potrzebna jest ci każda możliwa pomoc. Jak na przykład moja broń. Tak?

– Tak.

– Właśnie, że nie. – Rourke zaprzeczył łagodnie, a jego lewa pięść grzmotnęła w brzuch tamtego. Jednocześnie, jego kolano wylądowało na szczęce mężczyzny. Zanim upadł, Rourke trzymał w dłoniach swój pistolet Detonics. Cofnął się o krok. Jeden z pozostałej czwórki przyłożył do ramienia jego snajperski karabin SSG. Rourke krzyknął:

– Wystrzelisz raz, ale zanim zdołasz poradzić sobie z cynglem, zabiję was wszystkich, chyba że twój strzał będzie naprawdę dobry. Twój krok. Ja swoje powiedziałem.

Chyba Rubinstein, Rourke nie był jednak tego pewien, powoli odstąpił od pozostałej trójki i podniósł ręce do góry.

– Hej, poczekaj. Ja nie jestem z nimi.

Chwilę później następny mężczyzna o rudych, opadających na czoło włosach, stanął obok Rubinsteina. Był to O'Tolle.

– Ja też nie.

Celując w Rubinsteina i O'Tolla, Rourke krzyknął do dwóch niezdecydowanych:

– Co wy na to? – Słyszał, jak poturbowany przez niego osobnik odzyskał przytomność i zaczął jęczeć.

Mężczyzna trzymający sztucer Rourke'a powoli zdejmował go z ramienia.

– Nie upuść go, połóż na ziemię. Powoli – mówił szeptem. Po czym, mając nadzieję, że kojarzy nazwisko z właściwą twarzą, krzyknął:

– Rubinstein! Podnieś karabin. Chwyć za lufę, podejdź do mnie i podaj mi go. Szybko.

Rourke obserwował, jak Rubinstein podnosi sztucer za muszkę i zbliża się do niego. Schował Detonicsa za pas i wolną ręką złapał SSG. Przesunął broń w dłoni, chwytając ją za część przed spustem. Wsunął rękę pomiędzy lufę a pasek, zrzucając snajperski karabin na ramię.

Jęki znokautowanego mężczyzny były coraz głośniejsze. Rourke odszedł od niego. Przyglądając się zdrowej czwórce, wycedził:

– Gdybym był sprytniejszy, zabiłbym was wszystkich, oszczędzając sobie kłopotów na przyszłość. Kiedy dotrzemy do Albuquerque, wszyscy, którzy chcą wracać ze mną, mogą to zrobić. Kto nie chce, odejdzie. Ale jeżeli spotkam go raz jeszcze, zastrzelę. Wy dwaj – wskazał na Rubinsteina i O'Tolla – podnieście tego faceta i pomóżcie mu w marszu. Ruszamy, chcę mieć was przed sobą. Jeden podejrzany ruch i poczęstuję takiego kulką. Albo dwoma, na szczęście. Pytania?

Żaden z nich się nie odezwał. Rubinstein i O'Tolle pomogli rannemu wstać.

– W porządku, idziemy – rzucił Rourke.

ROZDZIAŁ XXIX

Rourke stał na środku placu, widząc przed sobą cudem ocalały, najstarszy kościół na południowym zachodzie Stanów. Wokół niego, cała pozostała część starego miasta leżała wypalona i w gruzach. Spojrzał na tarczę Rolexa. Prawie czwarta nad ranem. Słońce nie mogło wstać wcześniej niż za trzy godziny. Na placu nie było świateł, świeciło się tylko w środku kościoła. Rourke podejrzewał, że to specjalne lampy Colemana, albo świece. Kiedy ogień dosięgnął rur gazu ziemnego, wybuch rozpruł całe ulice miasta.

Rourke marzył pod swetrem i kurtką. Przerzucając karabin na drugie ramię, przypatrywał się przez chwilę kościołowi. Przypomniawszy sobie, jak przywiózł tu kiedyś Sarah i Michaela. Dzieciakowi spodobała się zabawa na jednokierunkowych uliczkach starego miasta i biżuteria, którą Indianie sprzedawali wokół placu. Sarah chciała kupić dywan w jednym z tutejszych sklepów, ale z jakiegoś powodu, teraz nie potrafił go sobie przypomnieć, w końcu wyjechali z miasta bez zakupów.

Na ulicach nie spotkał nikogo, słychać było tylko wycie psów. Rourke odwrócił głowę i spojrzał na pięciu mężczyzn stojących po jego lewej stronie.

– Cóż – zaczął – chyba tutaj się rozstaniemy, przynajmniej ci, którzy chcą. Wygląda na to, że ten katolicki kościół jest teraz używany jako schron. Kto nie wraca ze mną do samolotu, może odejść. Zamierzam sprawdzić ten schron, ale najpierw muszę zająć się paroma innymi rzeczami. Potem spróbuję odnaleźć szpital. – Zapalił cygaro. – Kto idzie ze mną, wystap.

Przez chwilę nie poruszał się nikt. Po czym do Rourke'a podszedł Rubinstein – niski, łysiejący mężczyzna w okularach z drucianymi oprawkami.

– A ty, O'Tolle? – Rourke zapytał poprzez chmurę dymu.

– Nie, nie chcę wracać. – Odpowiedział O'Tolle. – Nie wiem, czy zostanę z nimi, ale do samolotu nie wrócę.

– Jak chcesz... powodzenia – dodał Rourke. Zwracając się do Rubinsteina, powiedział:

– Cóż przyjacielu. Chodźmy. – Nie czekając na odpowiedź, ruszył przez spalony ogniem plac, torując sobie drogę poprzez spore kraterki w chodniku, odchodząc od kościoła.

Usłyszał za plecami pytanie Rubinsteina.

– Dokąd idziemy, panie Rourke?

– John. Jak ci na imię? – Paul.

– Słuchaj, Paul. W Albuquerque wielu grzebało w ziemi. Poszukiwania, geologia, takie rzeczy. Mam zamiar znaleźć sklep ze sprzętem geologicznym, gdzie można dostać licznik Geigera. Chcę się dowiedzieć jaką dawkę promieniowania przyjęliśmy do tej pory. Potem wrócimy do samolotu, sprawdzimy wszystkich pasażerów.

Rubinstein szedł przez chwilę cicho, po czym zapytał:

– Powiedz mi, John. Co zrobisz potem... jak pomożemy już ludziom przy samolocie.

Rourke spojrział na niego.

– Muszę dotrzeć do żony, Sarah, i moich dzieci, są w Georgii.

– A te wszystkie rakiety, które wybuchły nad Mississippi? Cały obszar między Albuquerque i Georgią to olbrzymia pustynia, jeden wielki krater.

Rourke odpowiedział:

– Tak, wiem o tym. Tutaj. Skręć tu.

Weszli w zrujnowaną boczną uliczkę.

– Pamiętam, że kiedyś było tu wiele sklepików.

– Nigdy nie byłem w Albuquerque – zwierzył się Rubinstein.

– To było ładne miasto – powiedział Rourke cicho. – Tak czy inaczej, dotrę do Georgii. Może dołem przez Meksyk, a potem wzdłuż wybrzeża zatoki. Zastanowię się jeszcze.

– A jeśli nie żyją?

Rourke stanął wpół kroku i zapytał Rubinsteina. – Jesteś żonaty?

– Nie, mam matkę i ojca w St. Petersburg, na Florydzie.

– Wracasz do nich?

– Nie myślałem o tym. Nie wiem.

– A masz dokąd jechać? Co robić?

– Nie, chyba nie.

– Ja też nie mam – rzucił Rourke. – Żyję nadzieją, że moja żona i dzieci przeżyły. Zamierzam ich odnaleźć. Jeśli nie ma ich w domu, na farmie w rolniczej części stanu, i nie znajdę wystarczających dowodów śmierci, będę szukał dalej.

– Czyż nie umrzemy wszyscy? – zapytał Rubinstein słabym głosem.

– Cała ludzkość martwa? Nie sądzę. – Rourke zrobił parę kroków i zatrzymał się dalej, przed na wpół spalonym budynkiem.

– Spójrz na to – powiedział, wskazując na szyld.

– „Artykuły geologiczne” – Rubinstein przeczytał na głos.

– Tak, na to wygląda. – Rourke pchnął drzwi, które zabujały się na zawiasie. Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął Detonicsa spod lewego ramienia. Przeszedł przez próg, Rubinstein za nim.

– To ruina.

– Rzućmy okiem – rzekł Rourke. Podłoga dawnego sklepu zawalona była kawałkami spalonego drewna, rozbitym szkłem i kartonami, na wpół strawionymi przez płomień. Pożar musiał trwać krótko, pomyślał.

Zaplecze sklepu było stosunkowo nie naruszone, poza śladami ognia na ścianach.

– Boże – stęknął Rubinstein.

– Co się stało?

– Potknąłem się, ciemno tu jak w grobie.

– Musisz przyzwyczaić oczy – Rourke odparł ze spokojem. – Zamknij oczy i policz do dziesięciu, potem otwórz. Światło księżyca wystarczy ci, żeby widzieć.

– To wygląda na magazyn, Rubinstein – powiedział Rourke.

– Gdzie? Gdzie te drzwi?

– Uważaj na nogi. – Rourke sam ostrożnie pokonywał gruz leżący na podłodze.

– Dziwny zapach – Rubinstein zagadnął.

– To nie gaz. To jakby spalone mięso – Rourke stwierdził z przekonaniem.

– Spalone co?

– Człowiek, Rubinstein. Chodź. – Nacisnął klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Cofnął się i kopnął z całej siły. Nogą uderzył mocno w zamek i drzwi wpadły do wewnątrz.

– Jak w filmach – zauważył Rubinstein. Rourke nic nie odpowiedział. Wąski magazyn z wysokim sufitem był jeszcze ciemniejszy. Poczekał przez chwilę w progu oswajając wzrok z mrokiem.

– Musisz dobrze widzieć w ciemności – powiedział Rubinstein.

– Tak. Ale ma to swoje wady. Kiedy jestem w powietrzu w ciągu dnia, bez okularów przeciwsłonecznych, słońce przyprawia mnie o bóle głowy i szkodzi na oczy. – Rozglądał się po pomieszczeniu.

– Tam, poczekaj chwilę – rzucił; na moment nastąpiło cichutkie pstryknięcie i rozbłysło światło.

– Latarka, musieli je tu sprzedawać. Znalazłem baterie. Trzymaj. – Rourke wręczył latarkę Rubinsteinowi – Weź tę, ja zabiorę drugą dla siebie.

– Czy to nie kradzież? Mogliby nas zastrzelić za szaber.

– Aha – zgodził się Rourke. – Zrób mi podpórkę na nogę, wejdę na najwyższą półkę.

– Jaką podpórkę? – spytał Rubinstein.

– Złóż ręce tak. – Rourke pokazał mu, po czym włożył między jego dłonie prawą stopę i podciągnął się do góry.

– Jak na takiego chudzielca, dużo ważysz – zauważył Rubinstein.

Rourke wyciągnął rękę, żeby dosięgnąć półki, chwycił pudełko i ześliznął się na podłogę. – Co to?

– Licznik Geigera. Wygląda na to, że ostatni. Muszę włożyć do środka baterie. – Uklęknął, otworzył pudełko, wyciągnął ciemny nóż i podważył nim pokrywę urządzenia.

– Co to za nóż?

– IA czarny chrom – nóż który chowasz w bucie – odpowiedział automatycznie Rourke. – Podaj mi baterie z tamtej półki, te duże.

Rubinstein podał mu 6 sztuk. Rourke wziął tyle, ile potrzebował i rzekł:

– Resztę zatrzymaj. Mogą się przydać do latarek. Zobacz, czy jest tu coś, co moglibyśmy zabrać.

Nie zaszkodziłaby na przykład, para dobrych myśliwskich noży. Może kompas. Aha, jeśli chodzi o noże, to szukaj takich z grubymi ostrzami, a nie z długimi.

– Zrozumiałem – powiedział Rubinstein.

Kiedy wyszedł z magazynu, Rourke włożył baterie i przymocował pokrywę licznika. Włączył urządzenie i zaczął przesuwając podobny do mikrofonu przyrząd wzdłuż ubrania. Obserwował wskazania. Zdjął kurtkę i spojrzął na licznik ponownie. Wstał, zdjął resztę odzieży, razem z bronią, odczytując promieniowanie w Roentgenach przy wszystkim. Pistolety, kabury, nóż, nawet sweter, który był w przedziale bagażowym, nie wykazywały radiacji. Ubranie, jakie miał na sobie w kabynie pilota, przesunęło wskazówkę urządzenia dość znacznie. Napromieniowanie Rolex'a było jeszcze większe. Zdjął go z ręki, mimo że nigdy się z nim nie rozstawał, i ponownie odczytał wskazania, tym razem badając swoje ciało. Licznik nie drgnął. Podniósł pistolety i nóż. Zostawiając odzież w magazynie, wszedł do sklepu i zasłonił oczy, kiedy Rubinstein zaświecił mu latarką w twarz.

– Jesteś nagi.

– Zgadza się – odparł Rourke. – Badałem napromieniowanie. Moje ciuchy musiały zostać

skażone w kabynie pilota. Ale sweter i broń, i wszystko z przedziału bagażowego, jest w porządku. Wyrzuciłem także zegarek.

– Rolex, prawda? Z półtora tysiąca dolców.

– Radioaktywny zegarek na niewiele się zda. Poza tym w samolocie mam drugi. Teraz sprawdzę twoje ubranie. Może i ty świecisz.

Sprawdził Rubinsteina pałeczką licznika.

– Rozbieraj się. Ciuchy masz skażone.

– Nie będę nago latał po ulicy.

– Twój wybór, przyjacielu – rzucił Rourke. – Jeśli wolisz umrzeć z napromieniowania.

Rubinstein zaczął zdejmować ubranie. Rourke zmierzył wskazania urządzenia przy zegarku.

– Wyrzuć zegarek.

– Robi się – odparł Rubinstein. – Ty wywaliłeś swojego Rolexa, ja wyrzucę Timexa. Nie ma sprawy.

– Chodźmy – rzucił Rourke. – Następna ulica wyglądała na nietkniętą przez pożar, może znajdziemy jakiś sklep z odzieżą.

Rourke wyszedł ze sklepu, za plecami mając Rubinsteina.

– Boże, zimno – jęknął tamten.

– Masz. – Rourke rzucił mu sweter. – Uważaj na stopy.

Z podwójną kaburą na plecach, karabinami na ramieniu, licznikiem Geigera w lewej dłoni i latarką w prawej, Rourke szedł ulicą w kierunku następnej przecznicy. Tylko zimne powietrze przypomniało mu o jego nagości. Niepokoiło go i przyspieszało jego krok wycie, słyszalne z pewnej odległości.

– Co to za dźwięk? – zapytał Rubinstein.

– Wściekłe psy, cała sfora – wycedził chłodno Rourke.

– Sfora wygłodzonych, wściekłych psów – powtórzył Rubinstein. – A my jesteśmy żywym mięsem, co?

– Świetnie dedukujesz, Rubinstein – odparł Rourke z uśmiechem. – O wilku mowa.

Rourke zatrzymał się. Rubinstein obok niego. Wycie było coraz głośniejsze. Na końcu ulicy, mniej niż 50 metrów od nich, stało sześć psów: 5 niemieckich owczarków i doberman.

– Mój Boże – wymamrotał Rubinstein.

– Pan pomaga tym, którzy najpierw pomagają sobie sami, czyż nie? – rzucił Rourke, sięgając prawą ręką po pistolet maszynowy. Nóż miał przypięty do pasa kabury, ale lewą rękę zajmował mu licznik, latarka i torba dodatkowej amunicji, którą zabrał ze sklepu. – Weź moje rzeczy – powiedział do Rubinsteina.

– Zamierzasz tak stać?

– Tak – odparł. – Zanim do nas nie podbiegną. Potem zastrzelę je. Trzymaj karabin, w razie gdybym jednego chybił.

– O – jęknął Rubinstein. – Nigdy w życiu nie posługiwałem się bronią.

– Dziś wszystko robisz po raz pierwszy. Zdaje się, że wcześniej nie latałeś też nago po ulicach.

– No, cóż – mruknął Rubinstein.

Rourke uśmiechnął się, wyciągając z kabury drugiego Detonicsa.

Psy zaczęły do nich podchodzić.

– Jesteś dobrym strzelcem? – Rubinstein zapytał nerwowo.

– Niezłym – odpowiedział Rourke. – Lepszym niż przeciętni – dodał.

– Jesteś niezły. Lepszy niż przeciętni – powtórzył Rubinstein, wybuchając śmiechem. – Słuchaj, to mnie cieszy.

Psy zaczynały biec coraz szybciej, zbliżając się dużymi susami.

– Muszą być bardzo głodne, skoro atakują ludzi, którzy mogą się obronić – Rourke mówił powoli, podnosząc automat w prawej ręce, lewą wciąż trzymając opuszczoną przy biodrze.

– Chyba masz rację – potwierdził Rubinstein robiąc krok do tyłu.

Największy z owczarków był najbliżej, jakieś dziesięć metrów od Rourke'a, kiedy wystrzelił. Kula trafiła prosto w pierś zwierzęcia, powalając go natychmiast.

W tym czasie Rourke wycelował już następny strzał. Pociągnął za spust i skierował nabój w kolejnego owczarka. Ten zawył raz, zrobił parę kroków i upadł. Pistolet maszynowy trzymany w prawej ręce, Rourke wymierzył w dobermana. Padł strzał.

– Chybiłem – mruknął, poprawiając strzałem z lewej ręki. Doberman zarył w ziemię.

Sfora psów była już tylko o pięć metrów od nich. Rourke trzymał pistolety w połowie wysokości między linią ramion i talii, po czym oba wystrzelił, najpierw z prawej, potem z lewej ręki. Gorący metal palił mu skórę na piersi i biodrach. Ponownie nacisnął spust, tym razem jednocześnie. Ostatnie zwierzę, trafione w powietrzu, runęło na ziemię, tuż przed jego stopami, Rourke opuścił pistolety.

Zrobił krok do przodu, potem obejrzał się na Rubinsteina, który mówił:

– To był dopiero spektakl. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jak w filmach. Byłby z ciebie wspaniały kowboj na Dzikim Zachodzie, John.

Rourke przykucnął nad najbliższym leżącym psem i przyjrzał mu się badawczo. Potem wyprostował się i sięgnął do torby po zapasowe magazynki, żeby naładować broń.

– Ten pies ma wściekliznę – powiedział do Rubinsteina. – Uważaj na koty, psy, wszystkie zwierzęta. Zabierajmy się stąd. Szybko.

Bez słowa ruszyli dalej. Rubinstein przewiesił karabin przez ramię.

Na następnej przecznicy, Rourke przerwał marsz: lustrował ulicę, po chwili wskazał palcem:

– Tam. Zobaczmy czy jeszcze coś zostało, być może już dawno wszystko wynieśli.

Skierował się ku sklepowi z odzieżą. Rubinstein podążał za nim. W witrynach nie było szkła, podmuch wybuchu wepchnął szyby do wewnątrz.

Rourke spojrział na jezdnię, w której znajdował się spory krater, prawdopodobnie stamtąd uchodził gaz. Od tego miejsca, do końca ulicy wszystkie budynki były spalone.

– Jak myślisz, dlaczego część budynków nie uległa zniszczeniu? – spytał Rubinstein.

– Pożar to dziwne zjawisko, potrafi sam się podtrzymać, rozprzestrzeniać na własnych skrzydłach. Nie ma w tym żadnej logiki. Dlatego jest taki niebezpieczny. – Uważając na swoje nagie stopy, Rourke ostrożnie przeszedł przez roztrzaskane drzwi. – Kiedy ten samolot uderzył w cysterne na lotnisku, większość miasta już ewakuowano. Pewnie spodziewali się ataku sowieckich rakiet. Nie było nikogo, żeby ten pożar ugasić i płomienie dotarły aż do gazociągu, wysadzając wszystko w powietrze. Ale pożar trwał krótko.

– Tam – przerwał mu Rubinstein. – Poświeć latarką.

– Dzięki – mruknął Rourke, kierując światło na sklep. Cały towar wydawał się być nie naruszony.

– Wybieraj – powiedział do Rubinsteina przez ramię, sam zmierzając do stoiska z jeansami Levisa.

W ciągu dziesięciu minut znów mieli na sobie ubrania, jeansy, koszule, buty. Obaj też wzięli sobie po kurtce.

Rourke minął kasę, wszedł za ladę i zagarnął ręką kilka zegarków Timex.

– Trzymaj – krzyknął rzucając parę Rubinsteinowi, parę zakładając na rękę.

– Wiesz która godzina? – zapytał Rubinstein.

– Nie ma znaczenia. Zegarek służy tylko do mierzenia upływu czasu. Kiedy wstanie słońce będzie około siódmej. Weź sobie kapelusz, ten z szerokim rondem. Jutro słońce na pustyni będzie świeciło mocno.

Rourke zabrał z półki parę przeciwsłonecznych okularów i sprawdził, czy pasują. W końcu znalazł też szarego stetsona, akurat na swoją głowę.

Kiedy wyszli ze sklepu, powiedział:

– Chodźmy do kościoła. Potem poszukamy szpitala.

ROZDZIAŁ XXX

– Nigdy nie nosiłem kowbojskiego kapelusza – zwierzał się Rubinstein. – Raz tylko, kiedy byłem dzieckiem.

Rourke otwierał właśnie drzwi do kościoła.

– Nie może być – żartował. – Chodźmy. Weszli do środka. Sekundę później chcieli uciekać. Rubinstein zaczął kaszleć.

– Mój Boże.

– Czyż się nie stało? – rzucił Rourke, spoglądając na główną nawę kościoła i w kierunku ołtarza. Wewnątrz czuć było silny zapach poparzonych ciał. Ławy zamieniono na łóżka i zapełniono je, głowa przy głowie, szeregami ludzi.

Rourke szedł środkiem, pomiędzy dwoma rzędami ławek. Ciała poparzonych ofiar były wszędzie, również na posadzce. Poruszał się między nimi. Niektórzy siedzieli. Ranni mieli otwarte, ropiejące rany i czerwone twarze. Wielu z nich zabandażowano oczy. Po kościele chodziło też sześć czy siedem zakonnic. W głębi, Rourke dostrzegł księdza. Podeszedł do niego i dotknął go w ramię.

Duchowny delikatnie obmywał twarz małej dziewczynce, której włosy po lewej stronie doszczętnie strawiły płomienie. Jej twarz pokrywała masa pęcherzy.

– Ojczy? – odezwał się Rourke.

Ksiądz odwrócił głowę. Rourke przyglądał się jego twarzy. Był na niej kilkudniowy zarost. Cera miała ciemną, na pewno był Meksykaninem.

– Ojczy nazywam się Rourke. Mój przyjaciel i ja jesteśmy pasażerami z odrzutowca, który rozbił się 40 kilometrów na południe od miasta. Muszę odnaleźć szpital, pomoc medyczną... – przerwał.

Oczy księdza wyrażały coś, co przypominało uśmiech. Chociaż niezupełnie. Rourke wyszeptał:

– To jest szpital?

– Tak. Wszystkie szpitale zniszczył pożar. Robimy, co możemy, ale w ruinach jest jeszcze tysiące ofiar, takich jak ta. Nie ma żadnej pomocy dla pańskich ludzi w samolocie.

– A co z lekarstwami? – spytał Rourke.

– Tylko woda, a i ona powoli się kończy. Bandaże przygotowujemy ze wszystkiego.

– Rozumiem – odparł Rourke. Pochylił się nad dziewczynką i zapytał. – Czy ojciec jest lekarzem?

– Nie mamy lekarza. – Rourke spojrzał na Rubinsteina, który przytaknął głową, choć twarz wykrzywiła mu ponura maska.

– Teraz już tak, przynajmniej na parę godzin. Ja jestem lekarzem.

– Bóg mnie wysłuchał – powiedział ksiądz radośnie, robiąc znak krzyża.

– Tego nie wiem.

Pracował do świtu, potem do południa i późnego popołudnia. Kiedy tylko zdawało mu się, że opatrzył już wszystkich, przynoszono kolejnego potrzebującego.

Dziewczynka zmarła w południe. Nie było lekarstw, środków przeciwbólowych i Rourke zdawał sobie sprawę z ponurego faktu, iż większość poważniejszych przypadków zakończy się śmiercią. Był jednak w stanie pomóc przynajmniej jakiejś części chorych. Nocą miał do czynienia z najcięższym oparzeniem. Mężczyzna zmarł. Rourke zakrył prześcieradłem jego lepiącą się twarz bez skóry i wstał na nogi. Rubinstein pomagał księdzu przenosić trupa kobiety na dziedziniec kościoła.

Rourke poszedł za nim, zatrzymując się za drzwiami. Na zewnątrz leżały dziesiątki ciał, siedemdziesiąt pięć a może więcej według jego oceny. Zbliżył się do duchownego.

– Ojczy, muszę wracać do samolotu.

– Oczekiwałem tego przez całe popołudnie. Wiedziałem, że będziesz wracał. Niech Bóg cię prowadzi.

– Lepiej będzie, jeżeli ojciec spali te ciała. Jak najszybciej.

– Zrobię, co będę mógł.

– Niech ksiądz je spali – radził Rourke. Duchowny spojrzał na niego.

– Zostaną pogrzebane. Znam większość tych ludzi. To katolicy. Muszą być pochowani.

– Gdybym mógł, zostałbym pomóc – Rourke powiedział po cichu. – Przykro mi.

– Pomogłeś już. Niech Bóg cię za to błogosławi. Rourke uściśnął wyciągniętą dłoń księdza i odszedł.

– Idę z tobą, John – krzyknął Rubinstein. Rourke patrzył na niego, stojąc z kapeluszem w ręku.

– Po takim czasie, nie wiem, co tam znajdziemy, Paul.

– Wiem o tym – odparł Rubinstein. – Ale i tak pójdę z tobą.

Rourke skinął głową i ruszył ku głównemu wejściu do kościoła. Rubinstein szedł za nim.

Zanim Rourke i Rubinstein minęli rogatki miasta, zrobiło się ciemno. Wraz z nadciągającą nocą narastało w oddali ujadanie wściekłych psów.

Większość terenów mieszkalnych nie była strawiona przez pożar, ale pomimo to opuszczona.

– Dokąd wszyscy uciekli? – spytał Rubinstein.

– Tam – Rourke wskazał na góry po drugiej stronie miasta. – Z jakichś powodów, w czasie różnego rodzaju klęsk, ludzie uciekają w góry. Santa Fe pewnie jest teraz olbrzymim obozem uciekinierów. Rakiety chyba tam nie spadły.

– Dlaczego nie pójdziemy szukać pomocy w Santa Fe?

– Za daleko na marsz. Poza tym, jeżeli miasto ocalało, nie ma już w nim wolnych lekarzy, pielęgniarek czy lekarstw.

– Jak to się stało, że będąc lekarzem nosisz za pasem broń?

– To długa historia.

– Mam czas – powiedział Rubinstein.

– Pokróćce. Studiowałem medycynę, prawie ją ukończyłem. Obserwując jednak wydarzenia na świecie, powiedziałem sobie, że jako lekarz zawsze będę sklecał do kupy to, co zepsuli inni. Pomyślałem o CIA, tam chciałem zapobiegać rzeczom, które trzeba by później naprawiać. Uczestniczyłem w różnych operacjach w Ameryce Łacińskiej i stwierdziłem, że to niemożliwe. Zawsze pasjonowałem się bronią, dużo polowałem, całe dziewięć lat. Zmieniłem zainteresowania na techniki przetrwania. Byłem już wtedy ekspertem uzbrojenia, pisałem na ten temat artykuły. Teraz

zaczęłam pisać o technikach przetrwania. Uczestniczyłem w seminariach poświęconych medycznej stronie zagadnienia. Zjeździłem całe Stany, część Ameryki Środkowej, Bliski Wschód, Europę. Dzisiaj jestem tu.

Przez parę minut szli w ciszy. Nagle Rourke zatrzymał Rubinsteina. Po prawej stronie stał dom.

Był nie naruszony. Długi podjazd prowadził do garażu, którego drzwi zamknięto na cztery spusty.

– Popatrz – rzucił Rourke – i powiedz, czy myślisz to samo co ja.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął biec w kierunku garażu. Zatrzymał się przy drzwiach i spróbował je otworzyć. Były zamknięte.

Sięgając pod kurtkę, wyciągnął pistolet.

– Muszę strzelić w zamek, odsuń się. Wycelował, kula odbiła sporą część klamki i zamka.

– Znajdź coś do podważenia drzwi – powiedział Rourke.

Za jakiś czas Rubinstein wrócił z pustymi rękami.

– Co jest?

– Znalazłem coś lepszego niż łom. Boczne drzwi są otwarte.

– Zaglądałeś do środka?

– Aha. Najpiękniejszy Chevy, rok 1957, jaki kiedykolwiek widziałeś. Stoi na kołkach, ale są koła.

Rourke wszedł do garażu za Rubinsteinem. Na samochodzie, koloru strażackiej czerwieni z niklowymi dodatkami, leżał do połowy zarzucony brezent.

– Poszukaj benzyny – Rourke szepnął oszołomiony.

Dziesięć minut później, mieli już trzy dziesięciolitrowe kanistry pełne paliwa i zakładali koła.

Dokręcając śruby do ostatniego, Rourke wręczył Rubinsteinowi swój pistolet, mówiąc:

– Weź to i rozejrzyj się wokół budynku. Może znajdziesz więcej benzyny. Tej sztuki użyłem otwierając drzwi. Zostało pięć kul. Jeśli usłyszysz, że strzelasz, od razu przybiegnę.

Dokręcił ostatnią nakrętkę i podszedł do drzwi garażu. Naprężył łańcuchy i wciągnął je do góry, żeby zwolnić mechanizm zamykający. Drzwi otworzyły się ku górze. Rourke wrócił do samochodu. Pod przednim siedzeniem znalazł kluczyki. Włożył je do stacyjki. Wysiadł. Wziął butelkę wody, którą niósł z kościoła dla siebie i Rubinsteina. Sprawdził akumulator. Musiał wlać w niego niemal całą zawartość butelki. Potem odkręcił przykrywkę na chłodnicy. Kiedy poświecił do środka, okazało się, że jest pełna.

– Dzięki – mruknął.

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik stęknął kilka razy. Jeżeli to akumulator, pomyślał, wszystko na nic. Z bocznych drzwi nadszedł Rubinstein.

– Znalazłem jeszcze jeden kanister, obok kosiarki do trawy.

– Dobra – odparł Rourke. – Jeśli nie zakręci tym razem, pójdziesz szukać akumulatora i narzędzi.

Trzymaj kciuki – dodał.

Wyciągnął kluczyki ze stacyjki, popatrzył na nie i szepnął. – Dalej, kochanie, to będzie przejażdżka twego życia.

Włożył kluczyki i przekręcił. Silnik zakrztusił się, a kiedy Rourke przycisnął pedał gazu, zaczął pracować.

– Jahoo! – krzyknął Rubinstein. Rourke spojrzał na niego. Zmrużył oczy przed światłem latarki, którą tamten trzymał w dłoni i krzyknął. – Ten twój kowbojski kapelusz bierzesz całkiem na serio. – Potem dodał – Paul, wlej benzynę do baku i zabieramy się stąd.

Pomimo obu otwartych drzwi, opary spalin były już gęste, kiedy Rubinstein skończył opróżnianie kanistra i usiadł obok Rourke'a w dwudrzwiowej kabinie. Rourke uśmiechnął się.

– Niech zgadnę. Nigdy przedtem nie ukradłeś samochodu, ani nie jeździłeś Chevym z 1957 roku. Tak?

– Tak – odpowiedział Rubinstein. – Skąd wiesz?

– Intuicja – Rourke wybuchnął śmiechem, włączając pierwszy bieg. – Intuicja.

Wskazówka prędkościomierza była niedaleko trzydziestki, kiedy Rourke zwolnił przy końcu podjazdu. Ponownie włączył sprzęgło i wziął ostry zakręt w lewo. Przy końcu ulicy zredukował do dwójki, a następnie brawurowo skręcił w prawo, w dawniej główną ulicę miasta.

Szybko pokonał ten odcinek drogi, po czym skierował samochód w jedną z szos szybkiego ruchu.

– Przejechałeś na... – zaczął Rubinstein, ale umilkł, uśmiechając się do siebie.

– Nie wiem jak ty – rzucił Rourke – ale ja byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby zatrzymał mnie teraz jakiś gliniarz i wlepił mandat. – Spojrzał na Rubinsteina, który skinął głową.

Chwilę później Rubinstein zauważył. – Popatrz, tu jest odtwarzacz.

– Wspaniale – powiedział Rourke. – Sprawdź schowek i zobacz czy nie ma taśm.

– Jedna – poinformował go Rubinstein za jakiś czas i włożył kasetę do odtwarzacza.

Kiedy rozległa się muzyka, popatrzyli na siebie nawzajem.

– The Beach Boys? – Rourke powiedział zdziwiony.

– Musisz przyznać – Rubinstein oparł się o deskę rozdzielczą – ta muzyka pasuje do samochodu.

ROZDZIAŁ XXXI

Sandy Benson podwinęła brzeg spódnicy swego munduru i wspięła się na skalny wyłom, potem zrobiła parę kroków po płaskim kamiennym podłożu, stanęła w miejscu i wstrzymała oddech, żeby lepiej słyszeć. Nie było nic. Po chwili szepnęła:

– Panie Quentin, jest pan tam?

– Sza! – pisnął. – Tutaj.

Podniosła wzrok ku górnej części skały, po czym cofnęła się i zeszła z wyłomu po skale. Wyteżając w ciemności wzrok, ledwie widziała zarysy jego ciała.

– Panie Quentin?

– Schodzę – szepnął tamten. Słyszała już jego kroki, a wkrótce był wystarczająco blisko, żeby dojrzeć całą postać.

Kanadyjczyk podszedł do niej z karabinem Rourke’a przewieszonym przez ramię.

– Nie widać ich, panie Quentin?

– Nie, ani Rourke’a, ani ludzi na motorach.

– Mógłby się pospieszyć – powiedziała.

– Nie znam go dobrze – zaczął Quentin – ale uderzyło mnie w nim jedno. Zawsze robi wszystko, co może. Na pewno wróci. Jego towarzysze jednak, nie wzbudzili mojej sympatii.

– Ani mojej – potwierdziła stewardesa półgłosem. Potem, głośniejszym głosem dodała – myśli pan, że znaleźli w Albuquerque jakąś pomoc? Według Rourke’a był tam pożar, który zniszczył miasto.

– Nie wiem – odparł Quentin. – Chcę tylko, żeby Rourke zjawił się tu z pomocą, zanim wróci ten gang motocyklistów. Jest ich ze dwudziestu, może więcej, wszyscy uzbrojeni. Widzieli samolot.

– Na co czekają? – spytała dziewczyna, drżąc od wieczornego chłodu pustym.

– Nie wiem – powtórzył Kanadyjczyk. – Poluję, strzelam do celu. Ale nigdy w życiu nie strzelałem do człowieka. Nie mam pojęcia, co prowadzi takich ludzi jak oni. Może wyjechali z Albuquerque w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Może nie, nie wiem.

Sandy poruszyła głową, wlepiając wzrok w ciemność przed siebie. Dotknęła ręki Quentina i wyszeptała:

– Słyszę coś.

– Wejdę z powrotem na górę, zobaczę – powiedział.

– Nie! – syknęła, trzymając go za rękę jeszcze mocniej. – To odgłos motocykli, wielu motocykli. Posłuchaj!

Quentin zaczął wpatrywać się w mrok.

– Masz rację. Wracają.

– Biegnijmy do samolotu! – Sandy wstała i zaczęła biec.

Patrząc przez ramię, zobaczyła Quentina pędzącego tuż za nią. W obozowisku zostawiła rewolwer Rourke'a. Obok torebki.

Ominawszy kamienny głaz, biegła w stronę końca szeregu sosen, gdzie widziała płonące ognisko; siedzieli przy nim pasażerowie, a za nimi rysowały się szczątki samolotu.

Sandy potknęła się. Upadając wyrzuciła przed siebie ręce, żeby zneutralizować uderzenie. Nagle za łokieć chwyciła ją czyjaś dłoń. Krzyknęła, spoglądając do góry. Był to Quentin. Wstała na nogi i usłyszała głośnie serie karabinowe. Z przestachem popatrzyła na Kanadyjczyka.

– Mój Boże, strzelają! – rzuciła się w szaleńczym biegu ku obozowisku, Quentin był tuż za jej plecami.

– Wiesz – zaczął Rourke – przesłuchaliśmy te taśmę już dwa razy, od początku do końca.

Rubinstein się śmiał. Rourke po raz pierwszy widział go w tak dobrym humorze. W tej chwili wyciągał taśmę z odtwarzacza i mówił:

– Wiem że to brzmi okropnie przy tym wszystkim, co się wydarzyło. No wiesz, trzecia wojna światowa wybuchła dwa dni temu. A ja, w kowbojskim kapeluszu, jadę Chevym 57 na ratunek uwięzionym na pustyni. Dwa dni temu byłem zastępcą szefa gazety handlowej i umierałem z nudów. Może jestem szalony, ale ja prawie jestem szczęśliwy. Rourke przytaknął. – Rozumiem.

– Dwa dni temu potrzebowałem pomocy, dzisiaj to ja pomagam. Przez ostatnie 48 godzin zrobiłem więcej niżli przez całe swoje dwudziestoosmioletnie życie.

– Masz 28 lat?

– Tak, skończyłem w zeszłym miesiącu. Wyglądam na więcej, tak? Wszyscy mi to mówią.

Rourke uśmiechnął się.

– Nie miałem zamiaru tego mówić. Dla mnie wyglądasz na dwadzieścia osiem.

– Cóż – Rubinstein zaczął, ale Rourke uniósł dłoń i zatrzymał samochód.

– Co jest?

– Posłuchaj – powiedział Rourke. – Strzały. Niedaleko stąd, lekko na prawo. Zdaje się, że z okolic samolotu.

Chevy pędził po piaszczystej drodze, która ciągnęła się przez ostatnie piętnaście kilometrów. Nagle Rourke zaczął zwalniać i wyłączył światła. Kiedy byli blisko miejsca katastrofy, zgasił silnik. Hałas broni stał się głośniejszy. Zostawili samochód na poboczu.

– Paul? – zapytał Rourke. – Wolisz pistolet czy sztucer?

– Wypróbuję sztucer.

– Dobrze. – Rourke zdjął osłonę lunety i pokazał Rubinsteinowi, gdzie jest zatrask bezpieczeństwa. Do komory wprowadził pierwszą kulę. Z kieszeni wyciągnął dwa dodatkowe, pięciokulowe magazynki do sztucera Steyr-Mannlicher SSG, który wręczył Paulowi. – Patrz w lunetę. Jeśli zobaczysz w niej dokładnie postać, z okularami na nosie, to powinieneś swobodnie ją trafić. Potem przyciskasz spust. Będziesz prawdziwym postrachem. Chodźmy.

Rourke otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i ruszył w kierunku głazów. Rubinstein szedł za nim. Strzały umilkły, słyszeli natomiast nawołujące się głosy. Zanim dotarli do kamieni i spojrzeli z nich w dół na płaską powierzchnię, ogień zupełnie zamarł.

Rubinstein jęknął.

– O, Boże, spóźniliśmy się!

– Tak – odparł Rourke, prawą ręką sięgając pod kurtkę, po pistolet schowany w kaburze pod lewym ramieniem. Miał też dwa pełne magazynki. – Wyłażą z kryjówek – powiedział, obserwując obozowisko. O ile dobrze widział, wszyscy pasażerowie nie żyli. Około dwudziestu motocyklistów przeglądało bagaże, wcześniej porozrzucane na ziemi. Zobaczył, jak podeszli do ciała kobiety; z takiej odległości nie mógł być pewny, ale niebieska spódnica i blond włosy wskazywały na stewardesę, Sandy Benson. Jeden z motocyklistów pochylił się nad nią i podniósł z piasku błyszczący, metalizowany, sześciocalowy Pyton.

– Daj mi broń – Rourke szepnął do Rubinsteina.

Wziął SSG i rozsunął nogi, opierając kolbę sztucera o ramię. Spojrzał w lunetę i wymierzył dokładnie w mężczyznę stojącego przy stewardesie. Pociągnął za pierwszy z podwójnego systemu cyngli. Motocyklista podskoczył i odwrócił się w kierunku wzniesionego kurzu pod stopami. Ustawiając krzyżujące się linie w lunecie na czole bandziora, Rourke przycisnął drugi cyngiel. Ponownie dotknął pierwszego i SSG zadrżał mu w rękach. Jedenastogramowa kula o średnicy 7.62 milimetra roztrzaskała czoło mężczyzny jak dojrzały melon. Jego ciało runęło na ziemię.

Rourke wystrzelił ponownie i dopiero wtedy zareagowali pozostali. Rourke wycelował ponownie. Tym razem w osobnika w hitlerowskim hełmie, dosiadającego trzykołówki. Tego nie potrzebował uśmiercać z dużą finezją. Pociągnął za pierwszy spust, nie używając drugiego. Trafiony motocyklista zakrył rękoma pierś i spadł na plecy, a za nim przekoziółkował motor, przechylony bezwładnym ciężarem. Rourke załadował następne kule do komory. Zobaczył kobietę Uginającą się pod masą bagaży martwego kompana. Biegła przez obozowisko. Uchwycił ją w wizjerze lunety i przesunął sztucer na łysego mężczyznę, który na wielkim, chromowym motorze gorączkowo do niej machał.

Rourke śledził w lunecie, jak kobieta mija ognisko i ciała zamordowanych pasażerów. Kiedy wyciągnęła dłoń do łysego towarzysza, wystrzelił, trafiając w jego lewą skroń. Karabin był natychmiast gotowy do kolejnego ruchu. Rourke słyszał tylko warkot silników, ale przez wziernik widział, że kobieta zamyka i otwiera usta. Krzyczała. Potem upadła na kolana i Rourke musiał zniżyć lufę sztucera. Pokryty metalem nabój ześliznął się po nasadzie nosa lamentującej motocyklistki i wyłobił w jej czole karmazynowy otwór. Ciało odrzuciło do tyłu, głowa leżała oparta o kamień, jakby modliła się martwa o uniknięcie śmierci.

Rourke wymienił magazynek i posłał kule prosto w szyję mężczyzny o jasnych włosach. Jego maszyna wjechała do połowy wzniesienia, po czym wywróciła się do góry kołami. Rourke ponownie szukał celu. Kolejna ofiara, podobnie zresztą do którejś z poprzednich, miała na głowie niemiecki hełm. Wystrzelony nabój uderzył w prawą stronę blaszanego okrycia. Motocyklista wyrzucił ręce do góry i spadł z motoru. Potoczył się parę metrów i padł nieruchomo.

Rourke lustrował obozowisko. Zauważył następnego, w kurtce bez rękawów, z wymalowaną na plecach nazwą gangu. Była to jedyna rzecz, która go wyróżniała. Ten osobnik czołgał się po ziemi, potem wstał i zaczął biec w kierunku grupy kompanów. Rourke trafił go w plecy, powalając go od razu twarzą w piasek.

Szybko zmienił cel, częstując trzema ostatnimi kulami motocyklistów, do których biegł poprzedni zabity. Trzy ciała osunęły się na ziemię. Trzej pozostali wskoczyli na swoje maszyny. Rourke wymienił magazynek, oparł karabin na ramieniu i pociągnął za spust jeszcze dwukrotnie. Dwaj kolejni bandyci spadli z motorów, oddalających się teraz samodzielnie od obozowiska.

Rourke odsunął sztucer od ramienia i zabezpieczył go.

Rubinstein, leżąc obok niego, wyszeptał:

– Zabiłeś dwunastu facetów!

– Nie – odparł Rourke. – Jedenastu facetów i jedną kobietę. Chodźmy zobaczyć, czy przeżył ktoś z pasażerów.

ROZDZIAŁ XXXII

Rourke rzucił sztucer Rubinsteinowi i zaczął zbiegać po kamieniach w kierunku obozowiska. Z ziemi podniósł się kurz, wiatr zdmuchnął mu Stetsona z głowy. Przebiegł palcami prawej ręki przez włosy i wyciągnął spod kurtki Detonicsa, na wypadek, gdyby któryś z napastników jeszcze żył. Kiedy znalazł się na płaskiej powierzchni, pochylony pędził w kierunku nie dającej znaku życia, Sandy Benson.

Padł na kolana obok dziewczyny i pochylił się nad nią. Rękoma uniósł jej głowę. Otworzyła oczy. Włosy opadały jej na twarz. Stewardesa podniosła powieki i uśmiechnęła się.

Rourke cicho powiedział:

– Mówiłem ci, że masz piękny uśmiech, Sandy.

– Wiedziałałam, że pan wróci, wiedziałałam, panie Rourke.

Głowa opadła jej do tyłu. Rourke schylił się i pocałował ją w czoło. Opuszkami palców zamknął jej powieki, potem ułożył głowę na ziemi. Obok niej, znalazł swój rewolwer, podniósł go i otworzył bębenek. Był pusty.

Rubinstein stał za nim. Wstając, Rourke zdmuchnął kurz z broni, zamknął cylinder i wcisnął go za pas.

– Znalazłem Quentina, tego Kanadyjczyka. Nie żyje. Zacząłem sprawdzać innych. Chyba zabili wszystkich.

– Pomożesz mi? – spytał Rourke, spoglądając na martwą dziewczynę u jego stóp. – Chcę złożyć ciała wokół samolotu i podpalić go. Nie damy rady ich pogrzebać.

– Motocyklistów też?

– Na tych nawet nie splunę – rzucił Rourke.

Ponura czynność przenoszenia trupów na prowizoryczny stos pogrzebowy zajęła im ponad godzinę. Rourke przejrzał rzeczy pasażerów i motocyklistów. Z pomocą Rubinsteina ułożył wszystko, co mogło im się przydać na jednej gromadzie. Potem kazał mu poczekać chwilę i oddalił się. Wrócił, trzymając w rękach torbę podróżną i walizki z bronią.

– Schowałem je – wyjaśnił – po drugiej stronie kadłuba.

– Zawsze planujesz naprzód, prawda?

– Tak, Paul – szepnął – staram się. Rubinstein przeżył szok. Nie mógł pogodzić się z masową rzezią dokonaną przez motocyklistów. Ponad czterdzieści osób zamordowano bez powodu, bez sensu.

Rourke przebrał się w swoje rzeczy wyjęte z torby, chowając w nią te, które zabrał ze sklepu w Albuquerque. Założył parę mocno wytartych jeansów, jasnoniebieską koszulę i szeroki, skórzany pas. Na nosie miał czarne okulary, chroniące go przed wschodzącym słońcem.

Zapiął traperski pas, a Pytona wsunął w przymocowaną do niego przy prawym biodrze kaburę. Do pasa przymocował także ładownice obu Detonicsów. Nóż schował do spodni, przy szwie na lewym biodrze.

Laumana, którego w zaciśniętej pięści Kanadyjczyka znalazł Paul, schował do torby podróźnej. Podszedł do motorów pozostawionych przez rzezimieszków, wybrał sporego Harleya i rzucił na jego tył swój bagaż. Sztucer SSG schował do walizki i zamocował przy motorze.

Rubinstein przez cały czas coś mówił. Rourke zwrócił się do niego:

– Potrafisz na tym jeździć, czy wolisz samochód?

– Jadę z tobą. Zamierzasz ich dogonić, prawda?

– Tak – odpowiedział, narzucając na plecy skórzaną kurtkę, która chroniła go przed wciąż dokuczającym chłodem pustyni.

– Myślałem o tym, co wcześniej mówiłeś. O moich rodzicach w St. Petersburgu. Może żyją, może pragną mojej pomocy. Z tymi bandziorami, nie byłem najlepszy. Może się jeszcze nauczę.

Rourke spojrział na ziemię. Potem sprawdził zapasowego Rolexa w pierwszych migocących promieniach słońca na horyzoncie.

– Niech będzie siódma piętnaście – rzucił. Podszedł do zgromadzonych przy wygasłym ognisku kilku sztuk broni i innych akcesoriów.

– Jeden z nich ma mój CAR-15 – powiedział. Wybrał półmaszynowy karabin MP-40, jeszcze z drugiej wojny światowej, ale w doskonałym stanie.

Pogrzebał w stosie i wyciągnął dwa trzydziestokulowe magazynki.

– Nazywa się Schmeisser, w swoim języku ojczystym – rzekł.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – spytał Rubinstein.

Rourke uśmiechnął się i popatrzył na młodszego i niższego towarzysza.

– Nie mógłbym inaczej. Pytałem cię o coś – wskazał na motory. – Potrafisz jechać na czymś takim?

– Nie – mruknął Rubinstein, potrząsając głową.

Rourke westchnął,

– Umiesz jeździć na rowerze?

– Tak.

– To dobrze. Pokażę ci jak chodzą biegi i hamulce. Nauczysz się. Między Nowym Meksykiem a Wschodnim Wybrzeżem jest ponad trzy tysiące kilometrów. Dojdiesz do wprawy. A teraz chodź mi pomóc.

Razem z Rubinsteinem, Rourke przeglądał broń porzuconą przez motocyklistów. Zabrał trochę amunicji, która pasowała do jego broni, kaliber 7.56 milimetra oraz trochę dodatkowych naboju, kaliber 7.62 mm.

– Mam brać pistolet? – zastanawiał się głośno Rubinstein.

– Tak, karabin nie będzie ci potrzebny. Kiedy odbiorę swój CAR-15, i tak będziemy mieli dwa. Weź tego. – Rourke wręczył mu Browninga, kaliber 9 milimetrów. – Jeden z najlepszych w ogóle. Kiedy skończy się amunicja do tego – wskazał niemiecki MP-40 – dziewięćmilimetrowych naboju będzie w bród.

Z pozostawionych motorów spuścili paliwo i zlali je razem do baków Harleya, którego Rourke wybrał dla siebie i tego, poleconego przez niego Rubinsteinowi. Kiedy Rubinstein przymocowywał do maszyny swoje rzeczy, Rourke wyjął z walizek luźną amunicję i uzupełnił magazynki Detonicsów,

sztucera Steyr-Mannlichera, a także karabinu CAR-15.

Byli gotowi wczesnym rankiem. Jedyne ich prowiant stanowiła żywność z samolotu. Rourke sprawdził ją licznikiem Geigera. Mieli mało wody, zabrali więc dwudniową kawę. Następnie napełnili resztkami benzyny kanistry i z rozbitego samolotu zaczęli przygotowywać stos.

Cofnęli się od wraka. Rourke chciał już podpalać zanurzoną w benzynie pochodnię, kiedy powstrzymał go Rubinstein.

– Nie masz zamiaru niczego powiedzieć?

– Ty to zrób – odparł cicho Rourke.

– Jestem Żydem, większość z nich nie.

– Wybierz coś niewyznaniowego – odparł Rourke.

Rubinstein chrząknął niezbyt pewnie i zaczął mówić – Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie, na niwach zielonych pasie mnie, nad wodą spokojnie mnie prowadzi.

Rourke, nie zdając sobie sprawy, modlił się razem z nim:

– Duszę mą pokrzepia.

Rubinstein spojrział na Rourke'a, po czym mówili razem:

– Wiedzie mnie ścieżkami sprawiedliwości, ze względu na imię swoje, choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękne, boś ty ze mną. – Rourke myślał o pani Richards, i Sandy Benson, których odwaga była tak wielka, i o kanadyjskim businessmanie, którego nie od razu przecież polubił.

– Zastawiasz przede mną stół wobec nieprzyjaciół moich, namaszczasz oliwą głowę moją, kielich mój przelewa się.

Rourke pomyślał o meksykańskim księdzu z Albuquerque i poparzonych ofiarach w jego kościele. Widział dziewczynkę, której nie zdołał uratować.

– Dobroć i łaska towarzyszyć mi będą, przez wszystkie dni życia mego.

Zamknął oczy. Gdzie była Sarah? Gdzie Michael i Ann? Czy w ogóle żyli?

– I zamieszkać w domu Pana przez długie dni. Rourke podniósł powieki i ujrzał twarz Rubinsteina.

– Ty zawsze robiłeś brudną robotę, John. Teraz moja kolej. Podaj mi pochodnię.

Rourke bez słowa podał mu zanurzoną w benzynie szmatę i zapalniczkę.

– Uważaj – powiedział, a potem obserwował, jak Rubinstein przytknął płomień zapalniczki do zastępczej pochodni, i jak tę natychmiast zajmuje ogień. Z ćwierćsekundowym wahaniem, Rubinstein wrzucił płonąca szmatę do dziury w kadłubie.

– Chodźmy – powiedział Rourke ściśniętym głosem.

Rubinstein wciąż tkwił przy samolocie. Rourke położył na jego ramieniu rękę i mówił:

– Chodź, Paul. Mamy jeszcze coś do zrobienia. Rubinstein bez słowa spojrział na niego i zdjął okulary. Obaj słyszeli tylko trzask płomieni.

ROZDZIAŁ XXXIII

Pościg za motocyklistami przez pustynię nie obył się bez przygód. Rubinstein zleciał ze swojego Harleya, nic na szczęście sobie nie robiąc. Kiedy przystanęli na małym wzniesieniu, Rourke powiedział do Paula:

– Coraz lepiej sobie radzisz. A tam jest następna rzecz, która mnie cieszy. Patrz – wskazał w dół na płytką niszę w kształcie basenu.

– Mój Boże – wzdrygnął się Rubinstein.

W zagłębieniu, kiedyś na pewno wypełnionym wodą, a teraz porośniętym tylko tu i ówdzie kaktusami, znajdowali się motocykliści, których szukali. Nawet z takiej odległości, Rourke rozpoznał po ubraniu dwóch z nich. W szczególności jednego, najprawdopodobniej szefa gangu. Na głowie nosił hitlerowski hełm, z wystającymi z niego po obu stronach rogami młodego byka, upodabniający go do Wikinga. Nikt poza nim nie miał takiego okrycia głowy. W sumie, motocyklistów było przynajmniej czterdziestu.

– A cóż to, zjazd jakiś?

– Co? – Rourke był nieobecny. Zrozumiał pytanie po pewnym czasie i odpowiedział:

– Tamci byli tylko częścią większej bandy, a to miejsce ustalili na spotkanie. Może przyjechać ich jeszcze więcej.

– Cholerni motocykliści – Rubinstein splunął na piasek.

– Hej, my też nimi jesteśmy, czyż nie? – rzucił Rourke, spoglądając na Rubinsteina. Zdjął okulary, oczyścił je z kurzu i kontynuował – większość motocyklistów jest w porządku, a niektórzy to krwiopiczne gnoje. Nie można generalizować. To, że ktoś ma za pazuchą automat i nie lubi władzy, nie czyni z niego szumowiny. Ale ci faceci to szumowiny. – Ale jest ich tam ponad trzydziestu.

– Jak dla mnie, blisko czterdziestu – Rourke poprawił go leniwie. Popatrzył na zegarek, potem na słońce. – Za dwie godziny będzie ciemno. Zanosi się na piękny księżyc. Wtedy dostaniemy ich wszystkich.

– Jest nas tylko dwóch – oponował Rubinstein. – To oznacza walkę dwudziestu na jednego.

– Tak. Przynajmniej nie będą mogli oskarżyć nas o wykorzystywanie przewagi.

– Dwudziestu na jednego, John?

– Pamiętasz, co mówiliśmy nad zabitymi mężczyznami i kobietami przy samolocie? „Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękne”. Nigdy nie obchodził mnie strach, bo on w niczym nie pomaga. – Wskazując na rozciągającą się za nimi pustynię, mówił – widzisz ją, Paul? Nigdy jej nie przejdziemy, jeśli będzie nam towarzyszył strach. Nikt z nas nie wie, co czyha tam na nas po wojnie. Skażenie nuklearne, bandy rzezimieszków, pewnie jeszcze do tego sowieckie oddziały, bo nie

wydaje mi się, żebyśmy tę wojnę wygrali. Przy tym wszystkim, te sukinsyny w niszy to niemowlęta. Bóg wie co nas czeka. Mnóstwo będzie okazji, żeby się bać, ale później. Nie musimy zaczynać już teraz, kiedy jeszcze nie trzeba.

Po cichu, Rourke i Rubinstein ukryli swoje Harleye za dużymi, kamiennymi głazami, zjedli część żywności, którą przynieśli z samolotu i odpoczywali. Rourke zdradził Rubinsteinowi swój plan. Usłyszawszy go, Paul powiedział:

– Zabiją cię.

John wzruszył ramionami.

Przeczekali zachód słońca i część nocy. Księżyc świecił wysoko, a odgłosy z niszy wskazywały, że całe towarzystwo było mocno pijane. W międzyczasie przyjechało jeszcze sześciu motocyklistów.

Rourke wyjął Detonicsy, sprawdził napięcie sprężyny w magazynkach i nie korzystając z magazynka, włożył do komór pistoletów po jednym naboju. W ten sposób, w każdym automacie miał po siedem kul. Następnie przymocował Detonicsy mocno przy pasie, a kolta Laumana schował do tyłu, przy bolącym go w krzyżu miejscu. Pytona włożył do kabury przy prawym biodrze. Pas miał miejsce na naboje, ale Rourke musiał liczyć na szybkość w przypadku konieczności ponownego ładowania magazynków. Z tego względu wziął superszybkie ładownice typu Safariland. Miał ich cztery. Przeznaczone do współpracy z Pytonem, dawały sobie również radę z Laumanem. Rourke włożył po dwie sztuki do każdej kieszeni spodni. Wypił łyk kawy, wstał i podszedł do swojego Harleya.

– Wciąż uważam, że jesteś szalony – ostrzegł go Rubinstein.

– Być może – odparł Rourke; usiadłszy ponownie, zapalił cygaro. – Prawie mi się skończyły. Mam nadzieję, że wkrótce jakieś znajdziemy. – Wciągnął dym głęboko do płuc. – Nie zapomnij zrobić pożytku z tego Schmeissera, kiedy będę potrzebował twojej pomocy.

Rubinstein wyciągnął prawą rękę. Rourke spojrział na niego, uśmiechnął się i uściśnął dłoń. Potem wstał i włączył motor. Ominąwszy kamienne głazy, ruszył w kierunku niszy.

Wzniesienie było długie i łagodne. Rourke jechał powoli. Rozglądając się na boki, ze ściśniętymi ustami i napiętymi mięśniami karku, naliczył około 50 motocyklistów. Dzięki poświacie księżyca na czystym niebie dostrzegł porozrzucane butelki po winie i whisky. Widział też broń – karabiny i automaty wszelkiej maści. Praktycznie każdy członek bandy miał jedną sztukę, niektórzy nawet dwie. Dojechał do brzegu obozowiska i posuwał się dalej. Część członków gangu podniosła się na nogi i obserwowała go. Rourke pomachał do jednego z nich i przywitał go uśmiechem. Tamten przywitał go także, twarz jednak zdradzała jego wielkie zmieszanie.

Rourke jechał dalej. W kierunku centrum obozowiska i mężczyzny w hełmie Wikinga. Motocykliści zaczęli tworzyć wokół niego coraz ciaśniejszy pierścień. Jeden z nich krzyknął:

– To Harley Świniaka.

Rourke zwolnił, docierając do środka obozu. Nie wyłączając silnika, zatrzymał się na trzy metry przed olbrzymem w hitlerowskim hełmie. Siedział tyłem do niego w otoczeniu dwóch kobiet. Rourke wciągnął głęboko do płuc dym z cygara i krzyknął z uśmiechem:

– Cześć. Jesteś tutaj szefem?

Wiking wstał, podtrzymując jeansy za szeroki, czarny pas, wzynający mu się w wielki brzuch piwosza.

– Tak, kim jesteś?

– Spotkaliśmy się już, być może nie pamiętasz – Rourke mówił powoli, wydechając szary obłok

dymu. – Jestem Rourke. John Rourke. Nie zostaliśmy przedstawieni.

– Nigdy cię nie spotkałem – odparł Wiking.

– On ma motor Świniaka! – krzyknął ktoś. Rourke patrzył szefowi gangu w oczy.

– Pytałem cię kim jesteś.

Z cygarem w lewym kąćku ust, Rourke zmrużył oczy i odpowiedział:

– Spotkaliśmy się kilkadziesiąt kilometrów stąd, gdzie ty i twoja banda skurwieli zmasakrowała ludzi z samolotu. Jestem tym facetem, który ze sztucera zmiotł dwunastu twoich gnojzków. Teraz pamiętasz?

Wiking podszedł bliżej.

– Tak, teraz cię pamiętam. I zamierzam cię zabić. Rourke uśmiechnął się i rzucił półgłosem:

– Chciałem się tylko upewnić, że wiesz kim jestem. – Rękę, którą trzymał opartą z tyłu siedzenia, wyciągnął przed siebie, dzierżąc w pięści Laumana. Nacisnął dwukrotnie na spust. Twarz najważniejszego bandziora dzielił od muszki zaledwie metr. Obie kule przeszły mu czaszkę, rozbryzgując krew i mózg na stojące tuż obok dwie kobiety, które zaczęły uciekać z piskiem.

Rourke ruszył motorem w kierunku widniejącego przed nim sznura motocyklistów. W najbliższego z nich wystrzelił wszystko, co pozostało mu w Laumanie. Wymienił go na Pytona. Zaczął z niego natychmiast strzelać.

Rourke parł do przodu, wbijając się klinem pomiędzy bandytów i posyłając kule w ich twarze, piersi i plecy. Stali tak ściśle skupieni, że chybienie któregoś było niemożliwe.

Kiedy dotarł do drugiego końca obozu, zatrzymał się i zeskoczył z motoru. Niektórzy motocykliści zapalali już swoje maszyny, a pozostała ich część zmierzała w jego kierunku piechotą.

Kucając za Harleyem, Rourke naładował Laumana i Pytona. Ułożył je wygodnie w dłoniach. Rubinstein, pomyślał, powinien już zacząć strzelać z automatu zdobytego na przeciwnikach. Wycelował i wpakował cały magazynek Pytona w napastników. Kiedy opróżnił Laumana, z góry odezwało się terkotanie karabinu maszynowego. Rubinstein wrzeszczał; był to ten sam podrabiany okrzyk żołnierzy Południa z wojny secesyjnej, który wydobył z siebie na cześć uruchomienia starego Chevy'ego. Rourke zużył już ostatnie magazynki. Motocykliści biegali we wszystkich kierunkach, chowając się przed gradem kul, jaki spadł na nich z przodu i z tyłu.

Odłożywszy puste pistolety na bok, Rourke przesunął się do środka obozu i podniósł z ziemi M-16, upuszczony wcześniej przez kogoś z gangu. Idąc do przodu, Rourke wystrzelił do końca magazynek karabinu, po czym znalazł półautomat Thompsona. Częstował z niego bandytów trzykulowymi seriami. Wciąż jeszcze było ich pełno. Karabin zamilkł. Rzucił go na ziemię i z kabur pod pachami wyciągnął oba Detonicsy. W tym samym czasie Rubinstein dopadł do Harleya zostawionego przez Rourke'a po drugiej stronie obozu. Potem żywi jeszcze motocykliści znaleźli się pod precyzyjnym ostrzałem sztucera SSG.

Na Rourke'a zmierzało na motorach 6 przeciwników. Pozostali, albo jeszcze tkwili na drugim końcu obozowiska, albo leżeli martwi. Rourke wystrzelił z Detonicsa w prawej dłoni. Trafił napastnika w szyję i strącił z maszyny. Kula kaliber 8.07 milimetra, opuściwszy pistolet z lewej ręki wbiła się w twarz kolejnego rzezimieszka, przygważdżając go do ziemi. Na nieruchome już ciało, spadł motor, którego koła ciągle się obracały.

W nadjeżdżającego z lewej strony trzeciego bandytę, uzbrojonego w automat, Rourke wpakował naboje z obu pistoletów jednocześnie. Impet zmiotł go z siedzenia. Jednak, zaciśnięte na rączkach kierownicy pięści przyspieszyły maszynę i wyrzuciły ją w oddaloną o 3 metry grupę trzech kolejnych

członków gangu.

Nagle Rourke poczuł uderzenie w kark. Rzucił się na brzuch i odwrócił na plecy. Przed sobą miał trzech mężczyzn. Nacisnął spusty w obu Detonicsach, z każdego zabijając po jednym. Były to ostatnie kule w magazynkach. Kiedy trzeci z atakujących rzucił się z rękoma do jego gardła, Rourke wyciągnął zza spodni czarny, chromowany nóż i wbił go w plecy napastnika jak w ciasto. Palce miał zakrwawione od rany na karku. Włożył do pistoletów świeże magazynki, stanął na nogi i kontynuował strzelanie. Kiedy znalazł się ponownie w centrum obozowiska, nie miał już nabojów.

Przystanął przy trupie Wikinga i opuścił pistolety do kabur. Po drugiej stronie zobaczył Rubinsteina, ze sztucerem w dłoniach. Zmrużył oczy, rana na karku bolała go. W niszy było teraz morze trupów i motocykli. Nagle usłyszał hałas uruchamianego silnika. Samotny bandyta uciekł z obozowiska, zostawiając za sobą ogon kurzu.

Rourke spojrzął na ziemię i podniósł z niej dwunastostrzałową strzelbę, porzuconą przez kogoś z gangu. Wprowadziwszy kule do komory, chwycił za najbliższy motocykl, usiadł na nim okrakiem i zapalił silnik. Słyszał za plecami krzyk Rubinsteina:

– Rourke, co robisz?

Rourke ruszył za jedynym członkiem gangu, który przeżył i krzyknął do Rubinsteina:

– Jeszcze nie skończyłem.

Minawszy pole obozu, zaczął nabierać szybkości. Kurz ciągnący się za motocyklistą był niedaleko przed nim. Nisza, bardziej dłuższa niż szersza, kończyła się stromym podjazdem.

Rourke dostrzegł, iż ścigany przez niego bandyta podjeżdża na wzniesienie, ale jego motor zsuwa się z powrotem w dół. Potem próbuje jeszcze raz. Rourke pochylił się nisko na siedzeniu, wiatr rwał mu włosy, ciął dłonie i twarz. Usta i zęby mocno zacisnął. W prawej ręce trzymał gotową do strzału broń.

Motocyklista był w połowie podjazdu, kiedy jego motor zaczął boksować i zjeżdżać w dół. Rourke zatrzymał swojego Harleya w obłokach kurzu u podnóża wzniesienia. Położył go na ziemię. Oparł strzelbę na ramieniu. Wziął cel na muszkę i mruknął – Umieraj! – Potem nacisnął spust.

Mężczyzna złapał się na nerki i upadł twarzą w piasek, po czym zjechał w tej pozycji na sam dół podjazdu. Jego ciało oparło się o równe podłoże jakieś dziesięć metrów od miejsca, w którym stał Rourke.

Rourke rzucił strzelbę w piasek. Z powrotem ruszył piechotą. Zobaczył, że zbliża się do niego ktoś na motorze. Kiedy był dostatecznie blisko, rozpoznał Rubinsteina. Stał w miejscu, naładował Detonicsy i czekał.

Rubinstein zwolnił. Wciąż miał kłopoty z prowadzeniem swojego Harleya. Zahamował, a maszyna nieomal mu uciekła.

Rourke poczekał, aż opadnie kurz. Potem podszedł do Rubinsteina, który spytał spokojnie:

– Skończyłeś?

Rourke pokiwał głową i odparł:

– Czekają nas długie podróże. Ale na razie, skończyłem.